

TYGODNIK
POWSZECHNY

znak

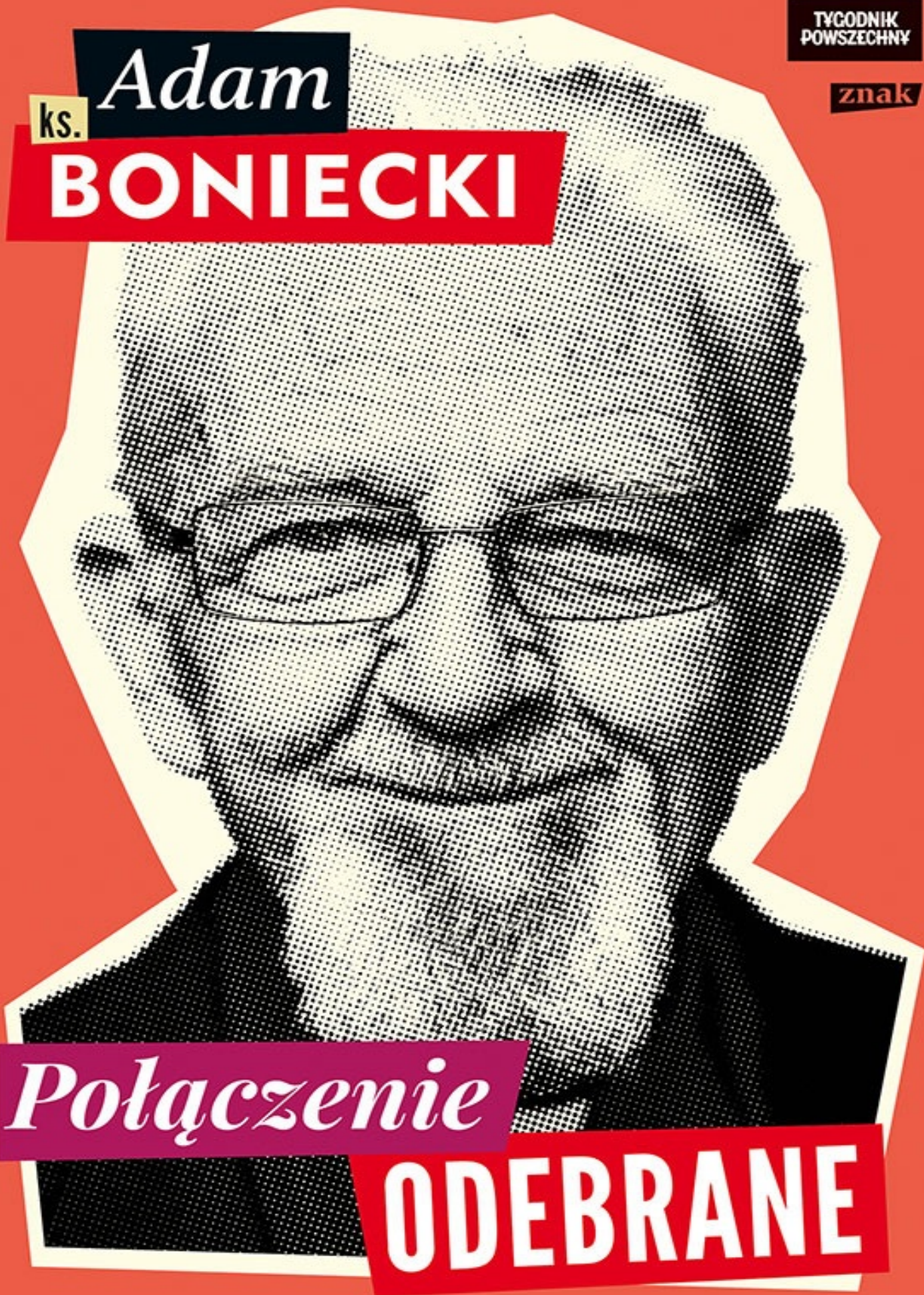
Adam

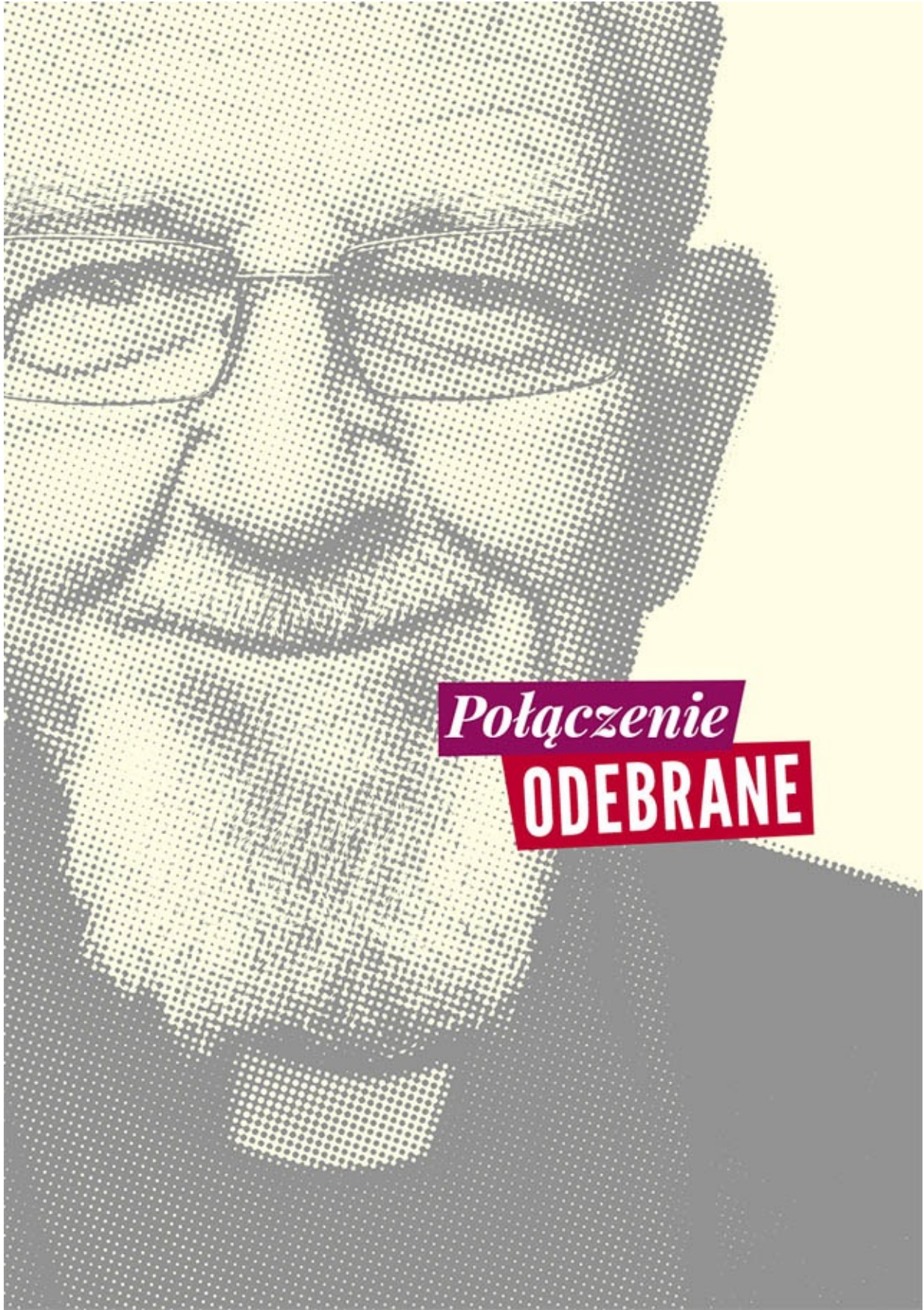
ks.

BONIECKI

Połączenie

ODEBRANE





Połączenie

ODEBRANE

ks. *Adam*
BONIECKI

Połączenie
ODEBRANE

Wydawnictwo **ZNAK**

Kraków 2008



foto. Beata Zawrzeł/REPORTER

WSTĘP

Połączenie odebrane to trzeci, po *Lepiej palić fajkę niż czarownice* i *Zakazie palenia*, wybór edytoriali publikowanych przez księdza Adama Bonieckiego na łamach „Tygodnika Powszechnego”. Tym razem zamieszczone tu teksty pochodzą z lat 2014–2017. Były to – jak pokazuje układ książki – lata pontyfikatu papieża Franciszka i prac synodu o rodzinie, lata niepokoju związanego z kryzysem migracyjnym i wstrząsającymi Europą zamachami terrorystycznymi, w Polsce zaś lata wielkiej politycznej zmiany i towarzyszących jej sporów: o niezależność wymiaru sprawiedliwości i mediów, o język publicznej debaty czy ocenę trudnych wydarzeń z przeszłości. Były to także lata trwających wciąż zmagania Kościoła z nieszczęsnym darem wolności; zmagania – dodajmy – których ofiarą padł sam autor: zakaz wypowiedzania się w mediach, nałożony nań przez władze zakonne w 2007 roku, został uchylony latem 2017 roku ledwie na kilkanaście tygodni, po czym ksiądz Adam naraził się przełożonym po raz kolejny.

Czym się naraził? Powody podane przez prowincjała Zgromadzenia Księża Marianów są tak naprawdę drugorzędne. Ci, którzy autora tej książki znają bliżej, mając przyjemność i zaszczyt z nim pracować, wiedzą, że jest nade wszystko wolnym człowiekiem: że mówi i pisze, co czuje i myśli, nie przejmując się specjalnie tym, czy spodoba się to w instytucjach, z którymi skądinąd jest szczerze związany (nie chodzi przecież tylko o zakon, ale także o redakcję). Być może zresztą tak pojmuje dobro tych instytucji: widzi je w mówieniu prawdy i w pozostawaniu w zgodzie z własnym sumieniem, nawet kiedy o niejednej sprawie wygodniej byłoby milczeć czy niejednego wspólnego zdjęcia uniknąć. Widzi je bowiem także w konsekwentnym otwarciu na ludzi – również tych źle widzianych i wykluczanych w niejednym środowisku kościelnym lub towarzyskim, nawet jeśli wiąże się to z ryzykiem bycia wykorzystanym i zarzutami o naiwność. Zasada jest prosta: chodzi o zachowanie postawy ewangelicznej, a więc o to, by – jak sam pisze – „nikogo nie osądzać ani nie

potępiać, by nie występować jako »rzecznik« jakiegokolwiek partii politycznej, by nie pogłębiać podziałów i antagonizmów między ludźmi, lecz szukać tego, co buduje zgodę i co ludzi łączy”.

Stąd właśnie bierze się tytuł *Połączenie odebrane*. Bo choć odebrano księdzu Adamowi przywilej wypowiedzania się w mediach, to przecież głosu jako takiego go nie pozbawiono. Bo zawsze odbiera telefon (na jednym ze spotkań, ku zgrozie przyjaciół, którzy tak bardzo chcieliby go chronić, podał numer do siebie setkom słuchaczy). Bo ostatecznie najważniejsza jest relacja: nie tylko z człowiekiem i z Bogiem, ale nawet – o czym również będziecie mogli tu przeczytać – ze zwierzętami.

W tych niełatwych czasach przed wami książka pełna optymizmu i nadziei.

*Michał Okoński, redaktor tomu,
dziennikarz „Tygodnika Powszechnego”*



fot. Maciej Zienkiewicz dla Tygodnika Powszechnego

Polska,

KRAJ MISYJNY

KOŚCIÓŁ W WOLNEJ POLSCE

Od początku wolnej Polski ścierały się trzy sposoby postrzegania obecności Kościoła (chodzi oczywiście o Kościół – instytucję, a nie Kościół – niezmienną tajemnicę wiary).

Pierwszy z nich głosił, że jest on prywatnym stowarzyszeniem, którego wpływ może się okazać niebezpieczny dla wolności i demokracji (dyktatura czarnych zastąpi dyktaturę czerwonych). Drugi uznawał, że Kościół jest jedną z podstawowych rzeczywistości w Polsce, powinien więc mieć pełnoprawny udział w dialogach społecznych. Trzeci: Polska jest *de facto* katolicka, więc Kościół ma prawo do wpływu na przestrzeń publiczną i do różnego rodzaju przywilejów. Ta koncepcja znajdowała wyraz między innymi w próbach tworzenia partii chrześcijańskich czy narodowo-chrześcijańskich i nadal jest bliska środowisku Radia Maryja. Oficjalnie zwyciężyła koncepcja druga (Kościół powinien mieć pełnoprawny udział w dialogach społecznych), choć obie pozostałe wciąż mają twardych i hałaśliwych zwolenników.

W początkowym okresie wolności (1989–1996) toczyliśmy w mediach ważne i namiętne debaty na temat wartości chrześcijańskich, aborcji, nauczania religii w szkole i tym podobnych. Po raz pierwszy prowadzone były one bez cenzury! Ludzie Kościoła z trudem odkrywali, że kierowana pod ich adresem krytyka bywa słuszna i niekoniecznie musi być prześladowaniem wiary. Kościół w Polsce, uwolniony od PRL-owskich ograniczeń, szybko wracał na tereny dawnej działalności. Instytucjonalne podstawy stwarzało otwarcie nuncjatury (1989), zapisy konstytucji (1997) oraz konkordatu (1993, ratyfikowany 1998), określające stosunki państwo – Kościół jako przyjazne współistnienie niezależnych i autonomicznych instytucji. Konstytucja została opatrzona preambułą odwołującą się do Boga i wartości chrześcijańskich, z uszanowaniem stanowiska osób niewierzących.

Ludzie Kościoła z trudem odkrywali, że kierowana pod ich adresem krytyka bywa słuszna

i niekoniecznie musi być prześladowaniem wiary.

Kościół działa przez środki tradycyjne (duszpasterstwo parafialne, listy pasterskie, pisma katolickie). Nowe instrumenty to strony internetowe, Katolicka Agencja Informacyjna (KAI), radio, telewizja. Kościół uczestniczy w wydarzeniach historycznych (wejście do NATO i UE), jest obecny w niektórych instytucjach państwowych i uczelniach, bierze udział w wydarzeniach nadzwyczajnych (jak pogrzeby ofiar katastrofy pod Smoleńskiem), tworzy wydarzenia o dużym oddziaływaniu: pielgrzymki papieskie, kanonizacja Jana Pawła II, budowa Świątyni Opatrzności, spotkania lednickie, Zjazdy Gnieźnieńskie czy akcje związane z nową ewangelizacją.

Parafii jest ponad 10 tysięcy. Co trzecia z badanych przez CBOS osób deklaruje, że ona sama lub ktoś z rodziny korzysta ze społecznych inicjatyw w swojej parafii. Miejsce dawnych organizacji przejęły w znacznym stopniu ruchy i stowarzyszenia religijne. W Polsce działa ich ponad 3370, obejmując około 2,5 miliona osób. Szeroką działalność prowadzi odtworzona w 1990 roku Caritas Polska, z autonomicznymi Caritas diecezjalnymi (44 oddziały). W roku akademickim 2012/13 w seminariach diecezjalnych studiowało 4262 mężczyzn (w 2007 roku było ich 4257). W seminariach zakonnych – 1864 (w tym 363 obcokrajowców). Zakonnicy jest ponad 19 tysięcy (należą do 101 zgromadzeń), członków instytutów świeckich – około 1,2 tysiąca. Można więc rzec: nie jest źle.

Tylko że badania pokazują również, iż wśród młodych liczba praktykujących systematycznie spada wraz z wiekiem. Wśród osób studiujących bądź wchodzących w wiek zawodowy odsetek tych regularnie praktykujących jest niższy o 19 punktów procentowych od średniej praktyk całego społeczeństwa. Postawy młodych ulegają polaryzacji: wzrasta liczba niewierzących i tych, którzy wiarę traktują w sposób poważny.

Wzrasta liczba rozwodów: na każdy tysiąc nowo zawartych małżeństw (w 2012 roku) 316 zostało rozwiązanych orzeczeniem sądu. Ich liczba się zmniejsza. Niektóre głoszone przez Kościół zasady moralne są w praktyce życia niemal powszechnie

lekceważone: zakaz współżycia przed ślubem uznaje 1/3 badanych, naukę Kościoła o antykoncepcji 1/4, nauczanie na temat stosowania metody *in vitro* w przypadku bezdzietnych małżeństw przez większość katolików nie jest rozumiane.

Czy te 25 lat wolności zmieniło, czy tylko ujawniło, jaki jest ten nasz katolicyzm polski?

IMMISJA TREŚCIAMI

Znów podnoszą się głosy, że w Polsce „jesteśmy w pół drogi do państwa wyznaniowego” lub już je mamy „w wersji *soft*”. Tą wizją straszono nas już po wprowadzeniu nauki religii do szkół (w 1990 roku) i potem jeszcze wiele razy, na przykład w debacie nad konkordatem.

„Dążąc do trwałego i harmonijnego uregulowania wzajemnych stosunków; biorąc pod uwagę fakt, że religia katolicka jest wyznawana przez większość społeczeństwa polskiego; podkreślając posłannictwo Kościoła katolickiego, rolę odegraną przez Kościół w tysiącletnich dziejach Państwa Polskiego oraz znaczenie pontyfikatu Jego Świątobliwości Papieża Jana Pawła II dla współczesnych dziejów Polski; (...) [Stolica Apostolska i Rzeczpospolita Polska] postanowiły zawrzeć niniejszy Konkordat” (to ze wstępu). „Państwo i Kościół katolicki są – każde w swej dziedzinie – niezależne i autonomiczne oraz zobowiązują się do pełnego poszanowania tej zasady we wzajemnych stosunkach i we współdziałaniu dla rozwoju człowieka i dobra wspólnego” (to z art. 1).

W tym duchu napisany jest cały dokument. Strony odwołują się w nim do wolności i tolerancji. Jerzy Turowicz napisał, że „głosy krytyczne dotyczące meritum treści konkordatu zdają się płynąć bardziej z niechęci do Kościoła, z obaw przed jego dominacją w życiu publicznym niż z obiektywnej analizy”.

Przekonanie, że jesteśmy „w pół drogi do”, opiera się na wciąż przypominanych zaszczytach i wydarzeniach aktualnych. Wypomina się na przykład „czołobitność” (lewicowego) rządu wobec Kościoła i papieża przed referendum europejskim, wskazuje na zatarcie granic między funkcjami państwa i Kościoła, na przykład zatrudnienie kapelanów służb mundurowych, odpis podatkowy („Krowy w sutannach na budżetowym pastwisku” – profesor Joanna Senyszyn), na brak wypracowania systemu finansowania Kościoła, dofinansowywanie z budżetu państwa katolickich uczelni, zwolnienie kościelnych osób prawnych z podatku od dochodów z działalności niegospodarczej i gospodarczej, jeśli dochody są przeznaczone na cele charytatywne, kult, oświatę, wychowanie, kulturę, remont budynków. Przypomina się

interwencję premiera Kaczyńskiego w Watykanie w sprawie nominacji arcybiskupa Wielgusa, wytyka włączanie nabożeństw katolickich do obchodów państwowych (na przykład mszę w warszawskiej katedrze po wyborze prezydenta Lecha Kaczyńskiego), msze na rozpoczęcie i zakończenie roku szkolnego, uczczenie przez sejm rocznic ślubowań lwowskich, śmierci ojca Honorata Koźmińskiego, śmierci i wyboru na Stolicę Piotrową Jana Pawła II oraz 70. rocznicy śmierci Matki Urszuli Ledóchowskiej. I jeszcze to, że „osoby bez względu na wyznanie poddawane są immisji treściami o charakterze religijnymi przed którymi nie mogą się obronić” (por. Paweł Borecki *Wyznaniowy charakter współczesnego państwa polskiego*, w związku z wmurowaniem w biłgorajskim starostwie tablicy z Dekalogiem). Zarzuca się także, że przywileje, którymi się cieszy Kościół katolicki, nie zostały przyznane wszystkim związkom wyznaniowym w Polsce (jest ich około 90), choć jeszcze wtedy profesor Tadeusz Zieliński jako rzecznik praw obywatelskich wyjaśniał, że „nie każda nierówność wobec prawa stanowi *eo ipso* dyskryminację grupy, która nie korzysta z przywilejów nadanych innej grupie z jakichś uzasadnionych powodów”.

Nie będę tu polemizował; brak miejsca, zrobili to inni. W sprawie dofinansowywania (przecież nie finansowania!) katolickich uczelni chciałbym wspomnieć, że wielu podatników katolików woli mieć wykształconych księży niż niewykształconych i że obok wydziałów teologicznych są tam także wydziały całkiem świeckie, na których studiują studenci świeccy. Ale chyba najtrudniejsze do przyjęcia jest „poddawanie immisji treściami religijnymi”. Owa „immisja” raz lepiej wychodzi, raz gorzej (im gorzej, tym chętniej nagłaśniana), lecz zasadnicza jej treść może irytować. To nie Dekalog w Biłgoraju, ale chrześcijańska wizja człowieka, życia i świata, którą Kościół, nie bez sukcesu, proponuje. No cóż, niebudzące sprzeciwu chrześcijaństwo zawsze jest mocno podejrzane.

WIĘCEJ NIŻ PROCEDURY

Spór wokół procedur apostazji, toczony w Polsce późnym latem 2014 roku, to zderzenie czegoś tak intymnego jak wiara („Wierzę w święty Kościół powszechny...”) z problemami jurydycznymi albo wręcz z biurokracją. Kościół jest przedmiotem wiary jako widzialny znak niewidzialnej obecności Chrystusa, działającego przez sakramenty, słowo objawione i charyzmaty. Choć tak rozumiany, jest jednak powierzony ludziom. „Wierzę w święty Kościół...” nie znaczy: wierzę w świętość „personelu”. Sakrament chrztu ma znaczenie w porządku wiary. Poza nią jest co najwyżej gestem symbolicznym, bez głębszego sensu.

„Kościół jako wspólnota jednocześnie duchowa i widzialna oraz hierarchicznie uporządkowana wymaga norm prawnych. (...) Jest rzeczą konieczną, aby w tych normach jasne były zawsze z jednej strony jedność doktryny teologicznej i prawodawstwa kanonicznego, a z drugiej użyteczność duszpasterska przepisów” – napisał Benedykt XVI w *motu proprio* „*Omnia in mentem*” (z 26 października 2009), przywracając „jedność doktryny teologicznej i prawodawstwa” przez usunięcie z Kodeksu prawa kanonicznego formuły: „odłączenie się od Kościoła formalnym aktem”. Ksiądz profesor Dariusz Walencik, ekspert w materii prawa kanonicznego, tak wyjaśnił papieską decyzję: „w świetle aktualnego stanu prawnego nie jest możliwe wystąpienie z Kościoła, można najwyżej z Kościołem zerwać kontakty (porzucić wiarę bądź zaprzestać praktykowania)”. Z chwilą ogłoszenia dokumentu instrukcja naszego Episkopatu określająca procedury wystąpienia z Kościoła przestała obowiązywać. Projekt nowej oczekuje na akceptację Watykanu. Tak to wygląda od strony kościelnej.

Druga strona to „apostaci”, skupieni na przykład wokół serwisu Apostazja.pl, zrzeszenia Świecka Polska i tym podobnych, których ambicją jest stworzenie ruchu społecznego, między innymi przez organizowanie Tygodni Apostazji z masowymi aktami apostazji podczas ich trwania. Dokument Benedykta XVI wyjaśnia, że ani kanonicznie, ani teologicznie coś takiego jak „formalny akt wyjścia z Kościoła” nie istnieje (bo istnieć nie może): człowiek ochrzczony może odejść od Kościoła (co

zwykle się dokonuje *via facti*), ale „wystąpić”, w sensie anulowania chrztu, nie może. Deklarację odejścia można, na żądanie, odnotować w parafialnej księdze chrztów. Ma to wymierne znaczenie w krajach, w których istnieje podatek kościelny. W krajach takich jak Polska ma znaczenie nade wszystko symboliczne.

Rzecznicy promujący apostazję, na przykład na stronach wspomnianego serwisu, podają racje, które mają przekonać do apostazji zachwianych w wierze lub zrażonych do Kościoła. Oto niektóre, bardziej eksponowane argumenty: „Im mniej katolików, tym mniej dawania na tacę. A ponieważ rynek nie znosi próżni, owo niedoszłe tacowe – przecież nieopodatkowane – zostanie wydane gdzie indziej, ożywiając gospodarkę”. „Tylko formalna apostazja gwarantuje, że przestajemy być członkiem tego wyznania”. To „porażka Kościoła i jego misji”, czyli można „dać po nosie księżom”. Psucie Kościołowi statystyk („przestajemy figurować w statystykach jako osoby wyznania rzymskokatolickiego”), a tym samym zmniejszanie reprezentatywności Kościoła. „Katolicki ksiądz nie weźmie udziału w naszym pogrzebie”. Oraz ostrzeżenie: „nie życzymy sobie kolęd ani wizyt”. I tak dalej.

Z tak formułowanej motywacji bije poczucie straszliwej opresji, i to nie ze strony Kościoła, ale księży. Merytorycznie te racje nie są przekonujące. Można odejść od Kościoła i bez deklaracji, a motyw psucia statystyk jest dla naiwnych – Kościół nie odwołuje się już do liczby ochrzczonych, raczej podaje liczby praktykujących: *dominantes* i *communicantes*. W 2011 roku arcybiskup Warszawy Kazimierz Nycz pisał w liście do swoich księży: „proces odchodzenia dokonuje się w całym kraju, a zwłaszcza w dużych miastach. Wydaje się, że zbyt długo myśleliśmy o tym, iż dom Kościoła skupia 95 procent Polaków”. Agresywne wdzieranie się kleru w życie ludzi? Ciekaw jestem, czy gdzieś ksiądz się dobijał do mieszkania, do którego nie zaproszono go po kolędzie. A świecki pogrzeb? Można go sobie zapewnić przed śmiercią, rodziny tę wolę szanują. Dla takich racji można chcieć wyjść z Kościoła tylko wtedy, kiedy się go traktuje jako stowarzyszenie czy partię, ale nie jak tajemnicę wiary.

Dla katolików problemem nie są procedury wychodzenia z Kościoła, czy raczej odejście od odchodzenia, lecz pytanie: skąd taka potrzeba? Kiedyś wspólnoty chrześcijańskie, nawet w czasach prześladowań, przyciągały ludzi. Na przełomie II

i III wieku mówiono: „Zobaczcie, jak oni się miłują” (Tertulian). A dziś? Nie daj Boże, żeby pokusa apostazji (formalnej czy nie) dopadła kogokolwiek na nasz widok.

Dla katolików problemem nie są procedury wychodzenia z Kościoła, czy raczej odeń odchodzenia, lecz pytanie: skąd taka potrzeba?

POLSKA, KRAJ MISYJNY?

Podobno arcybiskup Paryża kardynał Suhard płakał, czytając książkę *La France, pays de mission?* (Francja, kraj misyjny?). Henri Godin i Yvan Daniel, kapelani katolickiej młodzieży robotniczej (Jeunesse Ouvrière Catholique), opublikowali ją w 1943 roku, dowodząc, że neopogaństwo opanowało przeważającą część ludności miejskiej, a zwłaszcza środowiska robotnicze. Publikacja dała impuls do konkretnych decyzji Episkopatu Francji, między innymi utworzenia Mission de Paris i powołania księży robotników. Uznano, że potrzeba księży, którzy znajdą się wśród tych „neopogan”, będą z nimi w ich codziennym życiu i w pracy, jako że oni sami nie przyjdą do kościoła.

Nie wiem, czy kardynał Nycz płakał, pisząc w 2011 roku do swoich kapłanów, że „w Polsce pojawił się poważny problem tych, którzy przyjęli chrzest święty, czasem – bierzmowanie, ale odeszli od Chrystusa, Kościoła i religijnych praktyk” i że „proces odchodzenia dokonuje się w całym kraju, a zwłaszcza w dużych miastach”. Pisał o ludziach, którzy „od dnia chrztu świętego swojego dziecka – nie byli w kościele”, oraz o tym, że „znaczną część naszego społeczeństwa potrzebuje pierwszej ewangelizacji”.

Niemal uszło uwagi, że z podobną myślą zwrócił się do rodaków „nasz Polski Papież”. W homilii na placu Defilad (14 czerwca 1987) powiedział: „nie zapominajcie, że nasza własna, polska Ojczyzna wciąż potrzebuje nowej ewangelizacji. Podobnie jak cała chrześcijańska Europa”. Cóż, wtedy uważaliśmy, że my, *Polonia semper fidelis*, jesteśmy lepsi, że to naszą misją jest ewangelizowanie Europy.

Czy Polska jest krajem misyjnym? Encyklika *Redemptoris missio* nazywa misjami działalność Kościoła wśród narodów i grup, gdzie Chrystus i Jego Ewangelia nie są jeszcze znane lub gdzie nie ma jeszcze wspólnot chrześcijańskich wystarczająco dojrzałych, aby mogły same zaszczepiać wiarę we własnym środowisku i głosić Ewangelię innym grupom (por. punkty 33–34). Przeglądam – dość pobieżnie – stan posiadania Kościoła w Polsce. Mamy więc: życzliwy rozdział Kościoła i państwa,

według niektórych krytyków pozycja Kościoła jest wręcz uprzywilejowana, dobrze zorganizowany, liczny episkopat, około 30 tysięcy księży, 37 seminariów diecezjalnych, 15 zakonnych, ponad 10 tysięcy parafii, liczne klasztory męskie i żeńskie, religię w szkołach, 7 katolickich uczelni, ośrodki formacyjne dla świeckich, ruchy i organizacje katolickie, w które się angażuje około 2,5 miliona wiernych, należących do około 140 rozmaitych wspólnot formacyjnych i charytatywnych, mamy Lednicę (raz w roku) i takie inicjatywy jak pielgrzymki, tygodnie kultury chrześcijańskiej, katolickie media (katolicka prasa to około 2 procent rynku), kilkadziesiąt wydawnictw, Caritas Polska, kapelanów w więzieniach, wojsku, misje zagraniczne, opiekę nad Polonią. Sytuacja materialna Kościoła jest względnie dobra.

Jak na kraj misyjny, infrastruktura całkiem niezła.

Tak się składa, że piszę to we Francji. Mówię komuś: u was i w ogóle w krajach, które podległy głębokiej sekularyzacji, Kościół także miał świetną infrastrukturę. Rozmówca mnie poprawia – nie „miał”, wciąż ma.

Jeśli Polska jest krajem misyjnym, jak Francja w latach powojennych (dziś się to określa: krajem nowej ewangelizacji), to zasadnicze pytanie brzmi: o jakie działania misyjne chodzi? Bo choć instytucje, organizacja pracy, jednym słowem: infrastruktura jest konieczna, to problem nie tkwi w jej udoskonalaniu.

W czasie Soboru Watykańskiego mówiono, że Kościół powinien mniej się zajmować sobą. Paweł VI w adhortacji *Evangelii nuntiandi* napisał: „Ewangelizację można określić jako pokazywanie Chrystusa Pana tym, którzy Go nie znają...” oraz: „Kościół wtenczas ewangelizuje, kiedy boską mocą tej Nowiny, którą głosi, stara się przemienić sumienie poszczególnych ludzi i wszystkich razem, potem także ich działalność, a wreszcie ich życie i całe środowisko, w jakim się obracają” (punkt 17). Bez tego – jak widać – cała reszta nie na wiele się przyda.

KŁOPOTY Z POLSKĄ TEOLOGIĄ NARODU

„Chcę zaznaczyć, że nasze próby teologii narodu są w takim ujęciu pierwsze w całym świecie. Tworzą one po prostu nową dyscyplinę teologiczną. Ale nowa dyscyplina niesie ze sobą jeszcze dużo niejasności, niepewności i błędzeń” – napisał, uważany za jej twórcę, ksiądz profesor Czesław S. Bartnik (*Teologia narodu*, Częstochowa 1999). Teologiczne spory i dyskusje rzadko interesują tak zwanych zwykłych katolików. Nie jest tak, jak w 1054 roku, kiedy przekupki w Bizancjum kłóciły się o to, czy Duch pochodzi od Ojca poprzez Syna, czy też od Ojca i Syna. A spory się toczą i choć nie zagrażają – jak wtedy – wielką schizmą, to ich konkluzje mogą się okazać brzemiennie w skutki, także dla „szarego katolika”. Tak jest ze sporem o „polską teologię narodu”.

Teologiczne spory i dyskusje rzadko interesują tak zwanych zwykłych katolików.

Nie jest źle, że teologowie – nie od dzisiaj zresztą – badają naród w świetle wiary. Systematyczna refleksja może ułatwić orientację w świecie, w którym jedni na samo słowo „naród” reagują alergicznie, inni zaś naród wynoszą na ołtarz jako rzeczywistość wywodzącą się od Boga, obecną w Jego stwórczym planie (*creatio continua*, patrz wywody księdza profesora Bartnika). Przeciwnicy tego poglądu (jak ksiądz Grzegorz Strzelczyk, polemizujący w 2016 roku z księdzem Bartnikiem na stronie Laboratorium „Więzi”) zwracają uwagę, że „Księga Rodzaju widzi raczej w jedności ludzkości scenariusz zamierzony przez Boga, zaś jej plemienny rozpad ukazuje jako skutek grzechu (wieża Babel) (...). Perspektywa zaś Nowego Testamentu każe – po pierwsze – relatywizować napięcie pomiędzy Żydami i poganami jako dwoma częściami ludzkości (bowiem Chrystus zburzył rozdzielający je mur – por. Ef 2, 11n), po drugie – widzieć w Kościele »miejsce« odradzania się jedności ludzkości (w scenie zesłania Ducha Świętego pojawia się wątek odwrócenia skutków podziału spod wieży Babel: przewyciężenie pomieszania języków)”.

Za księdzem Strzelczykiem zacytuję jeszcze jeden z kluczowych tekstów twórcy

polskiej teologii narodu. „Naród posiada sferę podmiotową, przechodzącą od [odtąd cytaty z Bartnika – G.S.] »wspólnoty natury ludzkiej ku wspólnocie osób, tworzącej pewien najwyższy rodzaj bytowania zbiorowego. Podmiotowość ta nie jest ‘osobą’ w takim znaczeniu jak jednostka, ale posiada coś z osobowości, tak że stanowi jakby podmiotowość osobową, jakby ‘osobę’. Naród ma swój umysł, serce, wolę, działanie, uczucia, psyche. Stąd też mówimy w pewnej przenośni, ale nie fikcyjnie, o ‘duszy narodu’, o ‘duszy polskiej’ lub o ‘duchu polskim’. Ta ‘osobowość’ narodu jest najistotniejszą jego formą i ona decyduje, że dana społeczność ludzi jest narodem i takim oto konkretnym narodem, różnym od innych«”.

Wspomniałem wyżej o brzemiennej skutkach rozstrzygnięcia tego sporu. Na owe skutki wskazuje pytanie o sposób rozpoznania oczekiwań Boga wobec narodu, o odczytanie zleconej mu misji oraz woli samego narodu. W przypadku jedynej, według Objawienia, narodu wybranego taką rolę spełniali prorocy i charyzmatyczni przywódcy-prorocy. Nosicielem tego powołania bywała niewielka „reszta Izraela”.

Teologiczną refleksję nad narodem podejmował Jan Paweł II. W UNESCO (2 czerwca 1980) powiedział: „Naród bowiem jest tą wielką wspólnotą ludzi, których łączą różne spoiwa, ale nade wszystko kultura. Naród istnieje z kultury i dla kultury” (zdaniem księdza profesora Bartnika naród jest rzeczywistością pierwotną w stosunku do kultury). O związku wiary i dziejów narodu mówił papież na placu Zwycięstwa w czerwcu 1979 roku: „Nie sposób zrozumieć dziejów Narodu polskiego – tej wielkiej tysiącletniej wspólnoty, która tak głęboko stanowi o mnie, o każdym z nas – bez Chrystusa. Jeśli byśmy odrzucili ten klucz dla zrozumienia naszego Narodu, narazilibyśmy się na zasadnicze nieporozumienie. Nie rozumielibyśmy samych siebie. Nie sposób zrozumieć tego Narodu, który miał przeszłość tak wspaniałą, ale zarazem tak straszliwie trudną – bez Chrystusa”. To też polska teologia narodu, lecz różna od propozycji księdza profesora Bartnika.

INTRONIZACJA

„Ogłaszanie Chrystusa Królem Polski jest niewłaściwe, niepotrzebne, niezgodne z myślą Episkopatu” – napisali polscy biskupi 16 marca 2008 roku. Zaś 25 października 2012 roku w liście pasterskim „O królowaniu Jezusa Chrystusa” czytamy: „Nie trzeba Chrystusa ogłaszać Królem, wprowadzać Go na tron (...) konieczne jest szerokie otwarcie drzwi Jezusowi, oddanie Mu swojego życia. Gdy dokonamy tego w naszych domach i parafiach, zmieni się oblicze naszej Ojczyzny i Kościoła”. Potem nastąpiła rzecz bez precedensu – Episkopat przyznał się do błędu. Nie uczynił tego nawet po tym, jak po aresztowaniu prymasa Wyszyńskiego w deklaracji z 28 września 1953 roku odciął się od prymasa.

28 stycznia 2016 roku biskup Andrzej Czaja, przewodniczący Zespołu do spraw Ruchów Intronizacyjnych, w wywiadzie dla KAI oświadczył jednak: „trzeba było przyznać rację oponentom, że we wnioskach duszpasterskich listu pasterskiego »O królowaniu Jezusa Chrystusa« zabrakło wyraźnego odniesienia do aspektu społecznego (...) Stwierdziliśmy, że uznanie przez wspólnotę ojczystą panowania Jezusa Chrystusa nad nią jest teologicznie dopuszczalne (...) bardzo potrzebna jest dziś Jego intronizacja”. Być może biskupów przekonała „Opinia teologiczna uzasadniająca prawdę i kult Chrystusa Króla Polski” pióra księdza profesora Czesława Bartnika ze wstępem arcybiskupa profesora Stanisława Wielgusa (wrzesień 2014), bo w liście pasterskim na uroczystość Chrystusa Króla w 2015 roku usłyszeliśmy, że 19 listopada 2016 zostanie dokonany w Krakowie-Łagiewnikach „ogólnopolski akt przyjęcia królowania Chrystusa i poddania się pod Jego Boską władzę”. Słyszając to, pewna starsza pani westchnęła z radością: „No to wymodlili”... Powtarzane od lat w debacie na ten temat słowo „intronizacja” zostało zastąpione określeniem „Akt przyjęcia Jezusa Chrystusa za Króla i Pana”, jako – wyjaśnił biskup Czaja – „bardziej czytelnym”.

Dla wielu wierzących uroczyste wyznanie podporządkowania się Temu, którego „królestwo nie jest z tego świata” i który przyszedł zaprosić ludzkość na ucztę w królestwie niebieskim, jest ewenementem radosnym, co nie znaczy, że sam akt

intronizacji (dla uproszczenia używam starego określenia), jeśli ma być czymś więcej niż tylko kolejnym masowym nabożeństwem i jeśli ma trafić do Polaków spoza katolickiego Kościoła, wymaga gruntownego wyjaśnienia. Na przykład wytłumaczenia, jak ten akt ma się do intronizacji Pana Jezusa na Króla Polski już dokonanych: 13 lipca 1997 na Jasnej Górze przez Rodziny Radia Maryja, 27 lutego 1999 tamże przez 80 radnych Warszawy, 27 sierpnia 2000 w Świebodzinie, w 2003 w Koluszkach, Rabce i w Kielcach, w 2006 w Krakowie na Wawelu.

Może te intronizacje uznano za zbyt lokalne (choć zawsze była tam mowa o Chrystusie Królu Polski). Stąd pytanie: kto może skutecznie intronizacji dokonać „w imieniu narodu”? Wszak w 1965 roku po liście do biskupów niemieckich na zarzut nieuprawnionego występowania biskupów w imieniu narodu ci słusznie odpowiadali, że list napisali we własnym imieniu. Obawiam się, że są Polacy, którzy mogą się nie czuć reprezentowani, nawet przed Panem Jezusem, przez nasz Episkopat i osoby zgromadzone 19 listopada w Łagiewnikach. W przygotowanym przez Episkopat akcie czytamy: „stajemy przed Tobą [wraz ze swymi władzami duchownymi i świeckimi], by uznać Twoje Panowanie, poddać się Twemu Prawu...”. A więc władze duchowne i świeckie?

Akt wyraża uznanie i przyjęcie królewskiej władzy Jezusa nad Polską, a w dalszym ciągu zobowiązanie podporządkowania prawu Bożemu całego życia osobistego, rodzinnego i narodowego. Dla kogo te wobec Boga podjęte zobowiązania będą rzeczywiście wiążące?

Akt ma być – co podkreślono w oficjalnym komentarzu – odpowiedzią na wezwanie świętego Jana Pawła II z homilii inauguracyjnej pontyfikatu: „Nie lękajcie się. Otwórzcie na oścież drzwi Chrystusowi! Dla Jego zbawczej władzy otwórzcie granice państw, systemów ekonomicznych, systemów politycznych oraz kierunków cywilizacyjnych. Nie lękajcie się!”.

Ma być... Czy rzeczywiście będzie?



fot. Beata Zawrzel/REPORTER

Cieżary

DRUGICH NOŚCIE

CIEŻARY DRUGICH NOŚCIE

Mało mnie obchodzi, czy protest rodziców dzieci niepełnosprawnych jest „kapitalną okazją do zrobienia kampanii wyborczej”. Nawet nie bardzo mnie porusza głos rzecznika praw dziecka przeciw sprowadzeniu tych dzieci na manifestację do Sejmu, co się wydarzyło w marcu 2014 roku. Ich obecność w parlamencie porusza uczucia, uruchamia promowaną przez Jana Pawła II „wyobraźnię miłosierdzia”. Dzięki tej manifestacji zderzyliśmy się z problemem ważniejszym niż to, czy podwyższenie świadczeń nastąpi teraz, czy dopiero za kilka lat osiągnie poziom płacy minimalnej (w 2014 wynosi ona 1680 zł brutto, czyli 1237 zł netto). Proponowany przez rząd kompromis (od maja podwyżka do 1000 zł, od 2015 do 1200 zł, a od 2016 do 1300 zł netto) wynika z możliwości państwa. Jak mawiał Gomułka: „z pustego i Salomon nie naleje”.

Bardziej obchodzą mnie głosy, które się pojawiają w tej sprawie w sieci. Pomijam przerażające wypowiedzi autorów oburzających się, że „z naszych podatków mamy utrzymywać ludzi, którzy nigdy nie będą produkcyjni”, czy obwiniających matki, które rodząc takie dzieci, nie zastanawiają się, jak potem dadzą sobie radę. Mój problem dotyczy nie tylko opieki nad niepełnosprawnymi dziećmi, bo w podobnej sytuacji często znajdują się dorosłe dzieci niedołączonych rodziców, na przykład cierpiących na chorobę Alzheimera. Chodzi mi o miejsce w naszym społeczeństwie ludzi najslabszych, całkowicie zdanych na opiekę otoczenia.

Problem jest ogromny. Rozwój medycyny polega między innymi na tym, że ratuje ona i przedłuża życie tym, którzy kilkadziesiąt lat temu nie mieliby szans przeżyć. Niestety, rozwojowi medycyny nie towarzyszy proporcjonalny rozwój społeczny. Czy jeszcze pamiętamy przywołane przez Jana Pawła II w Gdańsku słowa świętego Pawła: „Jeden drugiego brzemiona noście” (Ga 6, 2)? Ukazują one istotę solidarności, tej samej, która otworzyła nam drogę do wolności. „Słowa te – mówił Papież – mają wielką nośność. »Jeden... drugiego«. Człowiek nie jest sam, żyje z drugimi, przez drugich, dla drugich. Cała ludzka egzystencja ma właściwy sobie wymiar wspólnotowy – i wymiar społeczny. Ten wymiar nie może oznaczać redukcji osoby

ludzkiej, jej talentów, jej możliwości, jej zadań”.

Niestety, rozwojowi medycyny nie towarzyszy proporcjonalny rozwój społeczny.

Sytuacja najsłabszych jest miarą kultury każdego społeczeństwa, a także miarą jego chrześcijaństwa. Kto miał okazję zetknąć się z domami opieki społecznej w PRL, dobrze zrozumie, co mam na myśli. Wpis o sytuacji rodziców niepełnosprawnych dzieci: „Kto z tym się nie zetknął, nie jest w stanie sobie tego wyobrazić. A jednak dają sobie radę i cieszą się każdym nowym dniem. Możemy dużo się od nich nauczyć, ale trzeba chcieć. Bo nie wiesz, co ciebie w życiu spotka”.

Sytuacja najsłabszych jest miarą kultury każdego społeczeństwa, a także miarą jego chrześcijaństwa.

Wyobraźnia może także inspirować podejrzliwość. Ktoś inny napisał: „problem polega na tym, że te kobiety chcą zarabiać na upośledzeniu swego dziecka, pełny etat, ubezpieczenie i emeryturka, jeżeli tak się stanie, to niektóre wyrodne matki będą celowo upośledzać swoje dzieci, zdarzają się takie przypadki...”.

Nie mam praktycznych rad, nie wiem, czy trafnym argumentem jest porównywanie przyznanych rodzicom sum do kosztów korwety Gawron. Wiem, że solidarność nie może być standaryzowana (każdemu dać po 300 zł i spokój), wiem, że każdy przypadek wymaga rozeznania, w czym pomoc mogą organizacje pozarządowe. Wiem też, że jeśli na liście priorytetów państwa nie ma śladu solidarności z najsłabszymi, znaczy to, że kultura jest tam w stanie zapaści, nie mówiąc o stanie wartości chrześcijańskich.

Wspieramy najsilniejszych. Funduje się stypendia dla najzdolniejszych – wspaniale. Inwestuje się w obiecujących sportowców – zrozumiałe. Nagradza się najlepszych, bo niby kogo? Protest w Sejmie, niezależnie od kontekstu kampanii

wyborczych, stawia pytanie o najsłabszych. Pytanie o solidarność.

SPOKOJNIE, TO TYLKO KONWENCJA

Konwencja Rady Europy o zapobieganiu i zwalczaniu przemocy wobec kobiet i przemocy domowej została podpisana w Stambule w 2011 roku przez 32 państwa i jako akt prawny wejdzie w życie, jeśli zostanie ratyfikowana przez co najmniej 10 państw, w tym 8 państw członkowskich Rady Europy. W Polsce rząd – po długich dyskusjach – skierował do Sejmu ustawę ratyfikacyjną, a później prezydent Komorowski ją podpisał – do dziś obowiązuje już w 16 państwach.

Konwencja dostarcza wielu narzędzi dla ochrony przed domową przemocą. Sporo z nich istnieje wprawdzie w ustawodawstwach lokalnych, jednak międzynarodowa współpraca na tym polu może zwiększyć skuteczność zapobiegania przemocy. Zwłaszcza że problem jest poważny. Plaga przemocy domowej występuje także w Polsce, a mimo istniejących ustaw możliwości ingerowania państwa w te sytuacje są ograniczone, choćby z powodu zastraszenia czy życiowej (finansowej) bezradności ofiar.

Skąd więc negatywne stanowisko polskiego Kościoła wobec ratyfikacji konwencji? Oczywista jest absurdalność zarzutu, jakoby Kościół bronił przemocy. Jestem przekonany, że nie ma duszpasterza, który zachęcałby żonę do pokornego znoszenia okrucieństwa w imię nierozzerwalności małżeństwa. W takich sytuacjach księża zwykle sugerują sięgnięcie po środki prawne i przewidzianą przez prawo kościelne separację.

Stanowisko Kościoła tak wyjaśnia arcybiskup Henryk Hoser: „Konwencja w opakowaniu problemu agresji wprowadza nową definicję płci. Sugeruje ona, że tradycyjne role społeczne kobiety i mężczyzny są stereotypami, a stereotypy trzeba zwalczać. Tradycyjna rodzina generuje zjawisko przemocy, gdyż role ojca i matki są rozłożone niesymetrycznie, w sposób uwłaczający godności kobiety. W praktyce oznacza to transformację społeczeństwa przez transformację tradycyjnych struktur, które w historii ludzkości istniały od zawsze. Konwencja ma spowodować powstawanie innych, uważanych za równorzędne form rodziny, czyli małżeństw jednopłciowych czy z kilkoma osobami. Jest to zaprogramowana deregulacja

społeczeństwa”.

Istotnie, konwencja główną przyczynę przemocy widzi w strukturach i stereotypach. Zobowiązuje strony do „wykorzenia uprzedzeń, zwyczajów, tradycji oraz innych praktyk opartych na idei niższości kobiet lub na stereotypowym modelu roli kobiet i mężczyzn” oraz do zagwarantowania, że „kultura, zwyczaje, religia, tradycja czy tak zwany »honor« nie będą uznawane za usprawiedliwienie dla wszelkich aktów przemocy...” (art. 12). Strony mają wprowadzać do programów szkół materiały dotyczące „równouprawnienia kobiet i mężczyzn, niestereotypowych ról przypisanych płciom”.

Oczywiście Kościół nie jest przeciwko równouprawnieniu. Te i podobne sformułowania budzą jednak obawę, że – cytuję jeden z komentarzy – „w przypadku ratyfikacji konwencji Magisterium Kościoła łatwo będzie przedstawiać jako hołdujące stereotypowemu pojmowaniu ról kobiet i mężczyzn (na przykład nauczanie Kościoła katolickiego o niemożności udzielania święceń kapłańskich kobietom), którym powinno się przeciwstawiać w specjalnie przygotowanych materiałach edukacyjnych. Zobowiązanie z art. 14 ust. 1 posługuje się tak pojemnym znaczeniowo językiem, a poszczególne jego fragmenty są tak ogólne, że mogą stać się narzędziem do redefiniowania dotyczących tej problematyki materiałów do nauki”.

Oczywiście Kościół nie jest przeciwko równouprawnieniu.

„Określenie »płeć kulturowo-społeczna« (*gender identity*) jest przykładem nowo powstałego terminu politycznego. Głównym celem wprowadzenia tego określenia jest przewyższanie biologicznego faktu, że istnieją tylko dwie płcie, próba rozszerzenia rozumienia płci o nowe znaczenia, na przykład uwzględniające transseksualistów” – pisze słowacki prawnik i polityk chadecji, były wicepremier Daniel Lipšic.

O powodach zastrzeżeń wobec konwencji, nie tylko ze strony Kościoła, mówił w rozmowie z „Tygodnikiem Powszechnym” wiceminister sprawiedliwości Michał Królikowski. Zastrzeżenia dotyczą jednak bardziej możliwości interpretacji niż

samego dokumentu. Konwencja ma zaś chronić przed przemocą ludzi żyjących we wszelkiego rodzaju środowiskach: w rodzinach uznawanych za takie przez nas i nieuznawanych, we wszystkich religiach, nie tylko chrześcijańskiej, i wszystkich tradycjach.

Co przypominam na obronę tego dokumentu.

DZIECI ŚMIECI

Prekariat „składa się z wielości ludzi znajdujących się w niepewnej sytuacji, żyjących jedynie skrawkami życia, nieustannie zmieniających tymczasowe zatrudnienie, wyłączonych poza narrację o rozwoju zawodowym. Prekariat obejmuje miliony sfrustrowanej, wykształconej młodzieży, której nie podoba się to, co ma przed sobą; miliony sponiewieranych kobiet w przytłaczających zawodach; rosnącą liczbę ludzi naznaczonych jednym kryminalnym występkiem na resztę swojego życia, miliony osób uznanych za »niepełnosprawnych« oraz setki milionów migrantów na całym świecie. Są mieszkańcami [*denizens*]; dysponują zakresem praw społecznych, kulturowych, politycznych i ekonomicznych znacznie węższym niż otaczający ich obywatele [*citizens*]”. Tak brytyjski badacz zjawisk społecznych i ekonomista Guy Standing w książce *Prekariat. Nowa niebezpieczna klasa* (PWN 2014) charakteryzuje tę kategorię ludzi i dowodzi, że mamy do czynienia z klasą, która „nie jest jeszcze tym, co Karol Marks określiłby mianem klasy dla siebie, ale raczej »właśnie-wytwarzaną-klasą«, podzieloną wewnątrz na rozwściezione i rozgoryczone frakcje”. Łączy ich niepewność sytuacji ekonomicznej, pociągająca za sobą całą serię obszarów braku bezpieczeństwa.

W Polsce osób, które nie mają stabilnej pracy (umowy bezterminowej), jest około miliona; związki zawodowe utrzymują, że cztery razy więcej. Zjawisko zresztą nie jest specyficznie polskie, występuje na całym świecie. Prekariuszami są oczywiście nie tylko zatrudnieni na „umowy śmieciowe” (tak się określa umowy o dzieło, nie umowy-zlecenie, od których pracodawca płaci składki ZUS; rzecz jednak nie ogranicza się do składek), ale mnóstwo innych grup społecznych, żyjących w stanie permanentnej niepewności, co musi się odbijać na psychice i rujnować ich relacje ze społeczeństwem. O ile salariat w ciągu ostatnich dwóch stuleci wywalczył sobie prawa, które, niegdyś uważane za utopijne, dziś są powszechnie akceptowaną oczywistością, o tyle prekariat tych praw nie posiada i dopiero w ostatnich latach zaczyna o nie walczyć. Z trudem, bo jak oczekiwać na przykład od kogoś, kto mając do wyboru bezrobocie albo zatrudnienie na „śmieciówce”, wybrał to ostatnie, że

będzie chciał niszczyć niepewne, ale zawsze jakieś podstawy swojej egzystencji?

Spychanie ludzi w sytuację prekariusza za pomocą wymuszania na pracownikach przechodzenia na tak zwaną „własną działalność gospodarczą” lub pracy na umowy cywilne bywa cynicznym sposobem zwiększania zysków, chociaż bywa też, z powodu kosztów pracy, sposobem utrzymania firmy i kontynuacji zatrudnienia. To jednak zawsze stwarza sytuację niepewności.

O złożonym zjawisku prekariatu, jego przyczynach, formach i perspektywach, pisaliśmy w „Tygodniku” nie raz. Temat jest ważny, bo mamy do czynienia z procesem społecznym, którego efekty – w wymiarze globalnym – są nie do przewidzenia.

Guy Standing wskazuje na dwie kategorie prekariatu. „Pierwsza chce stawić czoła niepewnościom przez politykę oraz instytucje redystrybuujące bezpieczeństwo i stwarzające wszystkim możliwość rozwijania swoich możliwości”. Druga, napędzana nostalgią za domniemaną „złotą erą”, wściekła i zgorzkniała patrzy, jak rządy na jej koszt ratują banki i bankierów, jak nie reagując na nierówności, subsydują uprzywilejowanych i salariat. Ta kategoria „atakuję rządy i demonizuje tych, których zdają się one uprzywilejowywać”. „Jeżeli ta druga tendencja się utrzyma – konkluduje brytyjski badacz – zagrożone zostanie całe społeczeństwo”.

Nie wiem, co dla prekariatu może zrobić Kościół. Dla proletariatu miał – przynajmniej przez jakiś czas – księży robotników. Ale księży prekariusze? Trudno to sobie wyobrazić. Chociaż nie, jeden już jest: ksiądz Wojciech Lemański.

CO ZROBIĆ Z ROKIEM MIŁOSIERDZIA?

Pana M. spotkałem w Krakowie, na ulicy. Sympatyczny młody człowiek w okularach. Plecaczek, w oczach zmęczenie. Zwięźle opowiedział swoją historię: poważne studia i praca. Teraz został skrzywdzony, odebrano mu prawo wykonywania zawodu. W tej sprawie musi pojechać do Warszawy. Nie ma na bilet. Budził zaufanie i współczucie. Dałem mu pieniądze i zapomniałem. Ale on pamiętał. Szukał mnie dwa lata, aż znalazł. Był bezdomny, ale nie to go trapiło. Walczył z potężnym aparatem wszelkich służb. Walczył, a jednocześnie się chronił przed spiskiem tych służb. Walczył o prawdę, a one go śledziły. Dochodził prawdy o śmierci ojca i innych krzywdach. Czuł się prześladowany, ścigany. Kontroler w miejskiej komunikacji był nasłanym na niego tajniakiem, to samo urzędnik na poczcie... wszędzie.

Pan M. potrafił sensownie mówić o swojej zawodowej specjalności i opowiadać niestworzone historie o tym, jak jest nękanym. Podawał adresy, nazwiska. Jeździłem, sprawdzałem. Nic się nie zgadzało, ale to była jego prawda, która determinowała jego życie. Jego udręka. Spał w nocnych autobusach albo, kiedy było ciepło, na dworze. Jakieś wsparcie chyba znajdował w kościołach, ale księża się zniechęcali, przestawali go wspierać. U mnie się zjawiał co tydzień, w niedzielę. Razem jedliśmy śniadanie, potem wychodziliśmy do ogrodu zapalić. Co zostawało ze śniadania, chętnie pakował do toreb. Opowiadał swoje dzieje. Obsesyjnie te same historie.

Kiedyś ktoś z moich przyjaciół zaproponował mu mieszkanie na zimowe miesiące. Pojechaliśmy zobaczyć. Mieszkanie skromne, ciepłe. Woda w kranie, łazienka, kuchnia. Pan M. był przerażony. Nie, nie chce tam zamieszkać. Wyśledzą go, dopadną, może zabiją. Nie będzie narażać właścicieli. Więc go zabrałem do samochodu. Pytam: „Gdzie pana wysadzić, panie M.?”. On: „Gdziekolwiek”. Logiczne, jest bezdomny. Wsiadł, a ja pojechałem do mojego ciepłego klasztoru.

Nadal przychodził. Mógł się wykapać, ogolić, zjeść i tak dalej. No i nagle przestał. Szukałem go. Znalazłem kogoś, kto go widział, znaczy, że żyje.

To było już ponad rok temu. Więcej się nie pokazał. Nie wiem, gdzie jest. Może choruje (miał paskudnie ropiejącą nogę, sam ją kurowałem, znał się na tym, ale do

szpitala iść nie chciał). Może go zamknęli? Może znalazł kogoś, kto pomógł mu wyjść z koszmaru urojeń i wrócić do normalnego świata? Nie wiem... Kiedyś strażmiejska zapakowała go do „psychiatryka”. Wtedy potrafił się całkiem legalnie wydostać. A może wpisał mnie na swoją listę agentów?

Nadchodzą święta i myślę o panu M. Coraz bardziej zaniedbany, coraz bardziej zatopiony w swoich lękach, z dyplomem, który mógłby mu zapewnić całkiem godziwy status, bezdomny, bezbronny, samotny, okradany przez innych takich jak on, wykluczony. Pan M. – mój znajomy z peryferii.

Papież Franciszek o miłosierdziu: „Nie możemy uciec od słów Pana, gdyż to na ich podstawie będziemy osądzeni: czy daliśmy jeść temu, kto jest głodny, czy daliśmy pić temu, kto jest spragniony, czy przyjęliśmy przybysza i ubrali nagiego, czy mieliśmy czas, aby być z chorym i z więźniem (por. Mt 25, 31–45). Podobnie również zostaniemy zapytani, czy pomogliśmy wyjść z niepewności, które sprawiają, że człowiek zaczyna się bać, i które stają się źródłem samotności”. Dałem jeść i pić, ubrałem, ale z lęków nie wyleczyłem. Ojczy Świąty, jak miałem to zrobić? Jak?!

Dałem jeść i pić, ubrałem, ale z lęków nie wyleczyłem. Ojczy Świąty, jak miałem to zrobić? Jak?!

Powiedział mi mądry zakonnik, który od lat pracuje z bezdomnymi: nie wiercie, kiedy mówią, że chcą być bezdomni. Nikt nie chce, nawet jeśli mówi, że chce.

Pisze przedsiębiorca: „każdemu, kto się zwraca do mnie po wsparcie, proponuję pracę na budowie. Do tej pory nie zgłosił się żaden”. Ciekawe, czy przedsiębiorca zapytał, dlaczego. Pewnie myśli, że zna odpowiedź: dlatego, że są leniwi, że nie chce się im pracować, że piją, że palą i tak dalej. Franciszek, zanim został papieżem, mówił swoim penitentom, że nie wystarczy potrzebującemu dać jedzenie, pieniądze, ale dając, trzeba popatrzeć mu w oczy, trzeba podać rękę. Kiedy więc odwiedzałem ośrodek dla bezdomnych w Krakowie, każdemu z nich podawałem rękę i patrzyłem w oczy. Mój przewodnik powiedział, żeby nie podawać, bo złapię egzemę. Wskazał

przywieszono obok drzwi urządzenie do dezynfekowania rąk. Zdezynfekowałem, bo się przestraszyłem egzemy. Ciekawe, co by pomyśleli ci, z którymi się witałem, gdyby to widzieli.

Gdybym panu M. zaproponował zamieszkanie w naszym klasztorze, pewnie ofertę by przyjął. Ale nie zaproponowałem. Dlaczego? Odpowiem tylko temu, kto do swojego własnego mieszkania przyjął bezdomnego.

W Polsce jest ich 30,7 tysięcy. 70 procent przebywa w placówkach pomocy. Reszta – około 8,5 tysiąca osób – mieszka na ulicy, w pustostanach, działkowych altanach.

Opisałem historię pana M. Mógłbym opisać jeszcze inne, podobne, w których chęć pomocy trafia na przeszkody nie do pokonania. Wezwania Ewangelii, przypomniane przez papieża Franciszka w Jubileuszowym Roku Miłosierdzia, są piękne, lecz nie łudźmy się, że możliwe do zrealizowania bez odpowiednich struktur. One zresztą istnieją. Programy Ministerstwa Rodziny, Pracy i Polityki Społecznej, mnóstwo fundacji, stowarzyszeń, dzieł prowadzonych przez niektóre zakony i parafie, Caritas Polska, Monar. Z ośrodkami współpracują wolontariusze: lekarze, prawnicy, psychologowie.

Konkluzje? Nie łudźmy się, że w pojedynkę, nawet z najlepszymi chęciami, zdołamy zaradzić bezdomności. Bezdomność to nie tylko brak dachu nad głową, ale splot problemów: materialnych, psychologicznych i duchowych. Jeśli jeszcze nie dotknęła nas nieczułość i jeszcze nas porusza widok tych tragicznych postaci, to przyłączmy się do działań dobrze zorganizowanych, rozmawiajmy z tymi, którzy znają świat bezdomnych. Idźmy do parafii takiej, jak kiedyś opisana w „Tygodniku” parafia barnabitołów w Warszawie, do braci kapucynów na Smoleńsk w Krakowie czy gdzie indziej. Tam powiedzą nam, co rzeczywiście sensownego możemy zrobić dla tych, o których się upomina papież Franciszek.

A jeśli potrafimy zaprosić bezdomnego na wigilię, to zaprosimy, niech usiądzie przy pustym nakryciu. Jego sytuacji życiowej to nie zmieni, jak nie zmienią wigilie na krakowskim Rynku czy w klasztorze Franciszkanów. Choć nie wyrwą go z bezdomności, to przywrócą odrobinę poczucia własnej godności. Bo ważniejszy niż 5 zł, o które prosi, może się okazać bezinteresowny gest życzliwości, jak uścisk dłoni

czy spojrzenie w oczy. Dotąd wiedział, że bezdomnym się gardzi, że go nikt nie szanuje. A tymczasem...

A jeśli potrafimy zaprosić bezdomnego na wigilię, to zaprosimy, niech usiądzie przy pustym nakryciu.

To też wynika z Bożego Narodzenia.

NASZE ŚWIĄTECZNE UCZTOWANIE

Aż się nie chce powtarzać odwiecznych (dodajmy – daremnych) ubolewań, że święta Bożego Narodzenia (Bożego!) zmieniły się u nas w święta obżarstwa. Ubolewał nad tym niegdyś w „Tygodniku” Kisiel, ubolewają od czasu do czasu kaznodzieje. Cieszą się tym producenci jadła. Kiedy ludzie na co dzień nie dojadali, świętowanie polegało także na najedzeniu się do syta, na sięganiu po potrawy niedostępne w zwyczajne dni, na przykład mięso. Kiedy przestali nie dojadać, wprowadzili do rytu świętowania rozkosze podniebienia. Do tego dodali, gdy chodzi o Boże Narodzenie, podtekst religijny, czy raczej rytualny. Szokiem było ogłoszenie w 2003 roku przez naszych biskupów, że w Wigilię nie obowiązuje „wstrzemięźliwość od pokarmów mięsnych”. Mięso na wieczerzy wigilijnej?! Toż to jawne odstępstwo od wiary ojców!

Jest, jak jest – i w naszym katolickim piśmie piszemy dziś o jedzeniowych obyczajach Polaków, również tych bożonarodzeniowych. A mnie powraca na pamięć śp. profesor Andrzej Grzegorzczak i wydarzenie z maja 2008 roku. Tego roku wręczenie Medalu Świętego Jerzego odbywało się w auli Instytutu Fizyki Politechniki Warszawskiej. Tak jak zwykle, po części oficjalnej, było skromne przyjęcie. Catering na miarę naszych możliwości, wsparty jak zwykle przez któregoś ze szlachetnych fundatorów. Kiedy uroczystość zbliżała się do końca i goście zaczęli się rozchodzić, chociaż na stołach pozostało jeszcze sporo jadła, podszedł do mnie Andrzej Grzegorzczak i z przejęciem mówił, że coś jest nie w porządku, bo wokół nas wielu ludzi nie ma co jeść, a my tu się smakołykami objadamy. Prosił, wręcz się domagał, by przynajmniej to, co pozostało, dać tym głodnym ludziom. Okazało się, że firma cateringowa nie ma prawa do takich akcji. Coś jednak sami przekazaliśmy. Teraz już zawsze na takich oficjalnych przyjęciach wraca wspomnienie Andrzeja Grzegorzczaka, który – nie przesadzam – cierpiał, patrząc na nasze, pozał się Boże, ucztowanie, gdy obok nas są ludzie głodni.

Informacja, że rocznie z głodu umiera od 13 do 18 milionów ludzi, że w ciągu jednego dnia około 75 tysięcy, w ciągu jednej minuty około 35 osób, że 826 milionów ludzi na świecie cierpi z powodu głodu i niedożywienia – z czego 792 miliony

w krajach rozwijających się oraz 34 miliony w krajach uprzemysłowionych – obezładnia. Cokolwiek byśmy zrobili, zawsze to będzie zaledwie kroplą w oceanie. Świadomość, że obok – w moim mieście, na ulicach, którymi chodzę – są ludzie, którzy głodują, że człowiek, który mnie prosi o pomoc, który przychodzi do miejsc, gdzie się rozdaje posiłki dla bezdomnych, który po prostu stoi przy sklepie spożywczym i na mnie patrzy, nie ma co jeść i za co kupić jedzenia, jest głodny, osłabiony głodem – albo się nie mieści w głowie, albo zmusza do zrobienia czegoś z jego głodem.

Na szczęście są klasztory, są parafie, są miejsca, w których – lepiej lub gorzej – każdego zjawiającego się głodnego nakarmią. I w naszej redakcji są dni, kiedy kuchnia zapełnia się młodymi kolegami i koleżankami, a wieczorem wyjeżdża z niej kocioł gorącej zupy dla bezdomnych.

Najczęściej jest jednak tak: są jacyś „oni”, którzy karmieniem głodnych się zajmują. Zresztą – pocieszamy siebie – może ten głodny to pijak, może lekkoduch, sam sobie jest winien. A może nie głodny, lecz naciągacz... A on stoi w zniszczonym ubraniu i butach nie od pary, chyba trawiony gorączką. Nie ma odwagi prosić. Stoi i na nas patrzy.

Nie mam zamiaru opowiadać tu nowej wersji *Dziewczynki z zapałkami*, ale wierzcie mi, beznadziejnie głodni są blisko, ludzie starzy, w sile wieku i dzieci. Nie mam też zamiaru komukolwiek psuć świątecznych radości stołu, ani nie uważam, że wszyscy powinniśmy w wigilijny wieczór biec na dworzec z kociołkiem zupy rybnej dla głodnych. Jestem jednak pewien, że wszyscy musimy się dzielić z głodnym, żeby w końcu nie było u nas głodnych. Można samemu głodnego nakarmić, można skorzystać z pomocy tych, którzy wiedzą, jak to robić i to robią, by przekazać dary.

Jestem jednak pewien, że wszyscy musimy się dzielić z głodnym, żeby w końcu nie było u nas głodnych.

Warto też, oglądając świąteczne reklamy, wdychając smakowite zapachy, patrząc przez szyby na ludzi siedzących w dobrej restauracji, wejść w skórę człowieka

głodnego, który wie, że ten świat dokoła jest dla niego światem zawsze niedostępnym.

Bóg się rodzi, żeby nam powiedzieć: byłem głodny, a wy nakarmiliście Mnie. Czy nie nakarmiliście?

**Bóg się rodzi, żeby nam powiedzieć: byłem głodny,
a wy nakarmiliście Mnie. Czy nie nakarmiliście?**



fot. Andrzej Iwanczuk/REPORTER

Czy Bóg

WYBACZY?

ZDERZENIE MENTALNOŚCI I MOTYWACJI

Nałożenie na księdza Wojciecha Lemańskiego kary suspensy (w sierpniu 2014 roku) jest wydarzeniem dramatycznym. Dramatycznym dla księdza Lemańskiego, dla arcybiskupa diecezji warszawsko-praskiej, dla katolików, którym dobro Kościoła leży na sercu i – nie waham się powiedzieć – dla Kościoła w Polsce.

Ksiądz Lemański czuje się pokrzywdzony. Kiedy mówi: „Kocham Kościół, jest on moim domem i nie pozwolę się z niego wypchnąć”, mówi to z najgłębszego przekonania, a w sporze z kurią i arcybiskupem – cokolwiek by nie powiedzieć o sposobach prowadzenia go – chodzi mu o obronę pięknego oblicza Kościoła.

Arcybiskupowi także nie jest lekko, zwłaszcza teraz, kiedy poczuł się zmuszony do odwrotu z drogi pojednania. Jeszcze niedawno, powierzając księdzu Lemańskiemu obowiązki kapelana w Mazowieckim Centrum Neuropsychiatrii w Zagórz, powiedział: „Uważam, że to jest dobry kapłan. Jego posługa w szpitalu nie będzie łatwa”. I dodał, że na takie odcinki duszpasterskiej pracy powołuje się księży, którzy „dobrze rokują”.

Wydawało się, że następuje deeskalacja konfliktu. Ksiądz Lemański otrzymał między innymi zgodę na okazjonalne odprawianie (w porozumieniu z nowym proboszczem) Mszy Świętych obrzędowych (śluby, pogrzeby i tym podobne) w Jasienicy. Pozwolenie po kilku dniach cofnięto – może byłoby lepiej wcale go nie udzielać?

Katolicy w Polsce (rzecz stała się medialnym hitem krajowych mediów) czują się w tej sprawie zagubieni, często zaangażowani w spór między obrońcami księdza Lemańskiego a obrońcami kościelnej dyscypliny. Jedni z ulgą przyjęli informację o symptomach zakończenia sporu. My w „Tygodniku” z radością pisaliśmy o symptomach pojednania. I teraz, nagle, w dniu Matki Bożej Królowej... ta suspensa.

Suspensa to poważna kara kościelna. Biskupi nie sięgają po nią często, a ukaranemu przysługuje prawo odwołania (pamiętamy te wszystkie daremne odwoływania się księdza Wojciecha!). Podobno dekret o suspensie, który arcybiskup

przyniósł na poprzednie spotkanie, po rozmowie z księdzem Lemańskim podarł. Czy teraz dekret został sklejonny? Dlaczego teraz? Co przelało kielich biskupiej goryczy?

Czytamy tam, że kara zostaje nałożona za: „Brak ducha posłuszeństwa i notoryczne kontestowanie decyzji prawowitego przełożonego w osobie Biskupa Diecezjalnego i Stolicy Apostolskiej; sposób postępowania, który przynosi kościelnej wspólnocie poważne szkody i zamieszanie; publiczne podważanie nauczania Kościoła w ważnych kwestiach natury moralnej i propagowanie jako alternatywy swoich osobistych poglądów; brak szacunku i podważanie wiarygodności Episkopatu Polski i kapłanów; upór w zajmowanej postawie, alienację ze wspólnoty kapłańskiej i szeroko pojętej wspólnoty Kościoła”. Z pewnością te hasłowe oskarżenia zaopatrzone w szersze wyjaśnienia. Wiele z nich można by postawić także duchownym działającym w zakresie nieporównanie szerszym niż ksiądz Lemański. Ci jednak robią swoje, a nawet cieszą się względami pewnej części hierarchii Kościoła.

Dla bardzo wielu zwykłych katolików Wojciech Lemański – ksiądz – jest uosobieniem dobrego pasterza. Nie podważał nauczania Kościoła, lecz domagał się innego języka w jego przekazie. Nie kontestował przełożonego, lecz odwoływał się od jego kolejnych decyzji, korzystając z przyznanego mu przez kościelne kanony prawa.

Są i tacy, których przerażał i gorszył. Postępowanie księdza i jego wypowiedzi (na przykład kiedy mówił: „Moim zdaniem pokora i posłuszeństwo nie mogą oznaczać zgody na niesprawiedliwość i krzywdę, jakiej doświadczyłem od ludzi Kościoła”) stały w sprzeczności z ich wyobrażeniem Kościoła, chrześcijańskiej pokory, kapłańskiego posłuszeństwa.

Z właściwą sobie przenikliwością Halina Bortnowska tak rzecz skomentowała: „Użycie tego sformułowania – »znęcają się nad nim« – zakładałoby świadomą i złą wolę tych, którzy te decyzje podejmują. A ja myślę, że tu jednak chodzi o zderzenie mentalności, epok i motywacji”.

I tak były proboszcz małej Jasienicy został pokonany. Tomasz Terlikowski już się cieszy. Przecież zapowiadał: „Niebawem się jednak przekonamy o tym, [czy] jako były ksiądz Wojciech Lemański będzie komukolwiek potrzebny”. „Jako były”? Suspensa nie wyklucza księdza ze stanu duchownego.

W „zderzeniu mentalności, epok i motywacji” roztrzaskany został ksiądz Lemański. Doprawdy, nie ma się z czego cieszyć.

CONFESSIONES BISKUPA JARECKIEGO

Kim jest biskup? W perspektywie laickiej jest menedżerem, szefem, a jednocześnie przewodnikiem religijnym. W perspektywie wiary – następcą Apostołów, kapłanem w pełni (tylko on może wyświęcać księży i konsekrować nowego biskupa).

Jak to ma w praktyce funkcjonować, Pan Jezus dokładnie nie określił. Samo życie wymagało ustanowienia urzędu „starszych” – tych, którzy stali na czele wspólnoty. Stopniowo status „starszych” coraz precyzyjniej określano, na Zachodzie sięgając do wzorców administracji Cesarstwa Rzymskiego. Funkcję biskupa zaczęły wyrażać insygnia: pierścień, krzyż, kolor szat, nakrycia głowy (na co dzień piuska, na momenty uroczyste mitra). Po Soborze uroczysty strój biskupi, nieco uproszczony, zachował dyskretny urok majestatu. No i tytuły: następcą Apostołów, „jego ekscelencja” (lub „eminencja”, jeśli jest kardynałem), zawsze z dodatkiem „najczcigodniejszy”.

Biskupi pomocniczy zwykle (ale niekoniecznie) partycypują we władzy ordynariusza. Ich wypowiedzi, decyzje i zachowania utożsamia się – *pars pro toto* – z Kościołem. Biskupem nie można przestać być, można co najwyżej (dobrowolnie lub z nakazu) przestać pełnić biskupie funkcje. Jakkolwiek to zabrzmiał, powiem, że biskupi w Kościele to kategoria VIP (*Very Important Person*) *sensu stricto*.

Ksiądz Piotr Jarecki biskupem pomocniczym w archidiecezji warszawskiej został młodo (urodzony w 1955, sakra w 1994). Później zdążył być zastępcą sekretarza Konferencji Episkopatu, polskim przedstawicielem w COMECE (Komisji Konferencji Biskupów Wspólnoty Europejskiej), a nawet jej wiceprzewodniczącym oraz członkiem Papieskiej Komisji „Iustitia et Pax”. Wyróżniał się wykształceniem w zakresie nauk społecznych, bystrym umysłem i światowym obyciem. Dbał o swój wizerunek zewnętrzny: nienaganna sylwetka (codziennie rano biegał), staranny ubiór. Dbał o wizerunek intelektualny: pasjonat poważnych lektur, na bieżąco zorientowany w świecie kultury, obracający się w najlepszym towarzystwie. Znał swoją wartość i choć nie zawsze czuł się doceniany, robił wrażenie zadowolonego z siebie.

Niestety, 20 października 2012 roku na rogu warszawskich ulic Wybrzeże

Gdańskie i Boleść biskup Piotr Jarecki wjechał toyotą yaris w uliczną latarnię, a w jego krwi stwierdzono 2,6 promila alkoholu (pół litra whisky, jak ponoć wyjaśnił funkcjonariuszom straży miejskiej). No i się zaczęło: media nie zostawiły na nim suchej nitki. Nie pomogło, że winy się nie wyparł ani że wyrok sądu przyjął, że publicznie przeprosił i poinformował, iż podda się kuracji, ani że Watykan zawiesił go w biskupich czynnościach. Cóż, dla niektórych dopaść „biskupa pijaka” to prawdziwa gratka. Niewielu jak ksiądz Wojciech Lemański dziękowało mu za „odwagę publicznego stanięcia w prawdzie” i za to, że „zrobił wyłom w twierdzy Episkopatu, przez który to wyłom padnie snop światła z latarni na Wybrzeżu Gdańskim”.

Jak biskup Jarecki przeżywał publiczne upokorzenie, które zresztą sam sobie zafundował? Część okresu „wycofania z obiegu” spędził w opactwie trapistów Abbey of the Genesee. Tam, żyjąc twardym życiem wspólnoty, napisał książkę, którą czytałem jak – z zachowaniem proporcji – książkę innego biskupa zatytułowaną *Wyznania (Confessiones)*. Chłodna, rzeczowa i bezlitośnie szczerą refleksja odbiega od biskupiego stylu, do którego przywykliśmy. Autor nie poucza nikogo, daleki od religijnej egzaltacji patrzy na swoje dotychczasowe życie i odkrywa, jak rola społeczna (pełniona funkcja, kierowane doń oczekiwania) niszczyła w nim człowieka, wierzącego, księdza i biskupa.

O wszystkich tych sprawach biskup Piotr zgodził się ze mną porozmawiać, a rozmowę tę opublikowaliśmy w „Tygodniku” w 2015 roku. Nie był to wywiad z alkoholikiem, który zerwał z nałogiem. W tej historii alkohol to jedynie fragment straszliwego procesu destrukcji z zachowaniem pozorów normalności. Przeczytajcie, proszę, ku przestrodze wielu.

DLACZEGO O TYM PISZECIE?

Kiedy w PRL-u lansowano książkę Natalii Rolleczek, potem film (Petelskich) *Drewniany różaniec*, odbieraliśmy to jako atak na Kościół i na zakony. Podobnie było z reportażami o nadużyciach w jakichś kościelnych instytucjach wychowawczych. Większość takich instytucji Kościołowi odebrano, jednak jakieś zostały, bo taki reportaż pamiętam.

Wybiórczo nagłaśniano negatywne przypadki związane z Kościołem, jakby podobnych nie było gdzie indziej, na przykład w domach TPD. Odbieraliśmy to jako jeden ze sposobów dyskryminowania Kościoła, podejrzewając, że fakty celowo były wyolbrzymiane. W tych gazetowych relacjach czuło się w podtekście *Schadenfreude*: „oto macie wasz Kościół!”. Kto więc krytykował cokolwiek w Kościele, *ipso facto* sytuował się po stronie „onych”. Ta sytuacja wytworzyła w katolikach, a w księżach szczególnie, alergiczną wrażliwość na krytykę i odruch traktowania jej zawsze jako zamachu na Kościół i wiarę. Coś z tego myślenia w nas zostało. Stąd też od czasu do czasu pytania kierowane do „Tygodnika”: „po co wy o tym piszecie?”.

Do dziś można też spotkać przekonanie, że „katolicki dziennikarz”, widząc coś złego w Kościele, winien zamilknąć. „Matki się nie krytykuje”, upomniał nas kardynał Andrzej Deskur, włączając się do Tygodnikowej debaty o krytyce w Kościele. Katolickie pismo, więc zawsze, cokolwiek się stanie, kościelnej instytucji ma bronić. Wskazać „prawdziwych winnych”, a jeśli się nie da, to raczej milczeć, niż „kłać własne gniazdo”. Stąd też te pytania do nas: „po co i wy o tym piszecie?”.

Do dziś można też spotkać przekonanie, że „katolicki dziennikarz”, widząc coś złego w Kościele, winien zamilknąć.

No ale jak tu nie pisać o strasznej historii prowadzonego przez siostry boromeuszki zakładu wychowawczego w Zabrze? Proces sądowy (w latach 2007–

2010) przeciw siostronom zakończył się uznaniem dwóch zakonnice za „winne przemoc psychiczną i fizyczną wobec wychowanków oraz podlegania do aktów pedofilskich”. W 2015 roku tę historię przedstawiła Justyna Kopińska w książce *Czy Bóg wybaczy siostrze Bernadecie?*. Rzeczowo, na podstawie dokumentów i świadectw z pierwszej ręki, opisała zakład wychowawczy dla dzieci, przemieniony przez siostry w „koszmarny obóz, w którym panowały: przemoc, gwałt i strach” (to słowa Małgorzaty Szumowskiej z czwartej strony okładki). „Ta książka to więcej niż reportaż, to moralitet” – napisał Adam Michnik.

Przypomnienie tych wydarzeń spowodowało do zabrania głosu także „Tygodnik”. Choć „jeden jest nasz Ojciec w niebie” i choć „wszyscy braćmi [i siostrami] jesteśmy”, to więzi z Kościołem nie da się sprowadzić do więzi kręgu rodzinnego. Kościół jako instytucja uczestniczy w życiu społeczeństwa i jego funkcjonowanie w społeczeństwie jako instytucji podlega tym samym prawom i obowiązkom, co innych uczestników życia społecznego. Jest przedmiotem krytycznej oceny – jak inne instytucje.

W opisaną przez Justynę Kopińską historię zakładu sióstr boromeuszek w Zabrzu zdumiewa beztroska zakonu, kierującego przypadkowe zakonnice do pracy wymagającej wysokiej klasy profesjonalnego przygotowania, przyjmując, że wystarczy, iż siostra „kochająca dzieci”. Przeróżający jest opisany tam podział kompetencji co do nadzoru. W zakresie metod wychowawczych zakon pozostawiony jest samemu sobie. Kuratorium interesuje się nauczaniem. Sytuacji w zakładzie nie kontroluje żaden kompetentny inspektor z zewnątrz.

Z pewnością istnieją znakomite zakłady prowadzone przez Kościół. Jeśli kościelne zakłady na ogół cieszą się zaufaniem, to nie dlatego, że w nazwie mają pobożne słowa, ale dlatego, że się sprawdziły... na ogół. Przypadek Zabrze zmusza tych, którym zależy, by działalność Kościoła zawsze była świadectwem miłości Jezusa, do refleksji nad mechanizmem ogromnego zła, jakie się tam działo, nad znalezieniem trwałego remedium.

Nie chcemy takich spraw zostawiać tabloidom. Dlatego o tym piszemy. Taka jest misja mediów, także katolickich. Rzecz nie w tym „czy pisać?”, ale w tym „jak?”.

PYTANIA I MILCZENIE

Na mszy odprawionej za arcybiskupa Józefa Wesołowskiego w Watykanie homilii nie było. Przewodniczący liturgii papieski jałmużnik arcybiskup Konrad Krajewski zastąpił ją cichą medytacją. TVN informację o tej mszy zakończyła komentarzem księdza Krzysztofa Charamsy, teologa z Kongregacji Nauki Wiary. Powiedział on tylko, że jest to moment, „by się głęboko zastanowić nad cierpieniem wszystkich ofiar nadużyć seksualnych”. Historia arcybiskupa Wesołowskiego, dla wierzących bolesna i gorsząca – jako nuncjusz w Dominikanie został oskarżony o pedofilię, później wydalono go ze stanu duchownego i osadzono w areszcie domowym w Watykanie – wraz z jego śmiercią została ochoczo podjęta w mediach, niekiedy ze źle skrywaną satysfakcją („patrzcie, jaki jest ten wasz Kościół!”). Episkopat milczał.

Milczenie arcybiskupa Krajewskiego na mszy pogrzebowej rozumiem, lecz żałuję, że i biskupi wybrali milczenie. Tylko raz się w tej sprawie odezwali: przed procesem (11 lipca 2015), za pośrednictwem Biura Prasowego KEP wyrazili nadzieję, że „sprawa zostanie rozstrzygnięta zgodnie z zasadami sprawiedliwości i przejrzystości”. I podkreślili, że „dążenie do wyjaśnienia tej bolesnej sprawy” świadczy o determinacji Stolicy Apostolskiej „w dążeniu do ochrony dzieci i młodzieży”. Wyrazili też „głębokie współczucie wszystkim, których ta sprawa dotknęła”. Wtedy trudno było coś więcej powiedzieć. Ale teraz...

Na stronie Konferencji Episkopatu znajdują się listy pasterskie, komunikaty i tematy podejmowane na kolejnych (numerowanych) zebraniach KEP. Ostatnio dominowała sprawa ustawy o *in vitro* ze słynnym oświadczeniem przewodniczącego Rady Prawnej KEP arcybiskupa Andrzeja Dzięgi, zawierającym moralno-kanoniczną ocenę prezydenta RP i posłów głosujących za przyjęciem ustawy i kwestionującym ich prawo przystępowania do komunii świętej. Dokument, z punktu widzenia dyscypliny kanonicznej na pewno poprawny, rozmija się z pytaniami, które stawia sobie w Polsce wielu ludzi wierzących, a które między innymi zawiera artykuł profesora Marka Safjana na ten temat opublikowany przez nas w „Tygodniku”.

Wiele czasu i uwagi Konferencja Episkopatu poświęciła, co zrozumiałe,

Światowym Dniom Młodzieży 2016. Na początek roku szkolnego Episkopat ogłosił list, w którym ostrzega przed „najbardziej niebezpiecznym zagrożeniem” naszych czasów: „fragmentarycznym spojrzeniem na wychowanie”, „akcentowaniem kwestii ekonomicznych i ograniczaniem zainteresowań do przyjemności” z pominięciem „sfery duchowej człowieka”.

List jest ogólnie słuszny i nieco ponadczasowy. Tymczasem wielka i paląca sprawa postawy wierzących wobec uchodźców podejmowana jest w biskupich homiliach, komunikatach, wywiadach czy na Twitterze. Komunikat Rady KEP do spraw Migracji, Turystyki i Pielgrzymek z 19 czerwca (z okazji Dnia Uchodźcy 20 czerwca), rzeczowy i informujący między innymi o zaangażowaniu Kościoła w Polsce w pomoc uchodźcom, nie był czytany w kościołach, bo tam obowiązkowo czyta się listy pasterskie. Nie będą tam też czytane: wypowiedź księdza prymasa Polaka na Twitterze, rozmowy z przewodniczącym Rady do spraw Społecznych KEP arcybiskupem Kupnym, z dyrektorem Caritas Polska księdzem Marianem Suboczem i z arcybiskupem Hoserem. Są one opublikowane w serwisach KAI i dostępne mediom.

Listy pasterskie są przygotowywane z dużym wyprzedzeniem, z okazji świąt, rocznic i innych sztywnych dat. Tymczasem profetyczny głos Kościoła, czytaj: komunikat Prezydium Episkopatu (a nie tylko poszczególnych pasterzy) w dramatycznie aktualnej sprawie uchodźców, jest dopiero przygotowywany. Na szczęście, szkoda jednak, że nie jest to potężny list pasterski całego Episkopatu.

Wiem o kwestii procedur zatwierdzania tekstu przez plenum, ale dzięki elektronicznie można przecież procedury uprościć. W tę niedzielę, w zgiełku toczących się sporów, odruchów paranoidalnej ksenofobii i agresji, bardziej niż list o „fragmentarycznym spojrzeniu na wychowanie” był potrzebny jasny głos Kościoła w sprawie uchodźców i ewangeliczne świadectwo miłości.

KRYTYKA I BLASK KOŚCIOŁA

„Tygodnik Powszechny” w lutym 2016 zamieścił niepublikowany dotąd wywiad, w którym Joanna Wozińska 20 lat wcześniej przepytowała księdza Józefa Tischnera o krytykę Kościoła – po co jest ona i na co? Bardzo aktualny dzisiaj, choć i na tym polu co nieco się zmieniło. Sam papież Franciszek – jak wiadomo – nie szczędzi krytyki swojej instytucji. Przypomnę jednak, o czym dyskutujemy. Opieram się na wykładzie kardynała Congara OP (*Wierzę w Ducha Świętego*, wyd. Księży Marianów 1995). Problem tkwi – Tischner też tak uważał – w samym rozumieniu słowa „Kościół”. Wielu autorów zabierających głos na ten temat uważa Kościół za korporację księży i biskupów, za organizację wykorzystującą ludzką naiwność albo za pozarządową instytucję charytatywną.

Tymczasem mówiąc: „Wierzę w Ducha Świętego. Święty Kościół powszechny. Świętych obcowanie. Grzechów odpuszczenie”, wyznajemy wiarę, a więc specyficzny sposób poznawania.

Mówiąc „Kościół”, trzeba rozróżniać przynajmniej trzy znaczenia tego słowa. W pierwszym Kościół jest rzeczywistością wychodzącą od Ducha Świętego, miejscem Jego działania, instytucją pochodzącą od Boga – ustanowioną przez Chrystusa, żeby z ludzkości stworzyć swe ciało. Zasadami konstytutywnymi są wiara (objawiona doktryna), sakramenty wiary (Eucharystia, chrzest i pokuta), władza apostołska pochodząca od Chrystusa króla, kapłana, proroka i odnosząca się do wiary oraz charyzmaty. Tu nie można mówić o przestarzałości, ciasnocie czy o potrzebie reformy. Ludzie mogą odchodzić od nich, mogą do nich nie dorastać, one jednak nie mogą ulec zepsuciu. Kościół nie został założony na tekście, nawet gdyby były to teksty Pisma Świętego, ale przez dar Ducha Świętego: „Duch Święty, którego Ojciec pośle w moim imieniu, On was wszystkiego nauczy, przypomni wam wszystko, co Ja wam powiedziałem”. W tym sensie Kościół jest przedmiotem wiary, a nie dyskusji na innej płaszczyźnie.

W drugim znaczeniu Kościół jest ludem chrześcijan – zgromadzeniem wiernych. Już nie tylko darem Boga – czystym i doskonałym, ale rzeczywistością sposobu,

w jaki ludzie z tych darów korzystają. Ludzie ze swą słabością, niestałością, skłonnością do upadku. Tymi drzwiami do Kościoła przenikają grzech indywidualny i winy historyczno-społeczne, które Jan Paweł II wyznawał w Roku Jubileuszowym.

W trzecim znaczeniu Kościół to osoby hierarchiczne (Jacques Maritain określił je jako „personel Kościoła”). Błędy i niedostatki w sprawowaniu ich funkcji mogą być traktowane jako grzechy i ułomności samego Kościoła. Kardynał Ratzinger zwracał jednak uwagę, że Kościół należy definiować, wychodząc nie od jego urzędników i jego organizacji, lecz od jego służby Bożej – jako wspólnotę stołu wokół Zmartwychwstałego. Historia Kościoła zaś to nie historia instytucji, ale niezbadane dzieje świętych.

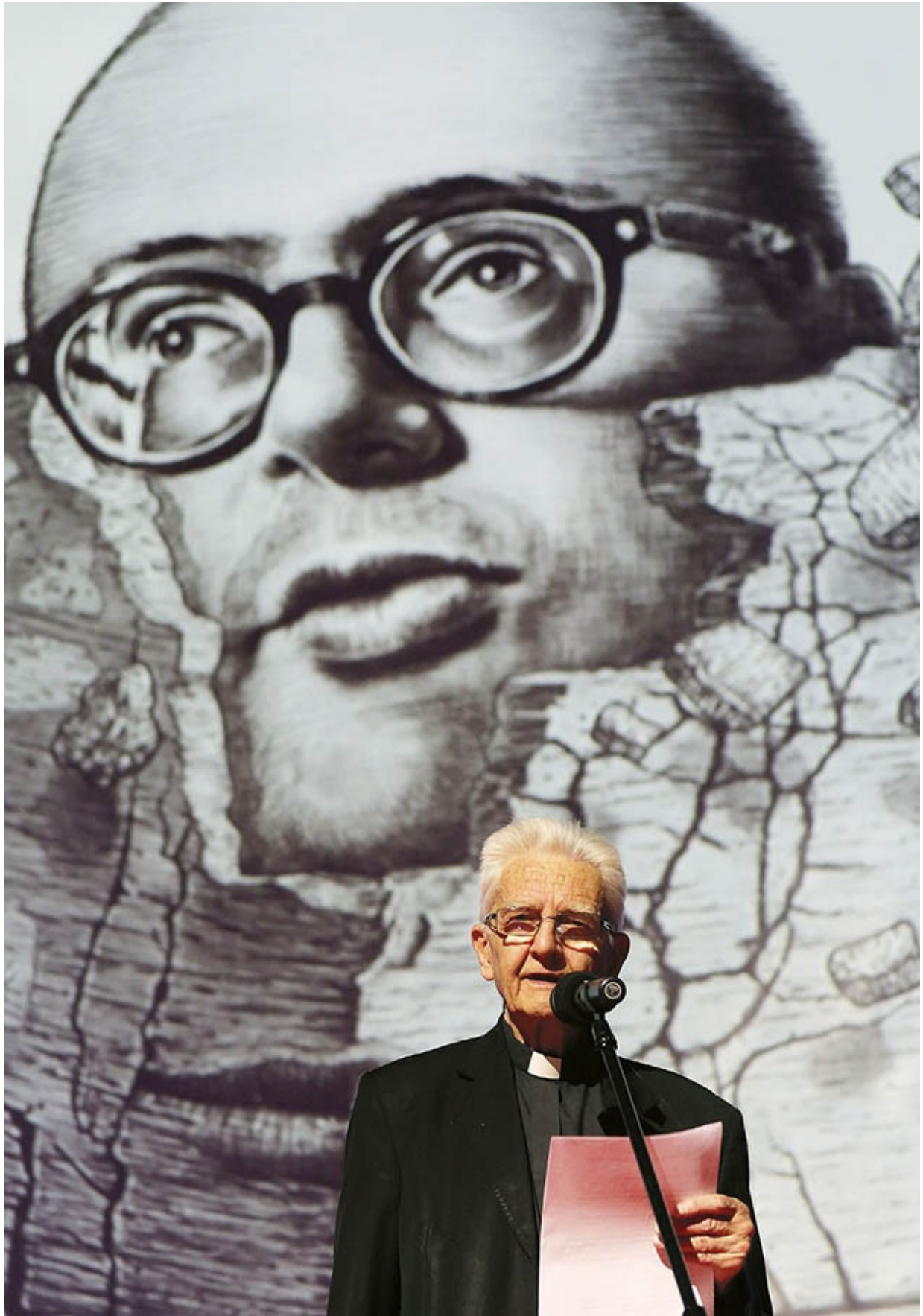
Kościół łączy wszystkie te aspekty. Krytyce podlegają dwa ostatnie, to znaczy ludzie, którym Bóg powierzył dar Kościoła.

Rzeczywiście, krytyki czy ataki na Kościół zwykle się odnoszą do tego, co w nim ludzkie: postaw i postępowania ludzi, kościelnych struktur, finansów, polityki i tak dalej. Czasem płyną one z miłości, pragnienia, by był doskonały, czasem z niewiedzy, czasem z niechęci do instytucji przypisującej sobie boskie prerogatywy. Nic wtedy dziwnego, że przyłapanie reprezentanta takiej instytucji na grzechu ściąga więcej wozów transmisyjnych niż 99 wzorowych księży. Ocenianie wszystkiego w Kościele tak, jakby dotyczyło to korporacji, bez odniesienia do wiary, prowadzi do nieporozumień. Jednak nawet wtedy, kiedy ludzie Kościoła poczują się pokrzywdzeni, zamiast się obrażać, muszą siebie pytać, czy krytykujący nie ma racji, lub przynajmniej, czy w krytyce nie ma ziarna prawdy.

Wierzmy nie w „Kościół świętych”, ale w „święty Kościół” – którego świętością jest świętość Boga, udzielająca się słabemu człowiekowi – podnosząca człowieka. Być może my sami obraz instytucji ustawiliśmy tak wysoko, że teraz nie możemy mu sprostać. Franciszek, kontynuując rozpoczęte przez Jana Pawła II „oczyszczenie pamięci”, uczy pokory, czyli jak na nowo odsłonić blask Kościoła, którym jest sam Pan Jezus Chrystus miłosierny.

Wierzmy nie w „Kościół świętych”, ale w „święty

Kościół” – którego świętością jest świętość Boga.



fot. Beata Zawrzel/REPORTER

Na pełnej

PETARDZIE

BEZ JANA XXIII

27 kwietnia 2014, kanonizacja dwóch papieży. Bliższy w czasie, „nasz” Jan Paweł II przyciąga uwagę. Nic dziwnego. Kanonizacja człowieka, którego się widziało, spotykało, znało, to przeżycie wyjątkowe. Ale czy można zapomnieć „Dobrego Papieża Jana”? To on, zwołując Sobór Watykański II, otworzył Kościołowi drogi, którymi potem mogli pójść następcy: Paweł VI, Jan Paweł I, Jan Paweł II, Benedykt XVI i Franciszek. Oni wszyscy z niego.

To, co robił papież Jan XXIII, nie było ani oczywiste, ani łatwe. Nie wszyscy byli zachwyceni. „Potrzeba będzie półwiecza, żeby naprawić szkody wyrządzone przez ten pontyfikat” – miał powiedzieć kardynał Giuseppe Siri na wiadomość o śmierci Jana XXIII. Z osobą tego kardynała wiąże się opowieść o tym, że w czasie konklawe 1958 roku biały dym ukazał się dwa dni przed ogłoszeniem wyboru kardynała Roncallego. To jest opowieść sedewakantystów – tych, którzy uważają, że od śmierci Piusa XII w 1958 roku na stolicy Piotrowej zasiadają antypapieża, bo na tym konklawe prawowicie wybrany został właśnie bliski Piusowi XII kardynał Siri, który przyjął imię Grzegorza XVII. Już się ukazał biały dym i rozpoczęto przygotowania do ukazania się nowo obranego papieża. Jednak – głosi dalej opowieść – grono kardynałów związanych z masonerią zmusiło go do rezygnacji. Dwa dni później wybrany został kardynał Giuseppe Roncalli. Tę opowieść włoski historyk Sergio Romani skwitował stwierdzeniem: „to bajka wymyślona w Stanach Zjednoczonych w środowiskach antysoborowych, które chciały zdyskredytować papieżstwo Jana XXIII i zakwestionować prawomocność jego decyzji, wśród nich właśnie zwołanie Soboru Watykańskiego II”. Sam kardynał Siri nigdy tej opowieści nie potwierdził. Owszem, w jednym z wywiadów wyznał, że żałuje odmowy kandydowania i zapowiedzi, iż wyboru nie przyjmie. Jako papież – stwierdził – uniknąłby popełnienia wielu błędów (w domyśle: popełnionych przez kolejnych papieży). Krytycznie patrzył na pontyfikat Jana XXIII, a sam słyszałem jego niezbyt przychylny komentarz do działań Jana Pawła II.

Jan XXIII był papieżem Soboru. Zanotował w czasie rekolekcji przed 80. rocznicą

swoich urodzin (10 sierpnia 1961): „Kiedy kardynałowie świętego Kościoła rzymskiego powierzyli mi, choć miałem już wtedy siedemdziesiąt siedem lat, odpowiedzialność za rządy owczarni Chrystusowej, mniemano powszechnie, że będę papieżem tymczasowym, przejściowym”. To prawda, tak myślano. I oto – ku zaskoczeniu wszystkich – kilka tygodni po wyborze podejmuje decyzję o zwołaniu Soboru Powszechnego. W swoich zapiskach przyznaje, że wystąpił z projektami (zwołania Soboru Powszechnego i synodu diecezjalnego oraz reformy prawa kanonicznego), o których poprzednio wcale nie myślał: „Ja sam byłem zaskoczony tymi propozycjami, których mi nikt nigdy nie podsuwał”. W bulli *Humanae salutis* (1961) zapowiadającej zwołanie Soboru tak określił jego cele: „ma uczynić Kościół bardziej zdolnym do uczestniczenia w rozwiązywaniu problemów, które stoją przed światem”, „ma uczynić jego żywotność bardziej skuteczną” i „przygotować drogę do zjednoczenia chrześcijan”. W rozmowie z pewnym ambasadorem wyjaśnił to prościej. „Sobór? – powiedział, podchodząc do okna i próbując je otworzyć. – Oczekuję od niego świeżego powietrza dla Kościoła”.

Ale był nie tylko papieżem Soboru, był także papieżem kochanym. „Za to go kochali, że bardzo zwyczajnie kochał ludzi, wszystkich ludzi – realnych, żyjących w konkretnych warunkach i determinantach, szukających dobra na miarę swych uwarunkowań, błędzących i słabych, niczego nie zamazując i nikogo nie wyklinając” – napisał po jego śmierci Tadeusz Żychiewicz. I jeszcze: „Człowiek tak prosty, że – nosząc na palcu pierścień Rybaka – odważył się na dosłowne posłuszeństwo Ewangelii”.

Był noszony na *sedia gestatoria* (używanie lektyki zniósł Jan Paweł II), używał tiary (wyzbył się jej Paweł VI), przy jego tronie umieszczano wachlarze ze strusich piór (kazał je wycofać Paweł VI), nosił czerwone buty i mucet (zrezygnował z nich papież Franciszek), a nikomu to nie przeszkadzało.

Bez Jana XXIII nie byłoby Jana Pawła II, bez Ducha Świętego nie byłoby obu tych papieży.

Bez Jana XXIII nie byłoby Jana Pawła II, bez Ducha

Świętego nie byłoby obu tych papieży.

ZAWSZE BYŁ

24 kwietnia 2014 roku, śmierć Władysława Bartoszewskiego. Kolejna wyrwa w świecie, w którym wzrastałem.

Kiedy ponad 50 lat temu przyszedłem do „Tygodnika”, on już tam był. Systematycznie „uprawiał swój cmentarzyk” – jak określał prowadzenie rubryki „Zmarli”. Był współautorem głośnej książki *Ten jest z ojczyzny mojej* i autorem sławetnego artykułu o Powstaniu Warszawskim (1957), w którym zacytował *in extenso* wzywające Polaków do powstania odezwy Moskwy. Rubryka „Zmarli” była nieustanną grą z cenzurą. Bartoszewski przemycał tam informacje o ludziach, o których nawet przyklejane do ściany kościoła klepsydry nie mogły informować. Kiedy przyjeżdżał do redakcji (mieszkał w Warszawie), wszyscy się gromadziliśmy w gabinecie Turowicza – Bartoszewski mówił, co się w Polsce i na świecie dzieje, komentował wydarzenia, charakteryzował ludzi, opowiadał anegdoty i swoje przygody. Czasem przyjeżdżał z Niemcami, z którymi budował mosty nad powojenną przepaścią. Zawsze tryskający energią i humorem. Pisał do „Tygodnika” sporo; podczas kilkudziesięciu lat współpracy powstało ponad 150 artykułów na trudne tematy: stosunki polsko-niemieckie, polsko-żydowskie, okupacja, Powstanie... Miał ogromny wpływ na filozofię „Tygodnika”.

Kiedy kończył 85 lat, przeprowadziłem z nim wywiad. Chciałem, by czytelnik dowiedział się, co to za człowiek. Żartowaliśmy, że o czymkolwiek pisze, zawsze pisze o sobie. Tak, bo pisał jako świadek, lecz zwykle przysłaniając siebie jakąś anegdotą.

Miał nieprawdopodobną pamięć wydarzeń – złych i dobrych. Przede wszystkim pamięć o tych, których podziwiał i którym coś zawdzięczał, o nauczycielach, współwięźniach, bohaterach... Mówił, że ukształtowały go „dwa zespoły faktów”: szkoły, do których uczęszczał, oraz wojna, a przede wszystkim ludzie, z którymi czas wojny go zetknął: Adam Heydel, Zofia Kossak, ksiądz Jan Zieja i inni.

Powiedział mi: „Wiem, próżność należy do moich wad. Ale to jest próżność, która chce, żeby coś koło niej było, nie tylko sama próżność”. I z dumą mówił o swoim

udziale w walce podziemnej, o ratowaniu Żydów, o tym, że on, bez wojskowych ambicji, zakończył wojnę jako podporucznik AK z Krzyżem Walecznych. Mówił o tym, jak w Moskwie mógł przemawiać do Polonii w obecności rosyjskich ministrów i generałów i wspomnieć o swoim dowódcy generale Leopoldzie Okulickim, który tam zginął w czasach stalinizmu. Mówił: „Mogę powiedzieć, czym się syci moja próżność. Przy każdym spotkaniu autorskim doznaję niesłychanej życzliwości ludzi, którzy się niczego ode mnie nie spodziewają, czyli są bezinteresowni, co jest najbardziej cenne”, i wspominał spotkanie na Areopagu Gdańskim, na które przyszło półtora tysiąca młodzieży, o tym, jak podczas uroczystości nadania doktoratu *honoris causa* Uniwersytetu Gdańskiego głos zabrał jego dawny student Bogdan Borusewicz. „I on, który niewiele mówi i nie za bardzo dobrze mówi, a raczej stęka, niż mówi, powiada: »Profesor Bartoszewski nauczył mnie patriotyzmu«. Musiałem czynić wysiłki, żeby się nie rozpłakać”.

Powiedział też – on, „próżny”: „Można mnie wygwizdać, można na afiszu, jak to było w Koszalinie, umieścić w spisie Żydów, którzy muszą opuścić Polskę (...) senator Ceberek napisał, że mnie z Auschwitz zwolniło gestapo, żebym dla Niemców pracował. Co miałem zrobić? Miałem podać go do sądu?”.

Wewnętrznie wolny, nie pchał się na ważne urzędy i do zaszczytów. Kiedy Tadeusz Mazowiecki postanowił mianować go ambasadorem w Wiedniu, bronił się: „Tadeuszu, ale ja tego nie umiem”. Z satysfakcją mówił o sobie, że zawsze był „idealnie nieprzekupny”, bo niczego nie potrzebuje. „Byłem dwa razy ministrem, byłem senatorem. Mieszkamy w tym mieszkaniu w Warszawie już czterdziesty rok. Mam poczucie, że ludzie patrzą i mówią: głupi to on jest, ale nie złodziej”.

Co go popychało do działania? Powiedział: „Skoro ludzie cię potrzebują, to ma jakiś sens, że żyjesz nie tylko dla najbliższej rodziny i dla siebie samego”, i nazwał „niesłychanym szczęściem”, że gdziekolwiek się pojawi, zjawiają się tłumy.

Dla wielu z nas był autorytetem, choć się zarzekał: „nikogo nie pouczam. Mówię, co myślę, ale nie narzucam się z radami, rad nie udzielam”. Wystarczyło, że był. Że zawsze, kiedy trzeba, był.

W KLUBIE OSIEMDZIESIĘCIOLATKÓW

W 2016 roku ksiądz profesor Michał Heller skończył 80 lat. Czy można go zrozumieć, nie rozumiejąc „geometrii nieprzemiennej w modelach kosmologicznych”, „izomorfizmu” i wszystkiego, czym on się na co dzień zajmuje? Jest tego tyle, że – jak sam wyznał – ma kłopot ze znalezieniem następcy kontynuatora, który – jak on sam – byłby biegły w fizyce, kosmologii, filozofii i teologii. Choć nie zgłębiłem tajników izomorfizmu, chciałbym dodać kilka szczegółów.

Ksiądz Heller to człowiek „myślący dogłębnie”. Nie wystarcza mu dociekanie, jak zbudowany jest świat. Pyta: „skąd się wziąłem?”, „dokąd zmierza świat?”, „jakie jest moje miejsce we wszechświecie?” (notabene „wszechświat” często występuje w tytułach jego książek).

Co go najbardziej pociąga? „Spośród moich licznych fascynacji – wyznaje – dwie okazały się szczególnie uporczywe i odporne na upływanie czasu: nauka i religia”. Ubolewa nad dzielącą je przepaścią i buduje między nimi relacje. Opowiedział kiedyś, jak na zorganizowanym przez kardynała Wojtyłę symposium fizyków i katolickich filozofów fizyk powiedział do prelegenta filozofa: „Ja tego nie rozumiem”. Co w języku fizyków – dodał – znaczyło: „tego nie da się zrozumieć”, „to jest nonsens”. Filozof o tym nie wiedział i zaczął wszystko wyjaśniać od nowa. „Uderzyło mnie wtedy – wspomina ksiądz Heller – że języki, którymi mówią jedni i drudzy, są tak rozbieżne”. Przekonuje więc biskupów, że do duszpasterstwa akademickiego albo duszpasterstwa uczonych nie wystarczy mądry wikary z parafii. Tam musi być ktoś, kto będzie miał wspólny język z tymi ludźmi. Większość księży tego języka nie ma.

W książce *Wszechświat i słowo* (1981) ksiądz Heller twierdził więc, że centralnym zagadnieniem chrześcijańskiej teologii jest problem relacji nauka – wiara. Chodzi o zetknięcie się ludzkiej myśli z czymś, co twierdzi o sobie, że jest prawdą objawioną. Właśnie z tego wywodzi się każda teologia. Wtedy nie zostało to dobrze przyjęte, a szkoda, bo teologia w życiu księdza odgrywa istotną rolę.

Chodzi o zetknięcie się ludzkiej myśli z czymś, co twierdzi o sobie, że jest prawdą objawioną.

Ksiądz Heller (fizyk, kosmolog, filozof, teolog) jest też poetą. Napisał (o sobie?): „Fizyk teoretyk – artysta, nie rzemieślnik – jest poetą. Poetą Świata. Co więcej, jego poezja ma cechę uniwersalności (...), bo powstał język, którym doskonale się porozumiewają ludzie bez względu na swoje pochodzenie, kulturową tradycję, religię czy inne czynniki. Tyle że muszą przejść wieloletnią szkołę nabierania biegłości w języku matematyki. (...) Struktura świata tak dokładnie zgadza się z wytworami pracy fizyków poetów, bo najwidoczniej sam Wszechświat jest Wielką Poezją lub, jak kto woli, dziełem Wielkiego Poety”.

Ksiądz Heller jest człowiekiem pracowitym. Napisał ponad 60 książek. Zawsze stara się coś studiować. Dzień zaczyna od matematyki. W podróże zabiera książkę matematyczną i drugą, lżejszą. Ale bez przesady: dla rozrywki czyta też kryminały. Kiedy jego mózg, wyczerpany pracą matematyczną i myśleniem ścisłym, traci energię, sięga po Agathę Christie.

Do seminarium szedł z ideą zbliżenia nauki i religii. Ksiądz Heller naukowiec wiele dokonał na tym polu. Ksiądz Heller duszpasterz duszpasterzuje w Tarnowie u Świętego Maksymiliana. Jak to robi, można się przekonać, na przykład czytając jego rekolekcje wydane w niewielkiej książeczce (Znak 2000). Nie są obciążone matematyką ani innym materiałem naukowym. Trafiają wprost w ważne ludzkie sprawy: „Jak żyć?”. Polecam.

Kolejnym tytułem do chwały, choć w oczach innych wprost przeciwnie, jest trwająca blisko pół wieku współpraca księdza Michała z „Tygodnikiem Powszechnym”. Jest naszym przyjacielem i autorem, który oby zrealizował projekt od dawna chodzący mu po głowie: „nie dużych rozmiarów książki, w której podstawowe prawdy chrześcijańskie byłyby przedstawione w sposób nie bajkowy, ale strawny dla dzisiejszego człowieka”.

Drogi Michale, witaj w klubie osiemdziesięciolatków!

KSIĄDZ NA PEŁNEJ PETARDZIE

28 marca 2016 roku ksiądz Jan Kaczkowski odszedł do domu Ojca. Przywykliśmy do tego, że jest w zasięgu ręki, choć od kilku lat powinno go nie być.

Kiedy w czerwcu 2012 roku dowiedział się o glejaku mózgu, pojechał do Lasów Piaśnickich, do siostry zmartwychwstanki Alicji Kotowskiej. Na jej grób. W 1939 roku Niemcy rozstrzelali tam około 20 tysięcy ludzi, wśród nich siostrę Alicję, która w drodze na śmierć dodawała otuchy gromadce żydowskich dzieci i którą Jan Paweł II beatyfikował. Pierwszy raz ksiądz Jan pojechał do niej, by prosić o pomoc przy tworzeniu (z niczego) hospicjum. Pomogła. Teraz drugi raz. Prosił, „żeby go z tego wyciągnęła”. Nie był nachalny. Mówił jej: „nie przejmuj się, jak nie dasz rady”. No i się okazało, że nie dała. Choć może jednak trochę? W 2012 roku ksiądz Jan usłyszał, że ma przed sobą sześć miesięcy życia. Ona „załatwiła” mu cztery lata bez trzech miesięcy. Mawiał, że to „pełzający cud”.

Przez ten darowany czas ksiądz Jan stał się jednym z najważniejszych i najślawniejszych księży w Polsce. Nie był prałatem, nie był wziętym kaznodzieją, nie był profesjonalnym pisarzem (jeśli się nie mylę – był współautorem trzech książek), nie był wybitnym uczonym (jednak zdobył doktorat z teologii moralnej i studiował bioetykę)... Ale i tak był – mało powiedzieć: księdzem znanym w całej Polsce – był dla tysięcy ludzi kimś bliskim, kochanym. Iluż jego słuchaczy i czytelników jego żarliwych książek odnalazło dzięki niemu wiarę, nadzieję i miłość! Był tego świadomy: „Staram się swoją onkocelbryckość wykorzystywać użytkowo. Skoro glejak już się zagnieżdżył w mojej głowie i nie da się go usunąć, bo trzeba by mnie pozbawić mózgu, co nie byłoby zbyt komfortowe, to należy wycisnąć z niego coś dobrego. Mam wrażenie, że to się w jakiejś mierze udaje. Słyszę o ludziach odległych od Kościoła, którzy po medialnym materiale z moim udziałem zadają sobie pytania o wiarę i sens”. Tak było, bo sam potrafił radośnie żyć wiarą i nadać sens życiu z wyrokiem rychłej śmierci.

Często o swojej chorobie mówił, ale nigdy nią nie epatował, nie chciał wyciskać łez współczucia. Często też mówił o śmierci godnie, poważnie, bez krotchwili, bez

wygłupów i żartowania z niej. Powtarzał jednak, że „śmierć nie może być śmiertelnie poważna. Bo to by nas zabiło”. Czy się jej bał, nie wiem, ale wiem, że do niej się nie rwał. Opowiadał o swoich targach z Bogiem, jak Go prosił o przeżycie jeszcze przynajmniej roku 2015. Bóg się zgodził.

Stworzył hospicjum – swoją wielką miłość. Kochał pacjentów i ludzi, którzy tam z nim pracowali. W kazaniach zebranych w książce *Grunt pod nogami* co chwilę wspomina o hospicjum. Zawsze z czułością. W rozbijającą szczerą rozmowę z Piotrem Żyłką (*Życie na pełnej petardzie*) wymieniał swoje autorytety. Mówił o nich ze skromnością i podziwem. Czy zdawał sobie sprawę z tego, że sam jest autorytetem dla niezliczonej masy ludzi? Pozostanie nim dla tych, którzy go znali, i dla tych, do których trafił przez książki, filmy i na inne sposoby. Autorytetem w drodze do spotkania z Bogiem.

Posłowie książki *Życie na pełnej petardzie* czyta się jak testament księdza Jana. Píše tam, że nie jest kimś wyjątkowym, ale „najzwyklejszym, błądzącym księdzem i chrześcijaninem, waszym bratem Janem, który często się w życiu gubił”. Prosi, by pamiętać o hospicjum w Pucku: „abyście tego dobra nie rozmienili na drobne”, i jeszcze: „żebyście o mnie pamiętali. Nie stawiając broń Boże pomników, ale zachowując w modlitwie”. Przyrzeka: „jeśli Pan Bóg przyjmie mnie do siebie, obiecuję, że na tyle, na ile mi pozwoli, bo to też nie jest takie oczywiste, będę próbował być blisko was”. Wreszcie przeprosza „wszystkich tych, których skrzywdził, których niesprawiedliwie ocenił”. I słowa jak ostatni pocałunek pokoju: „nie mam żalu do nikogo. Tak mi, Panie Boże, dopomóż”.

Kochany księże Janie, w sprawie pomników niczego nie mogę obiecać. Co zaś do pamięci... Ciebie po prostu nie da się zapomnieć. Gwarantuję.

Kochany księże Janie, w sprawie pomników niczego nie mogę obiecać.

ŚWIĘTA MATKA

Kiedy po raz pierwszy przyjechała do Warszawy, jej polscy rozmówcy zapewniali, że u nas nie ma bezdomnych. Na co ona: „chodźmy na dworzec”. Bezdomni rzeczywiście byli.

Dziwny jest mechanizm niewidzenia rzeczy kłopotliwych. Wielkość Matki Teresy i takich jak ona polega na tym, że widzą. Kłopotem jest potrzebujący pomocy człowiek. Nauczycielka szkoły dla panienek z dobrych domów, loretanka z klasztoru w pięknym ogrodzie, widziała nędzarzy umierających w ulicznym brudzie, porzucone dzieci, bezdomnych bez opieki. Ale podlegała władzy kościelnej, słuchała także kierownika duchowego, a ten wymagał, by pomysł zakonu służącego ubogim „wybiła sobie z głowy” i „porzuciła na całą wieczność”. Zalecał jej „posłuszeństwo pogodne, proste i ślepe”. Arcybiskup Kalkuty, do którego chciała się zwrócić o pomoc, spotkaniem z nią „nie był zainteresowany”. Jednak pewność, że spełnia wolę Bożą, i cierpliwy upór zwyciężyły. W 1948 roku opuściła bezpieczny klasztor Loretanek i rozpoczęła swoją misję na peryferiach Kalkuty. Miała 38 lat. Arcybiskup okazał się zresztą wiernym protektorem nowego zakonu. Tak się rozpoczęła historia wspólnoty, która w chwili śmierci założycielki (1997) liczyła ponad 3 tysiące zakonnice, a w roku 2008 – 5 194 pracujące w 762 domach na wszystkich kontynentach.

Uważa się powszechnie, że rozgłos Matka Teresa zawdzięcza filmowi i książce przebywającego w Kalkucie w latach 1967–1968 dziennikarza BBC Malcolma Muggeridge’a. To prawda, ale jej sława i autorytet z upływem czasu nie osłabły, jak bywa z gwiazdami medialnymi, lecz przeciwnie: Matka Teresa stała się „ikoną” miłości miłosiernej i „wizytówką” Kościoła. „Była darem dla Kościoła i świata” – powiedział o niej Jan Paweł II. Wielcy tego świata wychodzili ze skóry, by przynajmniej się z nią sfotografować. W 2003 roku beatyfikował ją Jan Paweł II. 4 września Franciszek dokonał jej kanonizacji.

Rozrywana przez media, stroniła od polityki i przy każdej okazji dawała świadectwo wierności Bogu i Kościołowi. Słynne są jej słowa wypowiedziane z okazji odbierania Pokojowej Nagrody Nobla: „Czuję (...), że dziś największym

zagrożeniem dla pokoju jest aborcja, ponieważ to wojna bezpośrednia, to zabójstwo, mord dokonany rękami matki. A my czytamy w Piśmie, bo Bóg mówi bardzo wyraźnie: Nawet gdyby matka mogła zapomnieć o swym dziecku, Ja o tobie nie zapomnę. Oto na moich dłoniach cię wyrysowałem (Iz 49, 15–16). (...) nienarodzone dziecko spoczywa w dłoni Boga (...). Była nieugiętą przeciwniczką przerywania ciąży, przymusowej sterylizacji (w Indiach, za czasów premierostwa Indiry Gandhi, wysterylizowano miliony najuboższych), antykoncepcji i rozwodów.

Atakowano ją za życia, lecz prawdziwa burza wokół niej rozpuściła się w roku 2013, gdy grupa kanadyjskich profesorów z uniwersytetów w Montrealu i Ottawie opublikowała w „Sciences Religieuses” artykuł *Ciemna strona Matki Teresy*. Autorzy twierdzili, że media stworzyły „mit Matki Teresy”, idealizując jej osobę i pomijając elementy budzące liczne kontrowersje co do jej wizji religijnej i deklaracji politycznych. Twierdzili też, że tylko 5 procent spływających do niej pieniędzy na rzecz ubogich szło na ten cel, a resztę deponowano na tajemniczych kontach. Ponieważ nie znalazłem oficjalnego wyjaśnienia ze strony władz zgromadzenia, poszedłem teraz do pracujących w Warszawie misjonarek miłości. One o całej tej historii nawet nie słyszały, a tym, co opowiedziałem, zbytnio się nie przejęły, twierdząc, że samo dzieło się obroni.

Wiele oskarżeń (o innych pisał kiedyś w „Tygodniku” Szymon Hołownia) to ewidentne oszczerstwa, niektóre to nieporozumienia. Proces kanonizacyjny musiał się nimi zająć – takie są zasady. Oby opracowane na podstawie dokumentów procesu wyjaśnienia dotarły do wszystkich – tak, by nikt nigdy już nie kwestionował jej wielkości.

BŁOGOSŁAWIONY Z KAZACHSTANU

11 września 2016 roku w kazachskiej Karagandzie został ogłoszony błogosławionym ksiądz Władysław Bukowiński. To niezwykle, gdy człowiek, z którym siadałem do stołu, jadałem i rozmawiałem, zostaje wyniesiony na ołtarze.

Choć „siadałem do stołu” nie znaczy, że go znałem. Znała go pani Ludmiła Wierzbicka, której chorą matkę odwiedził gdzieś w Kazachstanie. Wspominała: „Przyjechał ubrany w kufajkę, która miała za krótkie rękawy, więzienną czapkę, gumowe buty i cienutkie spodnie. Był to marzec i było bardzo zimno, ale pomimo tego ksiądz miał bardzo pogodną twarz i roześmiane pogodne oczy. Czuć było bijące od niego ciepło i dobro (...). Zostawiał mojej mamie dobrego ducha”.

Znał go też ksiądz Eliaz Głowacki, towarzysz z Gułagu. Tak o nim opowiadał: „Był ojcem duchownym, który ciągle – bezustannie – poddawał ludziom dobrej woli tematy do rozmyślań. Kiedy opuszczał obóz, wszyscy żegnali go jak najlepszego przyjaciela i człowieka prawdziwie wolnego. Zmęczony, szedł jak cień człowieka pomiędzy baraki z workiem na plecach, ale z ogniem gorejącym w sercu... Jeszcze raz się uśmiechnął, pomachał bezsilną ręką, a nam się zdawało, że słyszymy jeszcze ostatnie jego słowa cicho – może tylko w myślach – powiedziane za świętym Pawłem: »Któż nas może odłączyć od miłości Chrystusowej?«”.

Przypomnijmy jego życiorys: urodził się 22 grudnia 1904 roku w Berdyczowie, ukończył z wyróżnieniem Szkołę Nauk Politycznych przy Wydziale Prawa UJ, po czym... wstąpił do krakowskiego seminarium. Wyświęcony w 1931, pracował w Rabce i Suchej Beskidzkiej. W 1936 wrócił na Kresy Wschodnie, do Łucka.

Przyszła wojna. Pod okupacją sowiecką jako proboszcz łuckiej katedry opiekował się wywożonymi do Kazachstanu Polakami, a także chorymi i biednymi. W 1940 roku uwięziony przez NKWD, cudem uniknął śmierci latem 1941. Świadek, który też ocalał z łuckiego więzienia, gdy Sowieci mordowali więźniów, opowiadał: „W drugim dniu po wybuchu wojny sowiecko-niemieckiej, to jest w poniedziałek 23 czerwca 1941 w godzinach od 9 do 11 żołnierze Armii Czerwonej pod dowództwem oficerów przystąpili do likwidacji więźniów za pomocą karabinów maszynowych

i granatów. Na dużym dziedzińcu zlikwidowano wszystkich więźniów (około 3 tysięcy), na małym było ok. 500 osób. Po naszej stronie na murze »pracowały« 4 karabiny maszynowe, strzelając najwięcej do leżących i siedzących pod murem więzienia”.

I dalej: „Zobaczyłem blisko, na wolnej przestrzeni klęczącego mężczyznę w czarnych spodniach i białej, brudnej koszuli. (...) W okolicznościach pełnych grozy, gdy po naszej stronie słyhać było krzyki rannych, a z dużego dziedzińca nawałę ognia, mężczyzna klęczący powiedział, że jest księdzem. Wezwał nas do modlitwy, do przygotowania się na śmierć i udzielił rozgrzeszenia. Potem żołnierze wpędzili żyjących do dużej sali i przystąpili do dobijania rannych. Od ludzi na sali dowiedziałem się, że to był ksiądz Bukowiński”.

Pod okupacją niemiecką ksiądz dalej pomagał uciekinierom i jeńcom, ratował żydowskie dzieci, organizował żywność dla głodujących. A w styczniu 1945 roku znów znalazł się w sowieckim więzieniu i do 1954 przebywał w obozach. Jako zek (więzień Gułagu) wycinał lasy, kopał rowy, pracował w kopalni miedzi, marzył, głodował i... duszpasterzował.

Zwolniony z łagru w 1954 roku, został skazany na przymusowy pobyt w Karagandzie. Odrzucił propozycję powrotu do Polski i przyjął obywatelstwo sowieckie. Duszpasterzował skutecznie i nielegalnie – więc w 1959 znów trafił na dwa lata do obozu pracy. Łącznie w więzieniach i obozach spędził 13 lat, 5 miesięcy i 10 dni... Znali go towarzysze niedoli, znali parafianie w Karagandzie. Znali ludzie, których odwiedzał w podróżach misyjnych.

Czy znali go ci, którzy myśląc, że mają nad nim niemal boską władzę, nie byli jednak w stanie wymusić na nim, aby zaprzestał głoszenia Ewangelii? Sądzieli, że wiedzą o nim wszystko. A tymczasem najważniejszego nie wiedzieli.

Ksiądz zmarł w Karagandzie 3 grudnia 1974 roku. Pozostawił spisane na prośbę kardynała Wojtyły *Wspomnienia z Kazachstanu*, mnóstwo listów do przyjaciół – i wdzięczną ludzką pamięć, którą teraz Kościół, przez beatyfikację, przejął w swoje ręce, aby na wieki pamiętano o polskim księdzu, który urodził się w Berdyczowie, w sowieckich łagrach heroicznie dochował wiary, nadziei i miłości, a ostatnie lata apostołskiej pracy (i na koniec swe kości) pozostawił w Kazachstanie.

WAJDA

Choć nie będzie pochowany na Skałce, i tak wszedł do panteonu polskiej kultury. Po jego śmierci, w październiku 2016, wspominali go w telewizji ludzie kina i teatru, ci, z którymi pracował, jego przyjaciele. Mówili z podziwem o znaczeniu niebywałego dorobku Wajdy. Także o patriotyzmie, o tym, jak potrafił przez polskie sprawy ukazać sprawy ogólnoludzkie, uniwersalne.

Dla mojego pokolenia Wajda był od zawsze, od *Popiołu i diamentu* i *Kanału*. Jego filmy wyznaczały etapy naszej historii. Byliśmy w czasach PRL-u dziwnym krajem, w którym filmy były wydarzeniami historycznymi. Tak, to były wydarzenia narodowe: *Człowiek z marmuru*, *Człowiek z żelaza*, *Ziemia obiecana*, *Wesele*, które oglądałem, mieszkając w Paryżu. Na własne oczy widziałem, jak tłumy Francuzów waliły do kina na to *Wesele*.

Pan Tadeusz był subtelnym rachunkiem sumienia z naszego narodowego „jakoś to będzie”... A co powiedzieć o filmie *Katyń*, który trafił pod rosyjskie strzechy, pokonując trwającą od dziesiątków lat tarczę ignorancji? Filmy Andrzeja Wajdy oglądane wtedy, kiedy wchodziły na ekrany, zwykle po długich, kończących się jakimś kompromisem bojach z cenzurą, miały siłę rażenia, której oglądane dziś współczesne dzieła już mieć nie będą, bo zwyczajnie nie mogą. Były nieustannym mocowaniem się ze światem naokoło i bezcenną szkołą myślenia.

Nie jestem filmowcem ani krytykiem filmowym. W teatrze też siedzę jak zwykły widz (choć Wajda poprosił mnie kiedyś o napisanie recenzji z reżyserowanego przez niego spektaklu wystawianego na scenie Starego Teatru w Krakowie). Z mojej pozycji pytanie o to, który film albo spektakl Wajdy jest najważniejszy, uważam za źle postawione. Każdy z nich miał swój czas, wiele z nich stało się symbolem swojego czasu i wielu z nich czas się po prostu nie ima.

Musiał mieć świadomość swojej wielkości, ale nigdy nie przybierał pozy kogoś „wielkiego”. Z rozmów, całkiem prywatnych, utkwiło mi w pamięci, że zawsze szukał. Tematów, dobrego scenariusza. O scenariuszach mówił, że sam nie potrafi tego zrobić; podziwiał Krzysztofa Zanussiego, że on potrafi. Miał ogromną wiedzę,

ale nie pamiętam, by kogoś pouczał, choć kilku ważnych rzeczy, nie wiedząc pewnie o tym, mnie nauczył. Mogę śmiało powiedzieć, że był przyjacielem „Tygodnika”, choć historia tej przyjaźni zawiera jeden trudny, wręcz kryzysowy epizod. Potem ze wzruszeniem patrzyłem na liczne gesty Wajdy, które mówiły o tym, że w jego stosunku do nas (i do mnie) mimo tamtego epizodu nic się nie zmieniło.

Czuję się pokornym dłużnikiem Andrzeja Wajdy i myślę, że jego dłużnikami są Polacy, przynajmniej ci mojego pokolenia. Kiedy nazajutrz po śmierci Andrzeja szedłem krakowską ulicą Basztową do kościoła Świętego Floriana, by odprawić Mszę Świętą za niego, zatrzymał mnie dwudziestokilkuletni człowiek i spytał, czy osobiście znałem Wajdę. Na moją twierdzącą odpowiedź ze smutkiem wyznał, że w życiu nie widział żadnego filmu Wajdy i że teraz musi to nadrobić.

Tak, musisz to nadrobić koniecznie, lecz obawiam się, że nie tylko ty jeden, przyjacielu.

NASZE ALEPPO

„Najpierw [działała] jako wolontariuszka dla francuskiej organizacji humanitarnej EquiLibre” – tak się rozpoczyna „profesjonalne” CV Janiny Ochojskiej. Z tej współpracy wyłoni się potem Polska Akcja Humanitarna. Jednak idea *équilibre* pozostanie ta sama. „*Équilibre*” znaczy „równowaga”, „stabilność”. Bo francuska organizacja i PAH przywracają równowagę naszemu rozchwianemu światu.

Straszliwy brak równowagi między krajami bogatymi i biednymi, między ludźmi żyjącymi w skrajnym, beznadziejnym ubóstwie i tymi we względnie stabilnym dobrobycie, nie mówiąc o rozchwianej proporcji podziału bogactw (2 procent najbogatszych ludzi posiada ponad połowę globalnego bogactwa), stanowi permanentne zagrożenie losów świata. Zaradzić tej utracie równowagi nie są w stanie nawet takie instytucje, jak Międzynarodowe Stowarzyszenie Rozwoju (IDA) działające przy Banku Światowym, przyznające pożyczki o oprocentowaniu niższym od rynkowego. O przyznaniu pożyczki decyduje kryterium dochodu narodowego danego państwa. Kryterium to dziś okazuje się zawodne, bo gdy w 1990 roku 93 procent ludzi będących w nędzy żyło w państwach o niskich dochodach, to obecnie ponad 70 procent – aż do miliarda z najuboższych ludzi świata – żyje w państwach o dochodach średnich, państwach na ogół stabilnych, którym nie grożą rozpad ani poważne konflikty. I choć statystyki wskazują na zmniejszanie się liczby ludzi żyjących w warunkach skrajnej biedy (w 1993 – ponad miliard, w 2015 – „tylko” 700 milionów), to liczby nadal są ogromne, a zbrojne konflikty w wielu miejscach globu proces przywracania światu równowagi skutecznie blokują. Lecz biada światu, jeśli ten proces się zatrzyma.

Ochojska kiedyś z satysfakcją stwierdziła: „Dzięki mnie i moim współpracownikom z PAH pół miliona ludzi w Afryce ma dostęp do wody, bo przez 20 lat aż tyle zrobiliśmy. Więc czuję własną siłę. Zmieniłam kawał świata”. Zważywszy, że – według danych UNICEF – 748 milionów ludzi na świecie ma problem z dotarciem do czystej wody pitnej oraz że sytuacja zmienia się na lepsze, gdyż od 1990 roku około 2,4 miliarda ludzi uzyskało dostęp do czystej wody, wkład

Polskiej Akcji Humanitarnej może się wydawać skromny temu, kto za statystykami nie widzi konkretnych, cierpiących ludzi. A warto przypomnieć, że Janina Ochojska i jej współpracownicy nie tylko kopią studnie, ale spieszą do różnych miejsc globu, zwłaszcza tam, gdzie nie docierają wielkie organizacje humanitarne, z pomocą odpowiednią do aktualnych potrzeb.

Janina Ochojska przypomina, czym jest solidarność z ludźmi cierpiącymi w odległych krajach. Nie da się tej solidarności – jak niegdyś, ze względu na odległość – ograniczyć do współczucia. Dzisiaj, dzięki pomocy z dalekiej Polski, jakieś dzieci w Sudanie Południowym nie umarły z braku wody (każdego dnia z tego powodu umiera ich na świecie, według danych UNICEF, około tysiąca). Uświadamia nam to, że nie jesteśmy obojętni na cierpienia innych i że nasza ofiarność dzięki instytucjom takim jak Polska Akcja Humanitarna staje się poważną pomocą – także niedawno, po zbiórce pieniędzy dla mieszkańców Aleppo. Ochojska ukazuje też odpowiedzialność mediów, które albo mobilizują do solidarności, albo przez milczenie spychają w niebyt dramatyczne sytuacje ludzi oczekujących ratunku, jak mieszkańcy Mosulu.

Janina Ochojska przypomina, czym jest solidarność z ludźmi cierpiącymi w odległych krajach.

PAH jest jedną z tych polskich inicjatyw, z których jesteśmy dumni. Nie jedyną, lecz wyjątkową, właśnie ze względu na Jankę, założycielkę i szefową. Od wczesnego dzieciństwa niepełnosprawna (choroba Heinego-Medina), przeszła ponad 50 operacji, ostatnie całkiem niedawno, trudne i bolesne. Ale nie epatuje swoją niepełnosprawnością. Obcując z Janką, zapomina się o tym. Znającym ją z telewizji nie kojarzy się ona z wózkiem inwalidzkim i kulami. Żyje intensywniej niż wielu zdrowych i nigdy, nawet w szpitalu, nie skupia uwagi otoczenia ani swojej na własnym cierpieniu.

Powyższy tekst miałem już gotowy, gdy w lutym 2017 roku Janina Ochojska pojawiła się w centrum sporu wokół sprowadzenia do Polski dziesięciorga sierot

z Aleppo (w rzeczywistości prezydent Sopotu Jacek Karnowski zwrócił się do premier Beaty Szydło „o możliwość przyjęcia osieroconych dzieci i rodzin z Aleppo”, bez podania konkretnych liczb, ile takich rodzin lub dzieci miałyby do Sopotu przyjechać). Ochojska – ku zaskoczeniu wielu – oceniła inicjatywę jako pozbawioną sensu, bo „w społeczeństwie muzułmańskim nie ma sierot, zawsze weźmie je dalsza czy bliższa rodzina”. Później w Polsat News wyjaśniła, że jej wypowiedź „nie była przeciw przyjmowaniu do Polski uchodźców” ani „przeciwko przyjmowaniu chorych dzieci na leczenie”. Rzecznik rządu zaś oświadczył, że „rząd polski nie podjął żadnej decyzji w tej sprawie, a pismo wysłane do prezydenta Karnowskiego zawierało jedynie opis obiektywnych trudności związanych z takim przedsięwzięciem. Nie zawiera jednak żadnej decyzji”. Polska Misja Medyczna zadeklarowała pomoc w dotarciu do syryjskich rodzin i wsparcie logistyczne dla sprowadzenia do Sopotu dzieci z opiekunami.

MISJA KSIĘDZA JERZEGO

Gdyby żył, 14 września 2017 roku skończyłby 70 lat. Ksiądz Jerzy Popiełuszko – młody, „zwykły” ksiądz. Nie kanonik, nie prałat, nie profesor, lecz przecież ważniejszy wtedy dla nas od jakiegokolwiek biskupa. Jak potoczyłoby się jego życie, gdyby miesiąc i pięć dni po swoich 37. urodzinach nie został bestialsko zamordowany przez Służbę Bezpieczeństwa? Powiedział mi kiedyś, że jest gotów zgodnie z życzeniem prymasa Józefa Glempa wyjechać na studia do Rzymu. Tylko nie zaraz, bo nie może zostawić ludzi. Ksiądz prymas to uszanował, wyjazdu nie nakazał.

Być może w Rzymie ksiądz Popiełuszko ukończyłby studia. Na przykład teologię pastoralną – był przecież urodzonym duszpasterzem. Msze za ojczyznę, kazania, obecność wśród strajkujących studentów Wyższej Oficerskiej Szkoły Pożarniczej, bycie kapelanem służby zdrowia, a potem Solidarności – to wszystko fascynowało go nie jako aktywność polityczna, lecz po prostu praca księdza. Kiedy opowiadał mi o doprowadzających do szału władze PRL i znanych w całej Polsce nabożeństwach, nie mówił o uczestniczących w nich tłumach, ale o poszczególnych ludziach, którzy odnaleźli Boga. Może po powrocie ze studiów zostałby profesorem w seminarium i w Akademii Teologii Katolickiej (potem UKSW)? Może zostałby proboszczem na prowincji (miał w końcu opinię księdza ściągającego na przełożonych kłopoty)? Nie epatował sławą, jaką zdobył – w jego przekonaniu: niejako mimo woli – na pewno nie byłby księdzem celebrytą. Ani kontestatorem. Owszem, narzekał na to, jak po wyjściu z aresztu został potraktowany przez własnego biskupa, ale były to żale, nie wyraz buntu.

Jakie miałyby poglądy? Za swojego patrona chętnie biorą go środowiska o różnych orientacjach politycznych. Nie wiadomo, jak by było, ale gdyby wpływ na jego przekonania mieli dawni przyjaciele, można się czegoś domyślać. Kiedy żył, słyszałem w kołach kościelnych opinię, że ksiądz Jerzy pozostaje pod wpływem „niewłaściwych” środowisk: laickich, lewicowych. W rzeczywistości do najbliższych jego przyjaciół należeli ludzie tacy, jak na przykład Klemens i Ania Szaniawscy. Gdyby więc nadal trwał w tym „niewłaściwym” towarzystwie, można się domyślać...

Ale po co?

6 czerwca 2010 roku Kościół uznał księdza Popiełuszkę za błogosławionego. Beatyfikacje są dla żyjących, błogosławieni mają być dla nich wzorem. Teraz więc, jako stary ksiądz, pytam: czego wzorem jest błogosławiony, młody ksiądz Jerzy Popiełuszko?

Może kapłaństwa, które nie jest zawodem, wypełnianiem nałożonych obowiązków, lecz życiem? Dlatego nie mógł wyjechać i schronić się w Rzymie. Był z ludźmi i dla nich, zwłaszcza w sytuacjach niebezpiecznych. On ich kochał.

Jest też wzorem tego, jak znajdując się w centrum walki politycznej, pozostać świadkiem Ewangelii miłosierdzia. Ludziom poniżonym, zranionym, gniewnym, a czasem wściekłym potrafił wytłumaczyć, że zło należy zwyciężać dobrem.

Jest też, na pewno, wzorem stosunku do Kościoła. Był tam, gdzie posłał go biskup. Lecz kiedy sposób wypełniania zleczonej misji nie wszystkim kościelnym dostojnikom się podobał, nadal ją pełnił, wierny głosowi sumienia. Nierozumiany – cierpiał, lecz nie kontestował.

Jednak nade wszystko ksiądz Popiełuszko jest wzorem odwagi. Owszem, sam mi powiedział, że bał się suspensy (czy ktoś go nią straszyl?), więzienia (bo może tam nie mieć dostępu do niezbędnych lekarstw), a jednocześnie nieustannie narażał się dobrze myślącym dyplomatom, także kościelnym (w ostatnim okresie życia otrzymywał wiele znaków wsparcia od papieża) i władzom. Docierały do niego pogróżki, dwukrotnie próbowano go zabić... On pełnił swoją misję. Dla nas, którzy tak się boimy komuś narazić, jest wzorem odwagi w imię Wartości. W ostatnim kazaniu (Bydgoszcz, 16 października 1984) mówił o tym: „Prośmy Chrystusa Pana, (...) by nasze codzienne życie było przepełnione prawdą; abyśmy w naszym codziennym życiu okazywali męstwo w walce o wartości prawdziwie chrześcijańskie; byśmy byli wolni od lęku, zastraszenia, ale przede wszystkim od żądzdy odwetu i przemocy”.



fot. Bartosz Krupa/East News

Kościół nie jest

ŁODZIĄ PODWODNĄ

DZIWNE KONTYNUACJE

Kiedy w czwartek 11 października 1962 roku Jan XXIII wygłaszał słynne przemówienie *Gaudet Mater Ecclesia* otwierające Sobór Watykański II, w nawie bazyliki Świętego Piotra obecni byli jego trzej następcy: Giovanni Battista Montini, arcybiskup Mediolanu, Albino Luciani z diecezji Vittorio Veneto, jeden z pierwszych mianowanych przez niego biskupów, oraz Karol Wojtyła, wikariusz kapitulny z Krakowa. Możliwe, że gdzieś blisko był też i czwarty następca, ksiądz Joseph Ratzinger, który uczestniczył w pracach soborowych jako teolog, pomocnik kardynała Fringsa z Kolonii, a potem jako samodzielny członek komisji soborowych. Piąty, Jorge Mario Bergoglio, miał wtedy 26 lat, od czterech lat był jezuitą, a święcenia kapłańskie miał przyjąć za lat siedem.

Papież Jan dobrze znał arcybiskupa Mediolanu (potem będzie nazywał go „kardynałem Hamletem”), z pewnością znał biskupa Lucianiego, którego sam niedawno mianował. O młodym profeszorze teologii słyszał: kardynał Frings poprosił Ratzingera o przygotowanie projektu konferencji o zbliżającym się soborze, którą miał wygłosić w listopadzie 1961 roku w Genui. Tekst dostarczony mu przez młodego teologa kardynał uznał za tak dobry, że przyjął go niemal bez zmian. Potem Jan XXIII chwalił kardynała: „powiedziałeś wszystko, co myślałem i chciałbym powiedzieć, lecz powiedzieć nie mogę”, na co Frings szczerze powiedział, kto faktycznie jest autorem tekstu.

Młodego wikariusza kapitulnego z Krakowa papież z pewnością nie pamiętał. Spotkali się tylko raz, 8 września 1962 roku, niedługo przed rozpoczęciem Soboru, kiedy Jan XXIII przyjął na audiencji grupę polskich biskupów. Zachowała się pamiątkowa fotografia z tego spotkania – ciekawe, że tylko oni dwaj, papież (stoi w środku, po lewej stronie prymasa Wyszyńskiego) i biskup Karol Wojtyła, trzymają prawą rękę na krzyżu pektoralnym.

3 września 2000 ten niegdyś najmłodszy polski biskup ogłosił błogosławionymi Jana XXIII i Piusa IX. Tak wtedy wyjaśnił połączenie tych dwóch beatyfikacji: „To papież Roncalli chciał, by papież Jan Maria Mastai został wyniesiony do chwały

ołtarzy. Napisał w dzienniku: »Myślę nieustannie o świętej pamięci Piusie IX, a naśladowując jego ofiary i wyrzeczenia, chciałbym zasłużyć na to, że dokonam jego kanonizacji«. O Janie XXIII powiedział: „W pamięci wszystkich utrwalił się obraz papieża Jana z uśmiechem na twarzy i ramionami szeroko otwartymi, przygarniającymi cały świat. Iluż ludzi urzekła prostota jego serca, połączona z rozległą znajomością człowieka i jego spraw! Powiew nowości, jaki wniósł ten papież, nie dotyczył oczywiście doktryny, ale raczej sposobu jej przedstawiania: nowy był styl mówienia i działania oraz pełen sympatii sposób obcowania ze zwykłymi ludźmi i możliwymi tego świata (...). Chrześcijanie zostali wezwani, aby śmielej głosić Ewangelię i z większą uwagą śledzić »znaki czasu«. Sobór był prawdziwie proroczą intuicją sędziwego już wówczas papieża i mimo niemałych trudności rozpoczął nową epokę nadziei dla chrześcijan i dla ludzkości”.

Dziś kanonizacji Jana XXIII dokonał człowiek, o istnieniu którego nowy święty nic nie wiedział, i pierwszy z jego następców, który nie uczestniczył w Soborze Watykańskim II. Człowiek znany za to Janowi Pawłowi II, który w maju 2001 roku – na konsystorzu z największą w historii liczbą nominacji – włączył go do kardynalskiego kolegium.

Jana XXIII nazywano „Papieżem Dobrym”, Jana Pawła II „Wielkim”. Kto wie, czy tęsknota za papieżem, który będzie zarazem dobrym, a jednocześnie równie dynamicznym i odważnym, wielkim, jak Jan Paweł II, nie ziściła się w osobie papieża Franciszka? Jedno jest pewne: Jan Paweł II, przyjmując w ślad za papieżem Lucianim imię wielkiego poprzednika, szedł drogą otwartą przez papieża Jana XXIII. Franciszek, kanonizując obu, wyraża wolę kontynuowania przebytej przez nich drogi Kościoła.

Jedno jest pewne: Jan Paweł II, przyjmując w ślad za papieżem Lucianim imię wielkiego poprzednika, szedł drogą otwartą przez papieża Jana XXIII.

PRZEŚLADOWANI

Wszystkie raporty mówią to samo: chrześcijanie są najbardziej prześladowaną religią w świecie. Według dorocznego raportu (2014) międzynarodowej chrześcijańskiej organizacji Open Doors prześladowania cierpi dziś 150 milionów chrześcijan. Z 24 krajów o najbardziej restrykcyjnych przepisach dotyczących religii, 20 to kraje islamskie. Dlaczego?

Raymond Ibrahim (historyk i pisarz, urodzony w Stanach Zjednoczonych w rodzinie egipskich Koptów, dyrektor stowarzyszenia Middle East Forum, wydawca i tłumacz *The Al Qaeda Reader*, znawca języka arabskiego i problematyki arabskiej, autor kronik i analiz publikowanych w Stanach Zjednoczonych oraz innych krajach) w artykule, który ukazał się 27 lutego 2014 roku w „Muslim Persecution of Christians”, wskazuje na główne przyczyny prześladowania chrześcijan przez wyznawców islamu. Chrześcijaństwo jest religią najbardziej rozpowszechnioną w świecie, chrześcijanie są obecni wszędzie, także w krajach muzułmańskich. Co więcej, niemal wszędzie na terytorium dziś islamskim, tak na Bliskim Wschodzie, jak i w Północnej Afryce, muzułmanie nieustannie natrafiają na ślady dawnej obecności chrześcijaństwa. Na przykład w Syrii „walczący o wolność” bojownicy Al-Kaidy uporczywie burzą stare kościoły i klasztory. W Egipcie do dziś żyje około 10 milionów chrześcijan Koptów, a Aleksandria, do czasu islamskiej inwazji w VII wieku, była ważnym ośrodkiem chrześcijańskim.

Do prześladowań popycha także chrześcijański duch misyjny, zabieganie o nowych wyznawców. Inne wielkie religie: buddyzm, hinduizm, judaizm (z wyjątkiem islamu!) nie mają misyjnego charakteru. Do tego chrześcijanie, głosząc naukę sprzeczną z nauką Mahometa, są traktowani jako bluźniercy. Tymczasem w Azji i Afryce tysiące muzułmanów przeszło na chrześcijaństwo (za apostazję są prześladowani, nawet karani śmiercią).

Żyjący dziś we Francji Joseph Fabelle, iracki muzułmanin nawrócony w 1987 roku na chrześcijaństwo i skazany za to na śmierć przez własną rodzinę, twierdzi, że dla niego islam i Koran są problemem ze względu na nakaz „zabij człowieka, który

się z tobą nie zgadza”.

Wspomniany raport Open Doors wylicza 50 krajów, w których chrześcijanie są najbardziej prześladowani. Na pierwszym miejscu po raz dwunasty znalazła się Korea Północna. Ale nie jest ona przecież krajem muzułmańskim. A prześladowania w dawnym Rzymie? ZSRR? Więc skąd ta zaciekleść i dlaczego prześladowanie?

Papież Franciszek zna tę sytuację. W maju zeszłego roku powiedział, że obecnie chrześcijanie na całym świecie są bardziej prześladowani niż u początków chrześcijaństwa. Przypomniał też ostrzeżenie Jezusa: „Nie przerażajcie się! Świat będzie was nienawidził”.

24 lipca przyjął Sudanekę Meriam Ibrahim, którą sąd w jej kraju skazał na śmierć za „wyrzeczenie się islamu” i przejście na chrześcijaństwo, potem karę uchylił pod presją opinii międzynarodowej. Papież Franciszek nie potępił praw skazujących na śmierć za wiarę. Watykan, do którego od lat napływają informacje o prześladowaniach chrześcijan, nigdy islamu nie potępił ani nie skrytykował Koranu. Nie wezwał do retorsji na przykład przez zamknięcie granic dla prześladowców.

Nigdy? Był czas, kiedy papieże usiłowali zbrojnie, z mieczem i krzyżem, siłą chrześcijańskiego oręża zwyciężyć półksiężyc, a niewiernych zmieść z powierzchni ziemi, zresztą może i nawrócić. Nic z tego nie wyszło, a zostały resentymy. Wyprawy krzyżowej nie będzie. Jeśli jednak papieże próbują dobrem zwyciężać zło, to obrońcy praw człowieka i wolności sumienia mogliby się tym bardziej zainteresować.

Tym zaś, którzy twierdzą, że w Polsce Kościół jest prześladowany, radzę zagłębić się w relacje o prawdziwych współczesnych prześladowaniach chrześcijan. A w słowach Jezusa: „Będziecie w nienawiści u wszystkich z powodu mego imienia”, nacisk położyłbym na „z powodu mego imienia”. Bo u nas z powodami to różnie bywa.

Tym zaś, którzy twierdzą, że w Polsce Kościół jest prześladowany, radzę zagłębić się w relacje

o prawdziwych współczesnych prześladowaniach
chrześcijan.

PACEM IN TERRIS

Rok 1920, nowo wyświęcony ksiądz Jan Zieja zgłasza się na kapelana. W pamięć zapadnie mu szczególnie jedna bitwa, w Brzostowicy za Puszcza Białowieską: gdy strzały cichną, idzie na pobożowisko. Ranni Polacy, bolszewicy, ziemia zaślana trupami. W księdzu następuje przemiana. Po latach powie, że tam, na tym polu, ostatecznie się nawrócił. Zrozumiał, że przykazanie „Nie zabijaj” znaczy „Nie zabijaj nigdy i nikogo”.

Ksiądz Jan swoje życie i apostołstwo opierał na Ewangelii, a zdanie „Nie zabijaj nigdy i nikogo” będzie powtarzał do końca życia. Kilkakrotnie przekazywałem Janowi Pawłowi II jego listy, w których prosił, by papież powiedział to światu. I Jan Paweł II mówił. Powtarzał za Piusem XII: „Wszystko można stracić przez wojnę, ale wszystko można zyskać poprzez pokój” oraz „wojna zawsze jest porażką ludzkości”. Jednak w czasie wojny domowej w Bośni, kiedy wspólnota międzynarodowa bezradnie przyglądała się dokonywanym tam czystkom etnicznym, zaapelował o „interwencję humanitarną”. Milczał też, kiedy w 2001 roku, w ramach planu walki z terroryzmem, brytyjskie i amerykańskie wojska walczyły w Afganistanie. I tu, i tam chodziło o działania obronne.

A Jean Goss? Wielu jeszcze pamięta spotkania z nim w Krakowie. Urodził się w 1912 roku, był działaczem związkowym na francuskiej kolei. Zmobilizowany w 1939 roku, marzył o zabiciu potwora Hitlera. Tymczasem zabijał niemieckich żołnierzy. Dostał się do niemieckiej niewoli. W Noc Paschalną 1940 roku przeżył niezwykle oświecenie: zrozumiał z przeraźliwą jasnością, że – jak potem sam napisze – „chrześcijanin to człowiek, który kocha, który tak kocha, że nie zabije nawet tego, kto chce go zabić, lecz jest gotów dać własne życie za nieprzyjaciela”. Do końca (zmarł w 1991 roku) z żarem głosił to, co określał jako *non-violence évangélique*.

Pod tekstem o księdzu Ziei ktoś w internecie napisał, że właśnie czytał o okrucieństwach świętej inkwizycji. Mógł napisać jeszcze o potwornościach krucjat, podejmowanych z okrzykiem „Bóg tak chce!”, o wojnach mających na celu wymordowanie mahometan, Żydów i heretyków, i tak dalej.

Dziś jest oczywiste, że papież i w ogóle Kościół opowiada się za pokojem. Profesor Roman Kuźniar zauważył, że „jedynym państwem, które trwa przy tym terminie [pokój], jest Stolica Apostolska, a to ze względu na mające długą tradycję doroczne papieskie orędzia na Światowy Dzień Pokoju, 1 stycznia. (...) Po zimnej wojnie pojęcie pokoju zostało wyparte przez bezpieczeństwo międzynarodowe. Jest ono centralnym zagadnieniem w polityce państw i we współpracy międzynarodowej”.

Przeszłość... W Roku Jubileuszowym Jan Paweł II wyznawał przed Bogiem i ludźmi, że „chrześcijanie wielokrotnie sprzeniewierzyli się Ewangelii i ulegając logice przemocy, pogwałcili prawa ludów i narodów, okazując pogardę dla ich kultur i tradycji religijnych”. Błagał Boga o przebaczenie i w imieniu Kościoła wyrażał wolę „wiernej realizacji niezmiennego orędzia Ewangelii: nigdy więcej działań sprzecznych z miłością w służbie prawdy, (...) nigdy więcej poniżania godności narodów, nigdy więcej czynów podyktowanych logiką przemocy, nigdy więcej dyskryminacji, odrzucenia, ucisku, lekceważenia ubogich i najmniejszych”.

Na początku chrześcijaństwa było nie do pomyślenia, by chrześcijanin został cesarzem. Potem, że cesarz może nie być chrześcijaninem. Potem związek ołtarza z tronem dał początek naciąganiu Ewangelii, konstruowaniu nauki o „wojnie sprawiedliwej”, przy czym za „sprawiedliwą” uznawano wojnę wedle potrzeb chwili (dziś znaczenie tego pojęcia jest dość precyzyjnie określone).

Nauka Kościoła na temat wojny i pokoju dojrzewała przez stulecia. Dzięki takim ludziom jak święty Franciszek, Jan XXIII, ale też ksiądz Jan Zieja i Jean Goss, jest dziś prawdziwie ewangeliczna. I nawet niesłuchana wciąż jest potrzebna światu, przynajmniej po to, żeby miał gdzie wrócić.

KIEDY W EWANGELII POJAWIAJĄ SIĘ KOBIETY

Dla wielu tak zwanych zwykłych katolików w Polsce, a także dla wielu księży, problem miejsca kobiet w Kościele, nie mówiąc o teologii feministycznej, to problem marginalny lub zgoła pseudoproblem, zaś zajmujące się nimi osoby to podejrzani obsesjonści.

Obraz Kościoła zarządzanego przez mężczyzn, liturgii w męskim wykonaniu (poza śpiewami i, ewentualnie, czytaniem), nauczania na szczeblu wyższym niż szkolna katecheza, zarządzania kościelnymi pieniędzmi przez proboszcza i tak dalej wrósł w nasze wyobrażenie Kościoła tak dalece, że zakonnica na katedrze uniwersyteckiej, kobieta prowadząca rekolekcje i udzielająca Komunii budzi zdumienie, a często reakcje negatywne. Rektorka Papieskiego Uniwersytetu Antonianum w Rzymie, siostra Mary Melone, wyznała w wywiadzie dla „L'Osservatore Romano”: „usłyszałam mnóstwo wypowiedzi wyrażających radość z powodu tego kolejnego dowodu nadejścia nowej wiosny (...), ale też i takie, które w imię świętego Tomasza i świętego Pawła wzywały mnie, bym złożyła rezygnację, gdyż zostałam wybrana na stanowisko nie pasujące do kobiety”.

Dość powszechne jest przekonanie, że w „kościelnym feminizmie” chodzi przede wszystkim o dopuszczenie kobiet do kapłaństwa, a być może o władzę. Mówi się też, że to sprawa przegrana, jako że rozstrzygnął ją w 1994 roku święty Jan Paweł II w Liście apostolskim *Ordinatio Sacerdotalis*: „Aby zatem usunąć wszelką wątpliwość w sprawie tak wielkiej wagi, która dotyczy samego Boskiego ustanowienia Kościoła, mocą mojego urzędu utwierdzania braci (por. Łk 22, 32) oświadczam, że Kościół nie ma żadnej władzy udzielania święceń kapłańskich kobietom oraz że orzeczenie to powinno być przez wszystkich wiernych Kościoła uznane za ostateczne”.

A przecież, z winy naszej ignorancji i myślenia, że jeśli „zawsze tak było”, to i na zawsze pozostanie, nie zdajemy sobie sprawy z rozmiarów, zakresu, znaczenia i dynamiki procesu emancypacji kobiet w Kościele. Może właśnie to miał na myśli Franciszek, pisząc w *Evangelii gaudium*, że „trzeba jeszcze poszerzyć przestrzenie dla bardziej znaczącej obecności kobiet w Kościele”.

Kościół kobiet, książka znanej nie tylko czytelnikom „Tygodnika Powszechnego” Zuzanny Radzik, jest imponującym przeglądem tego, co od czasów Soboru Watykańskiego II w tej materii się działo i dzieje. W Polsce wiele się o tym nie mówi. Dr hab. Elżbieta Adamiak, która jako pierwsza nad Wisłą określiła siebie jako teolożka feministyczna, zapytana, jak to jest być kimś takim, odpowiedziała krótko: „mężąco”. Tymczasem lektura Radzik uświadomi nam, jak niewiele wiemy o tym, co się w tej materii dzieje. Znajdziemy w niej poglądy i poczynania, które wyszły poza granice sakramentalnego Kościoła, ale też jak najbardziej kościelne nowatorskie myśli teologiczne oraz ewangeliczne zaangażowania w obszarach dotąd mało dostępnych dla ewangelizacji.

Wracając do świętego Jana Pawła II i kapłaństwa kobiet: sądzę, że papież widział rozwiązanie czy może wyjaśnienie problemu nie w święceniu kobiet, lecz w przywróceniu klerowi właściwego miejsca. Tak ujmuje to nota wyjaśniająca dokument *Ordinatio sacerdotalis*: „aby zrozumieć, że nie ma przemocy ani dyskryminacji wobec kobiet, należy rozważyć także samą naturę kapłaństwa urzędowego, które jest służbą, a nie ma charakteru władzy ludzkiej lub przywileju w stosunku do innych. Ktokolwiek, mężczyzna czy kobieta, pojmuje kapłaństwo jako osobiste uznanie, jako cel lub nawet jako punkt wyjścia kariery do ludzkiego sukcesu, myli się głęboko...”. Mówiąc wprost: chodzi o to, by w Kościele księża nie byli – bo i nie są – najważniejsi.

Zawsze, kiedy w Ewangelii ma się wydarzyć coś szczególnie ważnego, na jej stronicach pojawiają się kobiety. Elżbieta Adamiak w artykule zamieszczonym w „L'Osservatore Romano”, parafrazując Franciszka, który stwierdził, że „Kościół nie może być sobą bez kobiety i jej roli”, napisała, że „również teologia nie może być sobą bez kobiet”. Tego już nie da się odwrócić.

Zawsze, kiedy w Ewangelii ma się wydarzyć coś szczególnie ważnego, na jej stronicach pojawiają się kobiety.

JUDASZ I JUDASZE

Zdradę Piotra rozumiemy. Jest prosta i dobrze znana nam, którzy zdjęci strachem wtedy, kiedy należało się odezwać, milczeliśmy; którzy wbrew własnym przekonaniom potakiwaliśmy; którzy w imię „roztropności” unikaliśmy ryzyka, choć trzeba było ryzykować, i nie jak Piotr – utratę wolności czy życia, lecz co najwyżej utratę pozycji (towarzyskiej) w środowisku czy opinii człowieka nowoczesnego. Rozumiemy przerażenie Piotra zaskoczonego gradem niebezpiecznych pytań. A zdrada Judasza?

Jak trudno ją zrozumieć, pokazuje liczba dzieł literackich. Karol Hubert Rostworowski, Roman Brandstaetter i wielu innych – a teraz Amos Oz w swojej wybitnej książce pt. *Judasz* – starało się przeniknąć zagadkę człowieka, którego imię stało się synonimem zdrajcy. Bohater *Judasza* Szmuel Asz widzi w nim „pierwszego i ostatniego prawdziwego chrześcijanina”. Judasz – sądzi Szmuel Asz – chciał, aby Ten, w którego uwierzył, ujawnił swoją moc. Zdradził, żeby Jezusa sprowokować do działania z mocą.

Zawiedziony Judasz się załamał: zwrócił pieniądze, uznał swój błąd i się powiesił. Piotr i Judasz, każdy na swój sposób, uświadomili sobie, co zrobili. Piotr zapłakał. Musiał jeszcze mieć w świeżej pamięci swoje, przecież najszczerze, zapewnienia o niezłomnej wierności. Judasz, widząc nieodwracalność tego, co zrobił, odebrał sobie życie. Jezus po zmartwychwstaniu daje Piotrowi szansę naprawienia trzykrotnego zaparcia się, trzykrotnie pytając, czy on, Piotr, Go miłuje. Piotr nie śmie odpowiedzieć twierdząco. Po tym, co zrobił, odpowiada, omijając słowo „miłowanie”. Używa określenia słabszego: na pytanie: „czy miłujesz?”, niezmiennie odpowiada, że „kocha”, czując, iż do dalej idących deklaracji nie ma prawa. Jezus modyfikuje trzecie, ostatnie pytanie, rezygnując z „czy miłujesz” na rzecz „czy Mnie kochasz?”. Potem Piotrowi, który zdradził, przebacza i ufa, powierzając właśnie jemu swoją owczarnię.

Jak by się potoczyły wydarzenia, gdyby Judasz się nie pośpieszył z samobójstwem? Gdyby zapłakał?... Czy zostałyby przyjęty do wspólnoty uczniów?

Jego zdrada w oczach innych Apostołów była nieporównywalnie gorsza niż słabość Piotra. Cokolwiek wtedy Judasz myślał, trudno mu się dziwić, że nie rwał się do spotkania z dawnymi towarzyszami. Ogarnięty rozpaczą i samotny pozbywa się srebrników (nikt z nim nie chce rozmawiać), wyznaje, że wydał „krew sprawiedliwego”, i jest przekonany, iż nie pozostało mu nic innego niż samobójstwo. Gdyby poczekał dzień, dwa, może – jak potem do „niewiernego” Tomasza – Zmartwychwstały przyszedłby do Judasza? Może wtedy Judasz wyszeptałby, jak Tomasz – „Pan mój i Bóg mój”?

Jak by się potoczyły wydarzenia, gdyby Judasz się nie pośpieszył z samobójstwem? Gdyby zapłakał?

O powieści Amosa Oza napisano, że jest to książka „o naturze przyjaźni i zdrady”. To opowieść o ludziach dziwnych, ale przecież zwykłych, którym towarzyszymy w ciągu jerozolimskiej zimy 1959 roku. Obcujemy z nimi w domu, w którym – jak w publikowanej na następnych stronach rozmowie z autorem zauważa autorka wywiadu – „każdy zdradza i jednocześnie w jakiś sposób jest zdradzany”. Zwraca też ona uwagę na zdanie, którym autor zdaje się „uwznioślać zdradę” („każdy, kto jest gotów się zmienić (...) będzie uważany za zdrajcę przez tych, którzy nie są zdolni do jakiegokolwiek zmiany...”). Amos Oz koryguje: przecież w oryginale na początku tego zdania pojawia się słowo „czasem”. W polskiej wersji go nie ma.

A nam temat zdrady jest dość dobrze znany. Poznaliśmy go wtedy, gdy w cholernych teczkach odkrywaliśmy, że przyjaciel, że rodzony brat (jak odkrył na przykład niemiecki współpracownik „Tygodnika Powszechnego” Joachim Trenkner), że współbrat zakonny, że ktoś z najbliższego otoczenia, komu ufaliśmy – na nas donosił. Nawet jeśli rozumiemy motyw, zdrada pozostaje zdradą. I droga wybaczenia wydaje mi się prostsza i bardziej jednoznaczna, aniżeli droga uwznioślenia zdrady, czy nawet jej usprawiedliwienia.

Może rzeczywiście „czasem” – jak mówi Oz – jest inaczej. Ale chyba tylko wtedy, gdy mamy do czynienia z pozorami zdrady, a nie gdy naprawdę o zdradę

chodzi.

Z ŻYCIA KOŚCIOŁA

Przebieg wspólnej konferencji prasowej Przychodzącego i Odchodzącego był przewidywalny. Odchodzący komplementował Następcę, Następca nie szczędził słów uznania Poprzednikowi.

Głęboko słuszny program Następcy brzmiał nieco ogólnie: „iść za Chrystusem”, „głosić Ewangelię”, „być blisko z ludźmi”. Jako priorytety: rodzina, młodzież, wychowywanie dla przyszłości Polski, kultywowanie lokalnych tradycji. Bodaj jedyna zapowiedź szczegółowa dotyczyła kontynuacji (w akademickim kościele Świętej Anny) słynnych „spotkań w katedrze” (na których Następca „odpowiada na wszystkie pytania” – jak przeczytałem w „Naszym Dzienniku”). Klimat spotkania był pogodny, pytania dziennikarzy życzliwe.

Bo to nie był moment na prezentowanie niepokojów Odchodzącego ani projektów Przychodzącego. „Ludzie się zmieniają, Kościół trwa”, powiedział – wcale nie melancholijnym tonem – Odchodzący. I słusznie. Zmianie biskupa nie towarzyszy przecież gorączka wyborcza, bo wyborców nie ma. Udział wiernych skończył się w XII, a kleru w XIII wieku. Teraz biskupów mianuje papież. Zalecaną przez Sobór wymianę siedemdziesięcioletnich pasterzy wprowadził w życie (w 1966) Paweł VI i dziś nikogo ona nie zaskakuje ani nie dziwi.

Niezwykłym akcentem pierwszego publicznego wystąpienia nowego metropolity krakowskiego była, otwierająca spotkanie, wiadomość o okrutnie zabitej dzień wcześniej dwudziestopięcioletniej wolontariuszce, świeckiej misjonarce Helenie Kmieć. Jeszcze 9 stycznia, po przybyciu do Boliwii, wysłała do Polski SMS-a: „27°C laaatoooo!:) Pozdrawiamy z Cochabamby, która przez najbliższe pół roku będzie naszym domem.:)”. Domem była dwa tygodnie.

Helena w 2014 roku obroniła pracę magisterską na kierunku technologia i inżynieria chemiczna na Politechnice Śląskiej. Od 2011 roku była zaangażowana w działalność salwatoriańskiego Wolontariatu Misyjnego. Znakomitą znajomość języka angielskiego zawdzięczała dwuletniej nauce w gimnazjum w Wielkiej Brytanii na przyznawanym zdolnym uczniom stypendium Szkół Zjednoczonego Świata. Była

niezwykle aktywna przy organizowaniu Światowych Dni Młodzieży.

Co jeszcze o niej wiemy? Piszą koledzy, przyjaciele: „niesamowity talent muzyczny. Grała na gitarze, fortepianie, śpiewała cudownie. (...) taka kruszynka potrafiła wydobyć z siebie potężny głos. Doskonaliła go zresztą w szkole muzycznej, studiując śpiew operowy”. „Podczas pielgrzymek pieszych do Częstochowy podchodziła do osób, które były najbardziej zmęczone, by się nimi zainteresować i pomóc”. „Ona po prostu zadziwiała. Nie wiem, jak to robiła. (...) Mocno angażowała się w Duszpasterstwie Akademickim. Coraz pojawiały się zaproszenia na organizowane przez nią akcje pomocowe, bale karnawałowe, imprezy niespodzianki”. „Zdecydowanie najlepsza pośród nas, wzór postępowania. Piękna osoba, wierna przyjaciółka, wspaniała wolontariuszka misyjna, po prostu święta”. „Mocno uduchowiona. Modliła się brewiarzem, czytała Pismo Święte, chętnie rozmawiała na tematy związane z wiarą, życiem. Pytała, miała otwarty umysł, potrafiła słuchać”. „Już wcześniej posługiwała na placówkach misyjnych w Rumunii, na Węgrzech”. „Była osobą ambitną. Przed wyjazdem na misje pracowała jako stewardesa (...)”. „Powtarzała, że chce okazać miłość dzieciom, które nie otrzymały miłości”. „Po przyjeździe do Cochabamby Helena pracowała przy remoncie ochronki. Dzięki temu w placówce powstały miejsca dla nowych podopiecznych. Helena wraz z koleżanką z Polski Anitą Szuwald zdążyły pomalować ściany sal dla dzieci i ozdobić je motywami kwiatów, umyć okna i poukładać zabawki”.

24 stycznia 2017 roku nad ranem polskiego czasu był napad na ochronkę, w której przebywały Helena Kmiec i Anita Szuwald. Napastnik ugodził nożem Helenę. Pomimo prób ratowania jej życia zmarła.

Te dwa przedziwne ze sobą związane wydarzenia z życia Kościoła chciałem tu po prostu odnotować.

DŹDŹOWNICO, SIOSTRO NASZA

Rozumienie biblijnego „niech panuje” (Księga Rodzaju 1, 26) jako boskiego postanowienia, że wszystko, co zostało stworzone, ma służyć dobru człowieka, odchodzi do lamusa.

Zasługa to takich ludzi, jak anglikański teolog Andrew Linzey, autor wydanej przez WAM w 2010 roku książki *Teologia zwierząt*. Również Jan Paweł II uczył: „Stwórca chciał, aby człowiek korzystał z przyrody jako rozumny i szlachetny pan i stróż, a nie jako bezwzględny eksploatator”. Jego następcy mówili i mówią podobnie.

Dziś praw zwierząt bronią u nas ustawy, a członkowie różnych towarzystw tropią ich naruszanie: znęcanie się, okrutne wykorzystywanie zwierząt do pracy czy w przemyśle rozrywkowym, głodzenie ich. Wiele się w tej dziedzinie robi. Na szczęście!

Rzecz jednak nie tylko w tym, żeby ukrócić okrucieństwo ludzi wobec zwierząt. Pytanie, z którym się borykają wierzący, sięga głębiej. Formułuje je poetka Barbara Borzymowska: „Dokąd idą psy, gdy odchodzą? / No bo jeśli nie idą do nieba, / to przepraszam Cię, Panie Boże, / mnie tam także iść nie potrzeba”.

Są tacy, dla których szacunek dla życia w każdej jego formie jest szacunkiem dla Dawcy życia. O świętym Franciszku napisano, że „rozważając początek wszystkich stworzeń, ożywiał coraz bardziej swą pobożność i wszystkie stworzenia, choćby najmniejsze, nazywał braćmi lub siostrami, ponieważ wiedział, że razem z nim pochodzą z tego jednego Źródła”. Albert Schweitzer uważał, że wszystkie formy życia pochodzą od Boga, są święte. Dlatego człowiek etyczny, aby chronić życie, przeniesie dżdżownicę z rozpalonego asfaltu na miękką trawę. Nasz tyniecki mędrzec ojciec Leon Knabit zauważa: „Trudno uwierzyć, że Bóg, Dawca życia, stwarza życie na jakiś czas. A potem ma się to życie unicestwić”.

Dlatego człowiek etyczny, aby chronić życie,

przeniesie dżdżownicę z rozpalonego asfaltu na miękką trawę.

Sceptycy (także niektórzy ojcowie Kościoła) powiadają, że co nie zostało zawarte we wcieleniu, nie będzie uzdrowione w odkupieniu. Przypominają, że Syn Boży stał się człowiekiem (nie na przykład dżdżownicą). Lecz święty Paweł nas pociesza, głosząc, że „Stworzenie gorąco oczekuje objawienia się chwały synów Bożych. Całe stworzenie zostało poddane marność – nie z własnej chęci, ale z woli Tego, który je poddał – w nadziei, że również i ono zostanie wyzwolone z niewoli zepsucia, by uczestniczyć w wolności i chwale dzieci Bożych. Wiemy przecież, że całe stworzenie aż dotąd jęczy i wzdycha w bólach rodzenia”.

Niewiele wiemy o tajemniczym życiu wiecznym nas, ludzi, nie dziwota, że jeszcze mniej wiemy o życiu wiecznym naszej mniejszej siostry dżdżownicy. Ojciec Leon trafnie zauważa, że „najlepszym wyrazem naszej miłości do zwierząt nie jest poszukiwanie odpowiedzi na pytanie o plany Pana Boga, lecz zatroszczenie się o to, byśmy mieli szacunek do naszych mniejszych braci”. Przekonuje mnie też Albert Schweitzer, kiedy pisze, że „ludzie będą zdumieni tym, jak wiele czasu potrzebowali, zanim się nauczyli postrzegać bezmyślne krzywdzenie życia jako rzecz nie do pogodzenia z etyką”. Podzielałam nadzieję Barbary Borzymowskiej, świętego Pawła i wszystkich miłośników zwierząt, że „całe stworzenie” będzie uczestniczyć w chwale dzieci Bożych. Zwłaszcza że niby szanuję (święte) życie i przenoszę dżdżownicę z asfaltu na trawę, jednak – trudno to ukryć – zabijam mole, mam na sumieniu zabite myszy i otrute szczury. Prześladowuje mnie też myśl straszliwa o tym, jak to będzie, jeśli na tamtym świecie będę musiał spojrzeć w oczy moim mniejszym braciom, których zjadłem. Przez życie mogło się tego uzbierać trzy, a nawet cztery tony.

BISKUP, CZYLI NOMAD

O tempora, o mores! Za moich czasów – jak mówią starzy ludzie, i ja z nimi – nominacja biskupia spadała z Watykanu jak grom z jasnego nieba. Do chwili oficjalnego ogłoszenia w „L’Osservatore Romano” nikt o niczym nie wiedział, a raczej ci, którzy wiedzieli, milczeli jak kamienie, być może związani „papieskim sekretem” (*segreto pontificio*), jakim objęte są wszelkie czynności związane z przygotowaniem biskupiej nominacji (*Norme sul segreto pontificio*, art. 1, 7). Opinie o kandydacie zbiera Kongregacja do spraw Biskupów między innymi przez ankietę wysyłaną do wybranych osób. Zawarte w niej pytania i odpowiedzi są objęte właśnie „sekretem papieskim”. Z nikim nie wolno o tym rozmawiać, a nie tylko swoje odpowiedzi, lecz także formularz z pytaniami należy odesłać do Kongregacji. Zachowanie oryginału lub kopii jest surowo zabronione. Należy odesłać wszystko z wyjątkiem koperty.

Tymczasem wieść o papieskiej nominacji biskupa Grzegorza Rysia na arcybiskupa metropolitę Łodzi już kilka dni przed oficjalnym ogłoszeniem – 14 września 2017 roku – rozeszła się z szybkością światła. Przekazywano ją sobie jak sensację. Przychodzące co chwila SMS-y lub żywy głos w telefonie informowały: „Czy już wiesz? Już słyszałeś, że 14 września Ryś z Krakowa zostanie mianowany łódzkim arcybiskupem, na miejsce arcybiskupa Marka Jędraszewskiego przeniesionego z Łodzi do Krakowa?”. Wprawdzie początkowo wiadomość brzmiała: „nieoficjalnie dowiedzieliśmy się, że...”, lecz i wtedy podawano ją z tak wielką dozą pewności, że była powszechnie przyjmowana – jak się okazało, słusznie – jako wiadomość najzupełniej pewna.

Można się zastanawiać, czy słynna sekretność, obowiązująca do chwili oficjalnego ogłoszenia watykańskie embargo na papieskie przemówienia i dokumenty ma sens, skoro niemal zawsze znajdzie się ktoś, kto embargo naruszy i tekst opublikuje przed innymi, którzy lojalnie dochowują tajemnicy. Za moich czasów – jak mówią starzy ludzie, i ja z nimi – jedyne przecieki, które się zdarzały w Watykanie, to były „przecieki sterowane” – świadome puszczenie wiadomości

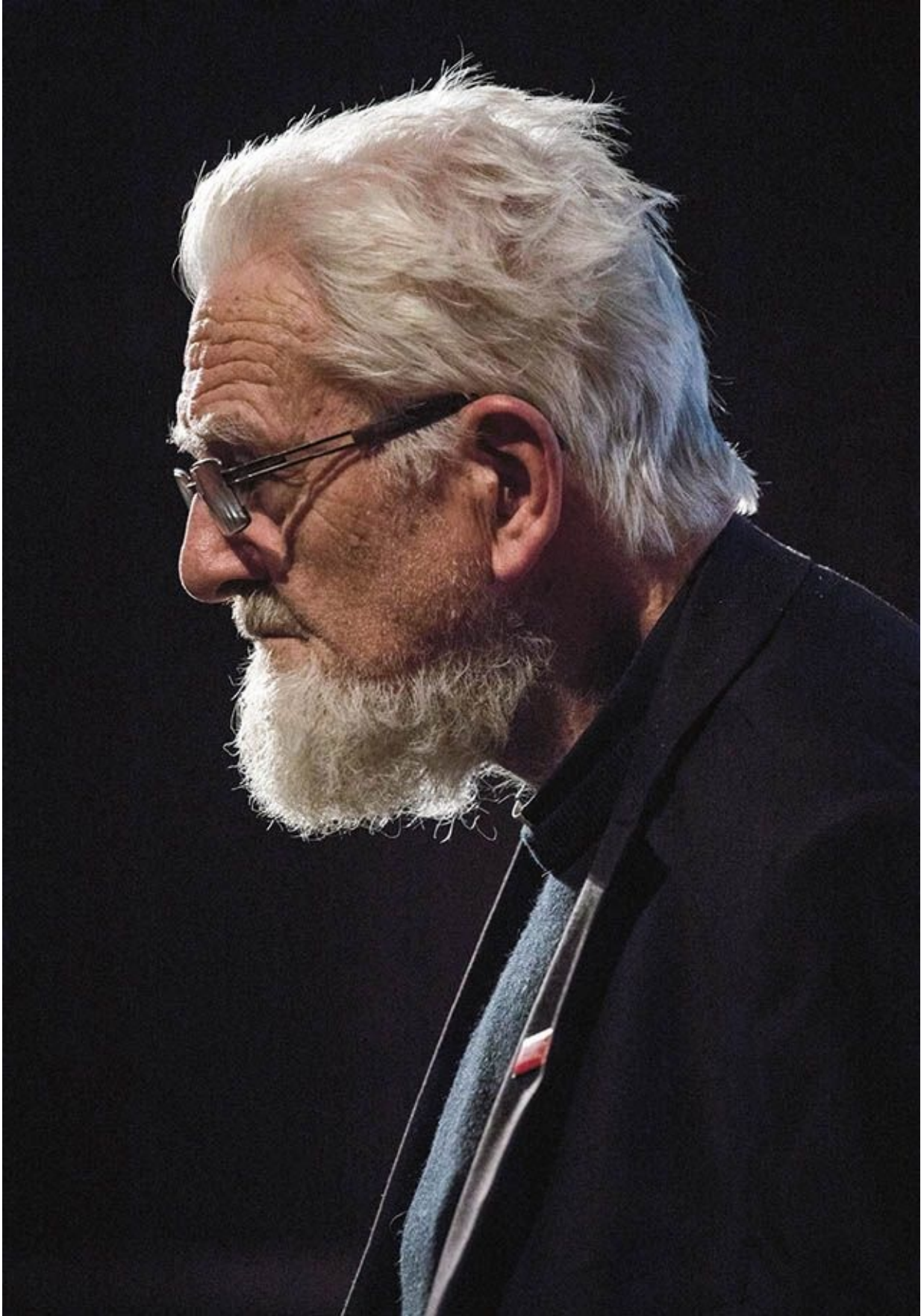
w (nieoficjalny) obieg dla zbadania reakcji opinii publicznej. Jeśli – kto wie? – i tym razem tak było, to reakcja – *toutes proportions gardées* – przypomina czasy, w których lud wybierał biskupa. W tym czasie, przed oficjalnym ogłoszeniem nominacji, wszystkie głosy, SMS-y, e-maile, telefony i wypowiedzi tchnęły entuzjazmem i radością, tak jak radością tchnęły okrzyki wyborców Ireneusza, Jana Złotoustego, Ambrożego i innych.

Tak było, bo młody (urodzony w 1964 roku) krakowski biskup pomocniczy (od 2011) Grzegorz Ryś jest w Polsce znany i cieszy się szacunkiem za to, co mówi, także w mediach (wielu do dziś wspomina telewizyjne spotkanie w programie *Młodość kontra*), co pisze w swoich książkach i co tydzień w „Tygodniku Powszechnym”, co mówi „na żywo” w kazaniach i konferencjach, za to, co robi, zwłaszcza na polu nowej ewangelizacji, i w sumie za to, kim jest.

Ostatnio często mnie pytają, czy się cieszę. Jak ja mam się cieszyć z tego, że biskup Ryś, przepraszam, arcybiskup Ryś, opuszcza Kraków? To była dobra dla Krakowa i dla nas obecność. Żaden elektroniczny instrument komunikacji nie zastąpi jego obecności kilka ulic dalej, na Szpitalnej. Czy się cieszę? Tak, jednocześnie się martwię i cieszę się z tego, że Konferencję Episkopatu Polski wzmocni swoją obecnością taki nowy ordynariusz. Biskup Ryś był jej członkiem, jednak ordynariusz, i to Łodzi, ma większą siłę rażenia niż biskup pomocniczy, nawet Krakowa.

Arcybiskupie Grzegorzu, wiem, czym dla Ciebie jest opuszczenie Krakowa, ale sam na pielgrzymce do Częstochowy mówiłeś, że jesteśmy w drodze jak nomadzi, którzy dziś tu rozbijają namioty, by nazajutrz je zwinąć i powędrować dalej.

W Krakowie lubimy powtarzać żart, którym księżę metropolita Adam Sapieha miał scharakteryzować los biskupa: być biskupem byłoby przyjemnie, gdyby nie to, że... są księża. Stąd życzenia wzajemnego zrozumienia z łódzkim prezbiterium. Tylko z nim biskup może wcielać w życie najwznioślejsze wizje.



fot. Dawid Żuchowicz/Agencja Gazeta

Chrońmy

MĘDRCÓW

SZCZEROŚĆ BEZ GRANIC

Życie w świecie, w którym nikt nikomu nie ufa, byłoby koszmarem. A tymczasem wzajemna nieufność się szerzy jak zaraza i niepostrzeżenie sami zostajemy nią dotknięci. Nie ufamy żebrakom (naciągacze), sprzedawcom (sprawdzamy sumę do zapłaty), taksówkarzom, lekarzom, wróżbitom, ministrom, hydraulikom, nauczycielom, księżom i ludziom sprzedającym używane samochody. Nie wierzymy rządowi ani opozycji. Jeszcze ufamy (bo co mamy robić?) motorniczym w tramwajach (ale nie kontrolerom), kucharzom w restauracjach (ale nie kelnerom), policjantom na skrzyżowaniach, maszynistom, pilotom, autorom map i farmaceutom, bankomatom (zasłaniając ręką PIN!), a nawet – bardzo umiarkowanie – innym kierowcom na drodze.

Bo komu można wierzyć? Z książki Dariusza Rosiaka *Wielka odmowa* krótka historia z roku 1977 o Antonim Macierewiczu: „Po pierwszym numerze »Spotkań« mieliśmy serię rewizji, zabrano nam materiały do drugiego numeru, było opóźnienie w druku. Janusz [Krupski, redaktor »Spotkań«] był w tym czasie u Antka i Antek powiedział, że strasznie ważne, żebyśmy zrobili ten drugi numer. Że trzeba im pokazać, że rewizja nic nie znaczy, że istniejemy, walczymy i tak dalej. I zrobiliśmy ten drugi numer u Maćka Sobieraja w Zagnańsku pod Kielcami, on tam miał dom rodzinny. Janusz z Maćkiem i Pawłem Nowackim drukowali ten numer całą noc, powielili ile się dało, podzielili się i Janusz pojechał ze swoją porcją »Spotkań« do Warszawy na Bielany. To było tydzień czy dwa po tych rewizjach i wpadce. Antek się strasznie ucieszył: »Aleście im, chłopcy, pokazali! Ja to natychmiast puszczam po Warszawie, niech ludzie wiedzą!«. Janusz też się ucieszył. Po kilku miesiącach zjawiał się w mieszkaniu Antka, a w przedpokoju, gdzie zostawił te paczki ze »Spotkaniami«, znalazł je wszystkie nieodpakowane. Ciekawy jest jego komentarz do tej całej sprawy po wielu latach: »Ja wtedy zrozumiałem – mówił mi Krupski – co to jest polityka«”. Stosunki między „Spotkaniami” i KOR-em wtedy już nie układały się najlepiej.

Jakie są granice otwartości i szczerości z jednej, a zaufania z drugiej strony? Czy powszechna wiedza o tym, jak powstaje kiełbasa i traktaty polityczne, jest konieczna?

Czy szczerść nie powinna mieć granic? Jeśli hipokryzją jest, mając wypasione konto w banku, demonstrować swoje ewangeliczne ubóstwo wobec ludzi, to czy z tego wynika, że jest obowiązkiem uczciwości ujawnianie wszem wobec stanu swego konta? Inaczej rzecz się ma, gdy chodzi o finanse posłów, senatorów, inaczej, gdy chodzi o ujawnianie parafianom stanu finansów parafii, jeszcze inaczej w przypadku zwykłego Kowalskiego. Tak zwana „kuchnia polityczna” nie może być zawsze otwarta jak debaty w Stoczni Gdańskiej w 1980 roku. Czy jestem obłudnikiem, jeśli jakimiś pomysłami dzielę się w prywatnej rozmowie z kimś, u kogo szukam oceny i rady, bo jest moim zaufanym przyjacielem, a nie ujawnię tego pomysłu innym? Czy naprawdę wszyscy muszą wiedzieć wszystko o wszystkich? Jeśli o nas chodzi, to chętnie, wręcz odruchowo, przywołujemy prawo do prywatności, ale już mniej chętnie i odruchowo, gdy chodzi o prywatność bliźnich (i naszą chęć wszechwiedzy).

Życie w klimacie powszechnej nieufności byłoby nie do zniesienia, a nawet byłoby niemożliwe, jednak życie zmienione w talk-show także byłoby koszmarem. Telewizyjny talk-show oparty na konwencji ujawniania wszystkiego i publicznego wchodzenia w najbardziej osobiste rejony ludzkiej egzystencji może mieć swoje walory. Ale życie to nie talk-show, w życiu tak się nie da.

Pocieszam się, że między hipokryzją a szczerścią bez granic jeszcze istnieje jakaś przestrzeń.

MAMY KOMPLEKSY

Mamy kompleksy, niekoniecznie osobliwie polskie, ale nie da się ich ukryć. Kompleksy, niestety, typowe dla słabych, przegranych, wzgardzonych. Nadrabiamy, pyszniąc się jak dzieci z wujka w Ameryce, z Marii Skłodowskiej-Curie, Kopernika, Chopina i kogo tam jeszcze, a najbardziej z „Polskiego Papieża”, od chwili jego wyboru, choć niejeden wcześniej nic o Karolu Wojtyła nie wiedział. Widywałem w Rzymie – w czasach tamtego pontyfikatu – rodaków, którzy na Pocztę Watykańską zwracali się do jej urzędników po polsku, a widząc ich bezradność, komentowali ironicznie: jest nasz papież, niech się nauczą polskiego.

**Mamy kompleksy, niekoniecznie osobliwie polskie,
ale nie da się ich ukryć.**

Radość ze zdobytych przez naszych sportowców medali może i jest przejawem szlachetnej narodowej dumy. W niektórych krajach afrykańskich, złożonych z różnych, dość sobie obcych, jeśli nie wrogich plemion, mieszkańcy stają się narodem wtedy, gdy na międzynarodowej arenie występuje ich reprezentacja futbolowa. Zawsze coś...

Właśnie w momentach jakiegoś sukcesu Polaka (sukcesu, który jesteśmy skłonni, w odróżnieniu od wielu innych narodów, traktować jako sukces narodowy) ujawniają się nasze kompleksy i urazy. Bywamy zawiedzeni, kiedy jakiś obcokrajowiec nie zna naszych noblistów (tak jakbyśmy sami znali noblistów amerykańskich, brytyjskich czy japońskich). A kiedy nic innego pod ręką nie mamy, sięgamy po martyrologię i jak emigrant z *Monizy Clavier* Sławomira Mrożka obchodzimy towarzystwo zebrane w salonie... „O tu! – krzyknąłem, szeroko otwierając jamę ustną i wskazując palcem na zęby trzonowe. – O tu, wybili, panie, za wolność wybili! Nastąpiło zamieszanie. Ucichli, patrzyli na mnie, nie mogąc zrozumieć, o co mi chodzi. A przecież chciałem tylko uprzytomnić im w sposób jasny i przystępny, niejako pogładowy, cierpienia mojego narodu. To, że najwidoczniej nie doceniali martyrologii, bardzo mnie

rozgniewało”.

Osobliwą polską cechą, która się ujawnia w sytuacjach „polskiego sukcesu”, jak w przypadku europejskiego awansu Donalda Tuska, jest odruch umniejszania: że bez znaczenia, że bez żadnej władzy, że nie będzie najważniejszą osobą w UE, że go zaproponowali, bo słaby i można nim kierować...

W innych krajach Lech Wałęsa wciąż jest symbolem historycznego wydarzenia – Solidarności. U nas Lech Wałęsa... szkoda gadać. Być z niego dumnym? Skąd, raczej wprost przeciwnie.

Coś takiego jest też w traktowaniu pamięci Jana Pawła II. Niedawno rozmawiałem z paryskimi księżmi, którzy nauczanie tego papieża i jego pontyfikat doskonale znają, pamiętają i się do niego odwołują – u nas pamięć często się ogranicza do pamiątkowego zdjęcia z Watykanu i jedyne cytatu: „nie lękajcie się”.

Bo w gruncie rzeczy nie znosimy tych, którym się powiodło, którzy wyrosli ponad przeciętność. Z pasją przeliczamy na złotówki ich dochody i porównujemy je z własną pensją. Mówimy: „ten się dochrapał, załapał”, „ciekawe, kto za tym stał i jakie tam były ciemne interesy”. Kompleksy niższości, odrzucenia uruchamiają w nas agresję, wściekłość jakby rewolucyjnego ludu, burzącego kwitnące gospodarstwa i podpalającego – w imię sprawiedliwości – pańskie dwory, a przy okazji niszczącego w ten sposób własne miejsce pracy.

Przejrzałem właśnie książkę, której autor na ponad 300 stronicach pracowicie zeszmaca 80 znanych postaci, a jeszcze 4 stycznia 2013 roku napisał na Facebooku (jako noworoczne życzenia) piękne hasło: „Śpieszmy się kochać, nie nienawidzić”. Ten autor z pewnością nie ma żadnych kompleksów: żeby skompletować materiał na tyle osób, lekko manipulując cytatem lub kontekstem, trzeba mieć naprawdę wiele miłości.

INTELEKTUALIŚCI, AUTORYTETY I PRZYWÓDCY

Intelektualiści znaleźli się na równi pochyłej – wynika z ważnego i prowokującego do dyskusji artykułu Magdaleny Nowickiej, opublikowanego w „Tygodniku Powszechnym” w lipcu 2015 roku. Blisko problemu elit intelektualnych znajdują się problemy „autorytetów moralnych” i „duchowego przywództwa”. Często słyszę ubolewanie, że dziś brak tych pierwszych, i wzdychanie, że potrzeba nam tego drugiego. Najbardziej ubolewają ci, którzy obecności autorytetów i przywództwa doświadczyli. Gdzie jest – pytają – prymas nowego tysiąclecia? Jak wypełnić pustkę po „naszym papieżu”? Jednym brak Jerzego Giedroycia, Jerzego Turowicza, Jana Nowaka-Jeziorańskiego, Władysława Bartoszewskiego, Tadeusza Mazowieckiego, Jacka Kuronia i księdza Józefa Tischnera, innym – następców tych niegdysiejszych autorytetów i duchowych przywódców. Są i tacy, którzy znaleźli sobie nowe autorytety i nowych przewodników, na przykład w Ojcu Dyrektorze, co niestety ma niewiele wspólnego z pytaniem o rolę intelektualistów w społeczeństwie, nawet wprost przeciwnie.

Autorytetów moralnych nie stworzą media. Jeśli czasem im się to udaje, to na krótko. Bo autorytet długo się buduje, a media mogą go co najwyżej odkryć. Głos autorytetu był dla ludzi ważny nie dzięki mediom – media go przekazywały, bo był wyczekiwany przez ludzi. A dziś? Na czyj głos czekają masy chłonące potoki słów wygłaszanych przez dość przewidywalnych komentatorów?

Autorytetów moralnych nie stworzą media.

Mam nadzieję, że toczący się po wspomnianej równi pochyłej intelektualiści nie stoczą się w nicość. Nawet jeśli dziś z mediów „gorszy pieniądz wyparł pieniądz lepszy”, to w rozmaitych środowiskach moralne autorytety nadal kwitną i funkcjonują. Ich głos można znaleźć w mediach drukowanych (nie w tabloidach) i rzadko w poważnych, wysokonakładowych tygodnikach, ale głównie w tak zwanych periodykach niszowych. Z tego, że się ich nie widuje w telewizorach, nie wynika, że

ich w ogóle nie ma. Są, a czy i jaki mają wpływ na społeczeństwo, to się dopiero okaże.

Duchowego przywództwa intelektualistów nie lubią dyktatorzy. Lenin pisał o intelektualistach w liście do Maksima Gorkiego: „Uważają się za mózg narodu, tymczasem to nie mózg, lecz g...”. Problemu jednak nie lekceważył i przygotowywał dla Dzierżyńskiego spisy intelektualistów, którzy się ośmielili go krytykować, jako kandydatów do deportacji – o czym przeczytałem w pasjonującej książce *Dzierżyński. Miłość i rewolucja* pióra Sylwii Frołow. ZSRR nie znosił Sołżenicyna, PRL – Miłosza i kardynała Wyszyńskiego, z którym władze nie umiały sobie poradzić; inwigilowano też Karola Wojtyłę. Każdy, kto zdawał się kandydować do duchowego przywództwa, był narażony na groźbę aresztowania.

Duchowe przywództwo jest potrzebne w czasach zniewolenia. W oblężonej twierdzy musi być przywódca, któremu się okazuje całkowite posłuszeństwo, bo wewnętrznie skłócenia przegrywają. Ale na czym przywództwo duchowe ma polegać w wolnym społeczeństwie? Czy w ogóle jest możliwe? Czy potrzebne?

Co innego intelektualiści. Nie muszą przewodzić: wystarczy, że wnikliwie obnażają gry pozorów, reklam, propagandy, że dzieląc się swoją mądrością, chłodzą masowe namiętności, że słowu przywracają wartość, a zajadłym pieniaczom – dystans do siebie i poczucie humoru. Nie są i nie muszą być *trendy*. *Trendy* są fryzjerzy, producenci ubrań, oprawek do okularów i stacje radiowe (by wymienić najliczniej pojawiające się w mojej przeglądarce pod tym hasłem desygnaty), ale nie intelektualiści. To dlatego ich głos w homogenicznej mieszance głosów się wyróżnia i choć nie zawsze jest z entuzjazmem przyjmowany, powoli przenika do ludzkiej świadomości i ją zmienia.

Chrońmy mędrców, bez względu na ich proveniencję. Szukajmy mędrców (prawdziwych intelektualistów) i słuchajmy ich, żeby wyrobić sobie własny sąd i własne zdanie. A jeśli nie chcemy, by inni, nawet charyzmatyczni przywódcy, za nas myśleli i za nas dokonywali wyborów, z intronizowaniem duchowych przywódców narodu się nie spieszymy.

TRUDNE ŚWIĘTA

Nie wiem, jak dla Was, ale dla mnie Wielkanoc jest świętem trudnym. I poprzedzający ją Wielki Tydzień.

Może dlatego, że po kilkudniowym, drobiazgowym zagłębianiu się w narastający od Wielkiego Czwartku dramat męki i samotnej śmierci Niewinnego Człowieka mam przejść do wydarzenia, które wymyka się kategoriom poznawczym – do Zmartwychwstania. Wielka Niedziela jako – po dniach męki – *happy end*. Tak sugeruje liturgia: śpiew *Exultet* (nie wiem, czy na pewno piękna melodia tej pieśni jest dziś odbierana jako radosna), procesja rezurekcyjna (czasem dwie, bo ta w nocy jest powtarzana wczesnym rankiem) z wesołym śpiewem „Chrystus zmartwychwstan jest... leżał trzy dni w grobie... nam za przykład dan jest”. Powtarzane w Mszy Świętej „Alleluja”. Od najmłodszych lat dręczą mnie okropności Wielkiego Piątku i – co tu kryć – pewna mglistość opisu wydarzeń wielkanocnych. Jak w przejmującej piosence *Il y avait beaucoup de monde* ojca Duvala (kto dziś pamięta ojca Duvala?!), w której opowiada on o tych wielu ludziach towarzyszących Panu „niosącemu na swych ramionach śmierć”, którzy potem, „nie czekając końca historii”, odeszli, by na pocieszenie wypić szklaneczkę wina, i o tym, że „za mało” ich było przy Nim tego niedzielnego poranka, kiedy Zmartwychwstały opuszczał grób. Wszyscy widzieli łyżę w oczach niosącego krzyż, nikt nie widział blasku w oczach Zmartwychwstałego.

Nie tylko ten kontrast sprawia, że Wielkanoc jest trudna. Trudność sięga głębiej. Dotyczy męki Chrystusa rozumianej jako „zadośćuczynienie za nasze grzechy”. Tę wątpliwość wyraził francuski teolog Jean-François Six (w artykule *Refus différents de Jésus-Christ*), pisząc: „Istnieje Jezus, który zupełnie nam nie odpowiada, jest to Jezus ukrzyżowany, męczennik. Przez całe dzieciństwo słyszeliśmy, że umarł za nasze grzechy. Już nie możemy tego słuchać. To nas przerasta. Pokazano nam jakiegoś Jezusa, niewinnego człowieka, który płaci za innych; spłaca jakiś dług, ale komu? Bogu. Zawsze jakiś silny Ojciec, który żąda śmierci syna, kastracji. (...) I Bóg na Golgocie za jednym zamachem osiąga podwójny cel: zostaje wreszcie usatysfakcjonowany w swoich uczuciach obrażonego ojca i na zawsze stawia ludzi,

swoje dzieci, w sytuacji niższości wobec siebie: to, że Chrystus umarł w ten sposób, z woli Ojca, skazuje ludzi, nas, albo na ślepe posłuszeństwo Ojcu, albo na absolutne poczucie winy, a raczej na jedno i drugie jednocześnie”.

Czy ofiara Syna, wydającego „siebie samego na okup za wszystkich” (por. 1 Tm 2, 5–6), nie przekreśla obrazu Boga – miłosiernego, kochającego Ojca? Bernard Sesboüé SJ w wydanym w Polsce (wyd. W drodze 2015) pierwszym tomie książki *Jezus Chrystus jedyny pośrednik. Rzecz o odkupieniu i zbawieniu* pokazuje, jak wiele jeszcze spraw mają teologowie do wyjaśnienia. Sesboüé z właściwą sobie skrupulatnością rekonstruuje dotyczące odkupienia meandry myśli teologicznej i wiary od czasów Starego Testamentu po Sobór Watykański II. Po lekturze wiem tyle, że Bóg Jezusa Chrystusa nie jest zagniewanym bóstwem, którego męka i śmierć syna może usatysfakcjonować. Nie, Bóg bezpośrednio nie chciał ukrzyżowania swego Syna. Zabójstwo Jezusa było sprawą ludzi i ich wolności. Między Chrystusem a nami istnieje raczej solidarność niż zastępstwo. Męka jest konsekwencją tego, że On jest człowiekiem. Tego cierpienia nie można wyłączyć z misji Jezusa. Milczenie Boga, gdy umiera Syn – pozostaje tajemnicą. Moc grzechu jest mocą śmierci, przemocy i niesprawiedliwości. Krzyż jest więc odbiciem naszego grzechu, jego rezultatu. Oto, co grzech uczynił z Chrystusem. Miłość, z jaką oddaje życie, jest większa od przemocy tych, którzy Mu życie zabrali. „Dlatego miłuje Mnie Ojciec, bo Ja życie moje oddaję, aby je [potem] znów odzyskać” (J 18, 17–18).

Pytania o to, czym jest „odkupienie”, co znaczy, że Jezus „zjadł nasze grzechy”, wróciło z nową natarczywością za sprawą papieża Franciszka. Ogłaszając Rok Miłosierdzia, wskazał jako najważniejszy motyw miłosierdzia – miłosierdzie Boga, który odpuszcza nam grzechy.

I znów problem: co to jest grzech? Poczucie winy, owszem, świadomość popełnienia przestępstwa czy wykroczenia – owszem. Ale grzech? Grzechem jest zjedzenie mięsa w Wielki Piątek, opuszczenie Mszy Świętej niedzielnej, kłamstwo i kłamstewko, i zabicie człowieka. Odkupienie nie jest czymś porywającym dla człowieka, który stracił poczucie grzechu. Bo grzech ostatecznie sprowadza się do obojętności na miłość Boga do mnie. „Czym jest grzech?” – wykrzyczał niegdyś święty Franciszek, który ponoć – jak zapisano w starych kronikach franciszkańskich –

biegł przez umbryjskie pola, wołając we francuskiej mowie głosem wielkim i żalonym: *Amour n'est pas aimé!* (Miłość nie jest kochana!).

W czasie wielkanocnym głosimy zwycięstwo życia nad śmiercią. Nadal jednak wszyscy umieramy, a zwycięstwo znaczy tyle, że Zmartwychwstanie Chrystusa otworzyło nam drogę do nieba. Tylko że nieba sobie nie wyobrażamy, a jeśli nawet, to jest to wyobrażenie błędne. Mam wrażenie, że dziś coraz więcej ludzi robi wszystko, żeby niebo stworzyć sobie tu, na ziemi, i chociaż z tym ziemskim rajem bardzo bywa różnie, ten niebieski jakoś nie wszystkich porywa.

A jednak wciąż są ludzie, nawet ich przybywa, którzy nie troszcząc się o zawile dociekania teologów, cieszą się Wielkanocnym Orędziem, którzy tęsknią za nieśmiertelnością i wbrew wszelkim materializmom jej oczekują. Są ludzie, którym przyjaźń z Bogiem daje szczęście i wewnętrzny pokój, jakiego „świat dać nie może”, są wielcy świadkowie wiary, którzy swoim życiem więcej mówią o realności wiary niż najwytrawniejsi jej głosiciele. Wciąż Chrystus pociąga nowych uczniów, którzy czasem przychodzą do Niego naprawdę z daleka, wciąż też Jego Kościół, ten nasz „święty Kościół grzesznych ludzi” rodzi świętych i inspiruje takie dzieła miłosierdzia, kiedy na tak zwany „zdrowy rozum” ani świętych, ani takich dzieł dawno już być nie powinno.

Wielkanoc jest trudnym świętem, bo prowadzi nas do podstawowych spraw naszej wiary, jest jednak także przypomnieniem tego, że zamkniętych „ze strachu przed Żydami” uczniów On – Zmartwychwstały – przemienił w skutecznych i nieustraszonych świadków wiary.

Wielkanoc jest trudnym świętem, bo prowadzi nas do podstawowych spraw naszej wiary.

Wielkanoc zaprasza nas do wyjścia poza granice „tego świata”, do wejścia w świat wiary. Ten, kto się odważy pójść tą drogą, jak Piotr, który na słowa Mistrza wyszedł na fale jeziora z łodzi, odkryje, że niemożliwe jest możliwe, że wbrew wszelkim kalkulacjom Jezus zmartwychwstał, żyje i naszymi drogami do Emaus –

nawet jeśli Go nie poznaliśmy – idzie z nami.

NA DZIEŃ MATKI

Chcę w Dniu Matki przypomnieć te, o których można przeczytać w niskonakładowych pamiętnikach, o których nie bardzo się pamięta. Świetnie wyedukowane w szkołach sióstr niepokalanek, Sacré Coeur i podobnych, doskonale znające przynajmniej jeden obcy język, często obyte za granicą, szanowane, ozdobione rodowymi tytułami, zwykle zajmowały się „prowadzeniem domu”, co w praktyce można porównać z prowadzeniem sporego przedsiębiorstwa o zróżnicowanej działalności gospodarczej, zatrudniającego bardziej lub mniej liczny personel (zwany wtedy „służbą”). Chcę przypomnieć, że to dzięki nim w czasie okupacji ich domy, dwory czy pałace stawały się domem dla ofiar wojny, wygnańców, tułaczy i schronieniem dla ludzi ukrywających się przed okupantem.

Wiele z nich musiało ciężar wszystkich obowiązków dźwigać samotnie, bo mężowie przebywali w niewoli niemieckiej bądź zginęli na froncie lub zostali zgładzeni przez Niemców w ramach eksterminacji polskiej inteligencji.

Chcę przypomnieć, że wyzwolenie spod okupacji zbiegło się dla nich z reformą rolną, to jest wygnaniem z domu i utratą wszystkiego. Z poziomu klasy, bądź co bądź, uprzywilejowanej zostały zepchnięte na dno struktury polskiego społeczeństwa, naznaczone piętnem najgorszej „przynależności klasowej” i skazane na często samotną walkę o przetrwanie własne i na ogół liczego potomstwa.

Znałem te matki i pamiętam. Nigdy, od żadnej z nich, nie słyszałem nostalgicznych wzdychań za dawnymi, dobrymi czasami. Niby nieprzygotowane do tej zupełnie nowej dla nich sytuacji, weszły w nią spokojnie i zwyciężyły. O tym, w jaki sposób pracowały na utrzymanie rodziny, można by napisać tomy. Żadnej uczciwej pracy nie traktowały jako będącej poniżej ich godności. Tak, w przetrwaniu przez nie tego okropnego czasu wspierała ich rodzinna solidarność bliskich.

Chcę z wdzięcznością przypomnieć te matki, które mimo dotkliwej biedy nie uległy kulturowej degradacji, wychowując dzieci w poczuciu godności, zapewniając im – heroicznym wysiłkiem podejmowanym tak, jakby to było oczywiste – możliwie najlepsze warunki edukacji. Ich religijna formacja, na ogół bardzo dobra, nie miała

w sobie nic z niezdrowej bigoterii. Jeśli przekazały swoim dzieciom wiarę, to przez świadectwo własnej, dojrzałej wiary.

Chcę z wdzięcznością przypomnieć te matki, które mimo dotkliwej biedy nie uległy kulturowej degradacji.

Pisząc o nich, piszę też o mojej Matce. To, co wyżej, jest także o niej. Po wojnie, pragnąc, żeby nasz dom naprawdę był domem (najmłodszy z nas zaczynał chodzić do przedszkola), podjęła pracę chałupniczą dla wytwórni lalek. Wieczorami, często do późna, my, starsi, pomagaliśmy jej – co było oczywiste – przy wypychaniu trocinami lalczynych kadłubów i kończyn. Kiedy jeszcze podrośliśmy, zaczęła pracę jako szefowa magazynu dużej firmy produkcyjnej. Nie miała za sobą ekonomicznych studiów, nie uczyła się księgowości, lecz wyniesiona z domu pracowitość, rzetelność i uczciwość wystarczyły, by się okazała pracownikiem doskonałym. Kiedy odchodziła, firma na jej miejsce musiała zatrudnić dwie osoby, bo jedna nie była w stanie podołać pracy wykonywanej przez Mamę.

Nie było w niej nostalgii za utraconym stanem posiadania. Wśród nielicznych zachowanych mebli było duże mahoniowe biurko mego ojca. Kiedy w ciężkich latach powojennych sąsiad inżynier się pożalił, że nie ma stołu, na którym mógłby kreślić, mama natychmiast podarowała mu to pamiątkowe biurko. Podobnie było z fortepianem. Odkąd wyrzucono nas z domu, rzadko na nim grała. Przez pewien czas akompaniowała na organizowanej w domu rytmice, w której brała udział nasza młodsza siostra. Potem lekcje rytmiki się skończyły, a fortepian został z domu wyniesiony (przez okno) i podarowany komuś, komu bardziej był potrzebny.

Wspaniałe, niezłomne matki, które się nie ugięły pod naciskiem historii. Nie przyznano im orderów papieskich ani państwowych nagród. Można o nich najwyżej przeczytać w niskonakładowych rodzinnych wspomnieniach.

TYLKO WIECZÓR

Według Światowej Organizacji Zdrowia (WHO) za właściwy początek starości należy uznać 60. rok życia. Dodatkowo zostały wyszczególnione trzy etapy starzenia się: od 60. do 75. roku życia – wiek podeszły, od 75. do 90. roku życia – wiek starczy, po 90. roku życia – wiek sędziwy (sensity.pl). Jestem w przedziale 75–90, więc chcąc nie chcąc, patrzę na świat z perspektywy starca. Taka jest prawda i nie zmienia jej pięknie brzmiące określenia „jesień życia”, „pogodna starość” i im podobne. „Wiek starczy” to wiek starczy i basta. Trzeba się z tym pogodzić i dziękować Bogu za długie życie. Starość nie zjawia się o północy w 75. urodziny, choć zwykle się wydaje, że dopada nas niespodziewanie. Profesor Karolina Lanckorońska, będąc już dobrze po dziewięćdziesiątce, zwierzyła mi się żartobliwie, że się zestarzała „nagle”. Cóż, normalny człowiek starzeje się stopniowo. Początkowe symptomy nie wydają się poważne. A to lekarz stwierdzi obumieranie nerwu słuchowego (kupujesz aparat), a to coś się zużyło w stawie biodrowym (endoproteza), a to zęby okazują się już nie do naprawy (sztuczna szczęka), a to okulary znów zmieniasz na mocniejsze. Pojawiają się poranne zawroty głowy i lekarz zapisuje ci polocard (bez recepty, ale do końca życia) i tak dalej – mało istotne drobiazgi, których nieznacznie przybywa. Są momenty paniki, na przykład wtedy, gdy z pamięci znikają od zawsze znane nazwiska. Ale wtedy ktoś dobry cię pocieszy, że „także młodym zdarza się zapominać”.

Starość... Papież Franciszek na spotkaniu z biskupami już po odmówieniu modlitwy końcowej nagle dorzucił to zdanie: „I nie zapominajcie o dziadkach, którzy są pamięcią ludu”. O dziadkach zresztą kilkakrotnie mówił do młodzieży („Szanuj dziadków, ponieważ w ich pamięci jest przyszłość”).

Różnie bywa ze słuchaniem i szanowaniem dziadków, ale i z tą pamięcią dziadków. Dawny generał dominikanów, znakomity pisarz ojciec Timothy Radcliffe (jeszcze nie starzec, bo urodzony w 1945 roku), napisał gdzieś, że młodzi zakonnicy go często irytują, ale jest po ich stronie, bo do nich należy przyszłość. Ta mądrość może bardzo się przydać dziadkom. Co jeszcze może się im (nam) przydać?

Pogodzenie ze swoją starością, z myślą, że są rzeczy, których już nigdy nie zrobię, nie zobaczę, nie przeżyję, że hipotetyczna wprawdzie, ale nawet najbardziej optymistycznie wyznaczona data przeprowadzki na tamten świat jest już bliska. Nie warto więc marnować (podupadających) sił na sprawy błahe, przejmować i zamartwiać się nimi, walczyć o nie. Za to warto cenić czas. W młodości nie miał granic, wszystko jeszcze było przed nami. Można było trwonić czas, w starości należy go doceniać, żeby każda chwila miała swój smak.

Starość niekoniecznie znaczy mądrość. Święty Tomasz, prosząc Boga o dobrą starość, modlił się: „Panie, zachowaj mnie od zgubnego nawyku mniemania, że muszę coś powiedzieć na każdy temat i przy każdej okazji. Szkoda mi nie spożytkować wielkich zasobów mądrości, jakie posiadam, ale Ty, Panie, wiesz, że chciałbym zachować do końca paru przyjaciół. Nie śmiem Cię prosić o lepszą pamięć, ale proszę Cię o większą pokorę i mniej niezachwianą pewność, gdy moje wspomnienia wydają się sprzeczne z cudzymi. Użycz mi chwalebego poczucia, że czasami mogę się mylić”.

Starość niekoniecznie znaczy mądrość.

Pamięć słabnie, lecz doskonale przechowuje wspomnienia głupich i złych słów, złych decyzji, złych czynów. Ich nieodwracalność i nienaprawialność uwiera, boli. Ani racjonalne wytłumaczenie, ani rozgrzeszenie, ani nawet miłosierdzie Boże nie anulują zadanego komuś bólu, nie cofną wskazówek zegara, i trzeba się nauczyć nieść i tę prawdę o sobie.

Coraz bardziej lubię wiersz Kazimiery Iłakowiczówny, który zaczyna się tak: „Jest już tylko wieczór, Jezu, tylko wieczór! / Cały dzień się sterał, okaleczał: / odrąbano godziny, minuty opadły / i ocalał tylko wieczór od zagłady, / tylko wieczór, Jezu, tylko wieczór”.

ODWRÓCILI SIĘ KU CZCZEJ GADANINIE

Kiedy wam powiedzą, że macie uczyć czyjaś pamięć „minutą milczenia”, popatrzcie na sekundnik. Dobrze, jeśli „minuta” będzie trwała 23 sekundy. Bo 60 sekund milczenia trudno wytrzymać. A co dopiero ciszy. To, co zwykle nazywamy ciszą: pustego kościoła, spokojnej wsi, parku, domowego zacisza, właściwie ciszą nie jest. Ciszą w pełni jest cisza absolutna, kiedy żaden dźwięk z zewnątrz do nas nie dociera. W takiej ciszy człowiek jest ponoć w stanie wytrzymać maksimum 45 minut: potem zaczynają się różne zaburzenia, a nawet halucynacje. Bicie serca i inne odgłosy naszego organizmu stają się tak bardzo słyszalne, że mogą człowieka przyprawić o szaleństwo. Tak przynajmniej twierdzą ci, którzy tego doświadczyli w komorach ciszy w laboratoriach Orfield w USA lub w komorze bezdechowej Akademii Górniczo-Hutniczej w Krakowie. Ale cisza jest stopniowalna: „cicho, ciszej, jeszcze ciszej...”. Zastanówmy się nad zwyczajną ciszą, uznaną za normę ochrony ludzi przed hałasem („Równoważny poziom dźwięku A na zewnątrz budynku nie powinien przekraczać 55 dB w dzień i 45 dB w nocy” – głoszą zalecenia WHO z 1993 roku).

Człowiek potrzebuje takiej ciszy, dlaczego więc tylu ludzi jej nie chce? Dlaczego w galeriach, restauracjach, salonach fryzjerskich nieustannie słychać muzykę, czasem tak głośną, że się nie da rozmawiać? Dlaczego tylu ludzi chodzi z grającymi słuchawkami w uszach? Dlaczego nad jeziorem, w górach, w lesie preferujemy elektroniczne dźwięki ponad ciszę natury?

A milczenie? Czy nazbyt często nie mówimy tylko po to, żeby mówić, a nie żeby coś powiedzieć? Zadaję sobie to pytanie, gdy chcąc nie chcąc słucham cudzych rozmów telefonicznych (na przykład w pociągu, gdzie ludzie przez komórkę nie mówią, lecz wrzeszczą), długich rozmów, w moim odczuciu, o niczym.

A milczenie? Czy nazbyt często nie mówimy tylko po to, żeby mówić, a nie żeby coś powiedzieć?

Kiedy w towarzyskim gronie nagle zapada cisza, Rosjanie mówią: „urodził się

milicjant”, a Francuzi: „*un ange passe!*” (przeszedł anioł). Ciekawe dlaczego? Sądzę, że mówią to po to, żeby rozładować napięcie wywołane ciszą. Bo może samo mówienie, bez względu na treść, jest traktowane jako sygnał obecności (mówię, więc jestem – zauważcie mnie!) i sposobem podtrzymywania relacji. Milczek w towarzystwie niepokoi. Już lepiej paplać, niż milczeć. Trzeba wielkiej zażyłości, by mogło zaistnieć spokojne wspólne milczenie.

Milczy się w klasztorach. Trapiści, u których zasada niemal stałego milczenia obowiązuje od kilkuset lat, wypracowali system umownych znaków (jest ich ponad 1300), którymi, kiedy zachodzi potrzeba, porozumiewają się, nie naruszając ciszy. Ale ani u kartuzów, ani w innych klasztorach, eremach czy aśramach cisza i milczenie nie są celem samym w sobie. Milczenie i cisza otoczenia, żeby miały sens, służą wyciszeniu wewnętrznemu. Bez tego wewnętrznego wyciszenia „minuta milczenia” staje się czasem długim ponad wytrzymałość.

Miejszem i szkołą wewnętrznego wyciszenia jest (powinna być) modlitwa. Posoborowa reforma liturgii mszalnej polegała między innymi na wprowadzeniu do niej momentów ciszy i milczenia. Według obowiązujących przepisów (*Ogólne wprowadzenie do Mszału Rzymskiego*, Instrukcja o muzyce w Liturgii Świętej *Musicam Sacram*) milczenie ma poprzedzać akt pokuty, ma być zachowane po wezwaniu do modlitwy („módlmy się”), po odczytaniu lekcji, ewangelii albo po homilii i po komunii – tu ma następować dłuższy moment cichego dziękczynienia. W czasie całej mszy wierni wsłuchują się w milczeniu w słowa celebransa, uczestnicząc w jego modlitwie. Tak być powinno. Jak jest? Wiemy. Kiedy zdarzy się, że celebrans po homilii albo po komunii przez dłuższą chwilę medytuje czy modli się w milczeniu, zgromadzeni są zaniepokojeni i pytają, czy księdzu nie zrobiło się słabo.

Spotkałem jednego celebransa przestrzegającego przepisów o ciszy w liturgii. Jego msze zawsze były przesycone modlitewnym milczeniem. Ten celebrans nazywał się Jan Paweł II.

O nas, księżach, którzy nie czujemy potrzeby albo nie mamy odwagi realizowania przepisów o ciszy w liturgii, można, parafrazując świętego Pawła (1 Tm 1, 6–7), powiedzieć: „Odstąpiwszy od tych przepisów, niektórzy zwrócili się ku częściej gadaniu. Chcieli uchodzić za uczonych w Prawie, nie rozumiejąc ani tego, co

mówią, ani na czym się opierają”.



fot. Grażyna Makara/Tygodnik Powszechny

Książ szuka

ZROZUMIENIA

VADEMECUM O PRZEKAZYWANIU DZIECIOM WIARY

Wierzący nie zawsze wychodzą z rodzin religijnych. Na przykład André Frossard. Urodzony i wychowany w laickiej rodzinie żydowskiej, opisał swoje nawrócenie w książce *Dieu existe, je l'ai rencontré* (Bóg istnieje, spotkałem Go): „Wszedłem do kaplicy jako ateista, a w kilka minut później wyszedłem z niej jako chrześcijanin – i byłem świadkiem swojego własnego nawrócenia, pełen zdumienia, które ciągle trwa”.

Nie zawsze osoby wywodzące się z rodzin katolickich są wierzące. Drogę wiary każdy przemierza sam. Można mu ją, co najwyżej, ukazać, można usunąć niektóre przeszkody.

Drogę wiary każdy przemierza sam.

Wiara jest łaską, darem Boga. Rzecz w tym, że człowiek jest wolny: dar przyjąć może, ale nie musi.

Wiary nie da się nikomu „wpoić”. Przekazywanie wiary to nie indoktrynacja ani pranie mózgu, ale też nie dziedzictwo genetyczne.

Dzieci się nie wychowuje, z dziećmi się żyje. W domu rodzinnym poznajemy, co jest ważne, co ważniejsze, a co najważniejsze. Nie tylko dlatego, że nam o tym w domu mówią, ale przede wszystkim dlatego, że tak się tam dokonuje życiowych wyborów. Powiedział mi jeden z przyjaciół, że wiary się nauczył od ojca, kiedy zobaczył, jak ojciec, idąc za pługiem, odmawiał różaniec. Ojciec nigdy mu nie mówił, że tak trzeba. Czynił to z potrzeby serca.

Mówić o wierze czy dawać przykład i nie mówić? „Jak będą wzywać Tego, w którego nie uwierzyli? Albo jak uwierzą w Tego, o którym nie słyszeli? Lecz jak będą mogli słyszeć, jeśli im nikt [Jego] nie głosił? (...) wiara rodzi się z tego, co się słyszy, tym zaś, co się słyszy, jest słowo Chrystusa” (por. Rz 10, 13 n)... Więc jednak mówić.

Nie można się dzielić tym, czego samemu się nie posiada. Świadczenie życia musi być dopełnione słowami. Mówienie o wierze bez świadectwa życia może trącić hipokryzją. Wtedy odrzucenie przez dzieci wiary jest odrzuceniem hipokryzji, a więc krokiem w dobrą stronę.

Czasem przekaz wiary ogranicza się do przekazu pewnych nawyków, na przykład chodzenia w niedzielę do kościoła (jeśli to nie koliduje z wyjazdem na grzyby). Nawyk to jeszcze nie wiara. Nie dlatego jestem wierzący, że chodzę w niedzielę do kościoła, ale chodzę, bo jestem wierzący.

W wieku dojrzewania deklaracja niewiary bywa przejawem tworzenia własnej odrębności, jak w ogóle kontestacja rodzicielskiej władzy. Aktem samostanowienia. Wtedy dramatyzowanie, namawianie, nakazy, naciski nie na wiele się zdadzą. Nie chodzi przecież o zmuszenie dziecka do kapitulacji, o przyznanie racji rodzicom, ale o jego własny, wolny i rozumny wybór, a tego w żaden sposób nie da się wymusić.

W mówieniu o religii, o Kościele i w ogóle o wierze trzeba się strzec idealizowania. Przykładowo: mówienia, że w Biblii jest odpowiedź na wszystkie pytania, że Kościół zawsze ma rację, że księża są – jak aniołowie – wysłannikami Boga, że w każdym kazaniu zawsze można znaleźć coś pożytecznego albo że zapalenie świeczki i odmówienie modlitwy gwarantuje zdanie egzaminu. To potem w życiu i tak się nie sprawdza. Także krytykowanie i kwestionowanie wszystkiego, co jest w Kościele, wierzenia nie ułatwia.

Kościół, od świętego Anzelma z Canterbury po papieża Benedykta XVI, głosi, że „wiara szuka zrozumienia”. Traktowanie wiary jako czcigodnej tradycji, jako podstawy dobrych obyczajów, jako źródła wzniosłych uczuć jest słuszne w ograniczonym zakresie. Tradycję można odłożyć do muzeum, dobrymi obyczajami mogą się poszczycić także ludzie niewierzący, a krzywa uczuć nie rośnie w nieskończoność. Warto więc rozwijać rozumienie: czytać książki Ratzingera (na przykład *Wprowadzenie w chrześcijaństwo*), albo C.S. Lewisa (*O wierze i moralności chrześcijańskiej*). Warto samemu mierzyć się ze swoimi intelektualnymi trudnościami w wierze.

Jak można przekazać wiarę, czując się wykluczonym z Kościoła z powodu niesakramentalności małżeństwa? Do tych „niesakramentalnych” święty Jan Paweł II

napisał, żeby „nie czuli się odłączeni od Kościoła, skoro mogą, owszem, jako ochrzczeni powinni uczestniczyć w jego życiu [przez] słuchanie Słowa Bożego, uczęszczanie na Mszę Świętą, wytrwanie w modlitwie, pomnażanie dzieł miłości oraz inicjatyw wspólnoty na rzecz sprawiedliwości, wychowywanie dzieci w wierze chrześcijańskiej, pielęgnowanie ducha i czynów pokutnych”.

A jeśli wszystko, co można było zrobić, zostało zrobione, a dziecko katolickiej rodziny odeszło od wiary? „Warto było się trudzić, bo będzie miało gdzie wrócić” – pocieszał zmartwionych rodziców mądry duszpasterz, jezuita, misjonarz, kardynał Adam Kozłowiecki. Być może zobaczycie to dopiero z nieba.

NIEWIARA SZUKA ZROZUMIENIA

Ateizm ma swoją historię. Opisał ją francuski historyk Georges Minois w wydanej w 1998 roku książce *Histoire de l'athéisme*. Pokazuje, jak bardzo samo pojęcie ateizmu bywa niejasne. Sokrates umarł oskarżony o ateizm, bo nie traktował poważnie greckich bogów. Chrześcijan uznano za ateistów, bo odmawiali bogom państwowym czci i nie chcieli uznać boskości cesarza.

„Ateizmem z respektu przed Bogiem” nazwał Karl Rahner postawę tych, którzy żyją tak, jakby Bóg istniał, lecz dystansują się od powierzchownej i świętoszkowatej pobożności, odrzucają całe religijne zamieszanie nie do pogodzenia z ich własnym, głębokim doświadczeniem religijnym (pisze o tym Manfred Lütz w ciekawej książce *Bóg. Mała historia Największego*).

Kolejne postacie ateizmu jawiły się ludziom wierzącym jako „nowe ateizmy”. Musiały budzić nowe niepokoje, wręcz lęk taki, jaki ogarnia człowieka, któremu ziemię chcą usunąć spod stóp. Reakcje wierzących były różne. Inne, kiedy „wszyscy” byli nominalnie ludźmi wierzącymi, a systemy polityczne i społeczny obyczaj opierały się na wierze chrześcijańskiej – wtedy na ateistę patrzono jak na raroga, reagowano z pozycji siły. Jeszcze inne w czasach i miejscach, gdy przyznanie się do wiary traktowane było jako żenująca niepoprawność polityczna (lub przynajmniej towarzyska) i rozpaczliwie poszukiwano argumentów.

W sporze z ateizmem chrześcijanie kolejno przechodzili od przekonania, że ich wiara ma odpowiedź na każde pytanie, do uznania, że jeśli nie są w posiadaniu wszystkich odpowiedzi, to wiara pozwala przynajmniej na stawianie właściwych pytań. Dziś można mieć wrażenie, że nawet na metafizyczne pytania odpowiada nauka – zdawałoby się, konkurentka wiary.

Stąd pytanie: czy jest możliwy dialog wiary z nowym ateizmem? Taki dialog podjął na przykład papież emeryt Benedykt XVI w obszernym liście do włoskiego matematyka, logika, filozofa i eseisty, Piergiorgia Odifreddiego. Benedykt przeprowadza ostrą krytykę książki polemizującej z jego *Wprowadzeniem w chrześcijaństwo*, lecz wysoko ocenia autora za podjęcie otwartego dialogu z wiarą

Kościół. Jest w tym wierny zasadzie *Vaticanum Secundum*, że choć „Kościół (...) nie może zaprzestać odrzucania z całą stanowczością, jak przedtem, tych boleśnie zgubnych doktryn i działalności, (...) jednak stara się uchwycić kryjące się w umyśle ateistów powody negacji Boga, a świadomy wagi zagadnień, jakie ateizm wznieca, oraz wiedziony miłością ku ludziom uważa, że należy poddać je poważnemu i głębszemu zbadaniu”.

Benedykt XVI wręcz zachęca do spokojnej konfrontacji z ateizmem. 12 grudnia 2012 roku mówił do kurii rzymskiej: „chrześcijanin ma wielką podstawową ufność, wręcz wielką zasadniczą pewność, że może bezpiecznie wypłynąć na rozległe morze prawdy, nie potrzebując obawiać się o swoją chrześcijańską tożsamość. Oczywiście, to nie my posiadamy prawdę, ale to ona nas posiada: Chrystus, który jest Prawdą, wziął nas za rękę, i wiemy, że na drodze naszego pasjonującego dążenia do poznania Jego ręka trzyma nas mocno”.

Dialog z „nowym ateizmem” może mieć działanie oczyszczające wiarę. Zmusza do wyjścia poza granice myślowych nawyków. Kiedy Bóg „przestaje się uśmiechać spoza dzieciennego pacierza” – jak mówi ksiądz Michał Heller w książce *Kosmiczne rekolekcje* (serdecznie polecam!) – jesteśmy zmuszeni do nowych przemyśleń. Nie darmo już stary Anzelm z Canterbury (1033–1109) mówił o wierze poszukującej zrozumienia: *fides quaerens intellectum*.

O KAZANIACH NIE WSZYSTKO

Można mówić o nich bez końca, ale po ponad pół wieku głoszenia kazań nie mogę się powstrzymać od dodania jeszcze czegoś.

Słuchacze. Kiedy widzę, że ktoś zerka na zegarek, szybko zmierzam do zakończenia. To sygnał nudy. Nawet w połowie zdania – kończę i mówię „amen”.

Pełen kościół... Myślę wtedy: „czy jasno powiedziałem, o co w tym kazaniu chodzi?”, „czy z tego mówienia coś w nich pozostanie?”, „czy to w ogóle komuś jest potrzebne?”.

Niektórzy ludzie przychodzą na mszę, a nie na kazanie, ale są i wymagający, wręcz wybredni, bo – jak twierdzą – głupich kazań nie są w stanie słuchać. Arcybiskup Życiński umiał słuchać każdego. Kiedy kazanie było kiepskie, mobilizował swoją uwagę, symultanicznie przekładając je sobie na angielski.

Na kazania narzekamy często. Tych, którzy twierdzą, że ich słuchanie to męka, zapewniam, że i przygotowanie kazania może być męczarnią. Pomyślcie, komentować 55 lat te same (co trzy lata) fragmenty Pisma, wzywać, bez widocznych efektów, do nawrócenia z tych samych grzechów i daremnie namawiać do świętego życia – to może zniechęcić i nużyć. Może, ale nie musi. Wyznam, że mnie jakoś nie nuży.

Każda epoka ma swoich wielkich kaznodziejów. Za mojej pamięci takimi byli arcybiskup Antoni Szlagowski, ojciec Jan Rostworowski (jezuita), prymas Stefan Wyszyński, ksiądz Jan Zieja, ksiądz Bronisław Bozowski, biskup Jan Pietraszko, ojciec Jan Andrzej Kłoczowski, biskup Grzegorz Ryś i z pewnością jeszcze kilku innych.

Na kazania biskupa Pietraszki przychodzili ludzie z całego Krakowa. Dziś teksty jego kazań (spisywane z nagrań i poddawane redakcji) są dostępne jako książki. Polecam zainteresowanym, lecz ostrzegam, że to nie to samo, co słuchanie biskupa „na żywo”. Bo kazanie to wydarzenie rozgrywające się między mówiącym a słuchaczami. Z całą liturgią Mszy Świętej jest (powinno być) niepowtarzalnym przeżyciem modlącej się wspólnoty.

Żeby nim było, musi spełniać kilka warunków. Musi docierać do słuchaczy. Wiernym, którzy utyskiwali, że mówi za cicho i nie słyszą, jakiś ksiądz odpowiadał, że to nic, bo Pan Jezus słyszy. Dziś dochodzi problem źle ustawionego nagłośnienia. Niegdyś z ambony słyszeliśmy głos człowieka, dziś od pulpitu przez głośniki słyszymy głos przetworzony, czasem bardzo źle. Kiedy głos stał się towarem, nawet od reklamującego proszek do prania wymaga się dobrej dykcji, mowy ciała i tak dalej. Odbiorca tysięcy profesjonalnych przekazów reaguje dziś inaczej niż kiedyś na sposób przekazywania wiary.

Moja rada dla adeptów kaznodziejskiej sztuki: nie reklamuj, nie deklamuj, nie recytuj, nie wymądrzaj się, nie kokietuj.

Rozmawiaj! Mów do człowieka, na przykład tego, na tym krześle po prawej stronie. Rozmawiaj, więc nie czytaj. Czytamy, kiedy się nie czujemy na siłach tekstu spamiętać. Zwłaszcza cudzego. Czytane kazania usypiają słuchaczy.

Pisz! Ten, kto improwizuje, bo nie przygotowuje kazań (na piśmie), zaczyna się powtarzać. Początek kazania bywa jeszcze oryginalny, ale dalszy ciąg... Improwizowane kazanie jest jak brudnopis, z którego się nie wykreśliło zbędnych fragmentów, niefortunnnych zdań i nie uporządkowało chaosu. Zanim naszkicujesz kazanie, studiuj, co o tym, o czym masz mówić, powiedzieli inni, co mówią nauki biblijne, co o tym dzisiaj myślą ludzie, i medytuj o tym na modlitwie.

Kazanie jest przekazem wiary, który nie może być wyzuty z miłości. Źle, jeśli zabraknie w nas miłości (a przynajmniej życzliwości) do tych, do których mówimy.

Nie udawaj eksperta: seksuologa, socjologa, filozofa, bo wypadniesz żałośnie. Bądź sobą. Kiedy na Festiwalu Kopernika przemawiali ojciec Jan Kłoczowski i ojciec Ludwik Wiśniewski, mówili w sposób kompletnie różny i obaj okazali się świetni, bo każdy z nich był sobą.

Cóż, różnie z kazaniem bywa. Znamienne, że zawsze po niedzielnym kazaniu Kościół każe nam (na wszelki wypadek?) odnowić wyznanie wiary.

**Znamienne, że zawsze po niedzielnym kazaniu
Kościół każe nam (na wszelki wypadek?) odnowić**

wyznanie wiary.

NIE JESTEM PSYCHOTERAPEUTĄ, ALE...

Kiedy mowa o psychoterapii i psychoterapeutach, ja natychmiast myślę o spowiedzi i spowiednikach. Wiem, spowiedź nie jest psychoterapią i nie powinna się w nią zmieniać, ale każdy spowiednik powinien przynajmniej wiedzieć tyle, ile trzeba, by penitenta potrzebującego terapeuty odesłać tam, gdzie trzeba. Teoretycznie. Bo co robić, kiedy na przykład spotykam się z kimś, kto sobie nie radzi z nienawiścią do matki lub ojca lub kiedy się spowiada, że z niepojętych dla siebie przyczyn jest nadmiernie drażliwy i wciąż bezsensownie rani swoich najbliższych? A co z tym, kto spowiada się z prześladowających go seksualnych obsesji? Albo z tym, kto zamierza odebrać sobie życie? Mam im dać adres i odesłać do terapeuty? Albo powiedzieć: żałuj za grzechy (jeśli się spowiada, znaczy, że żałuje – tylko czy o taki żal tu chodzi?), postanów poprawę (choć obaj wiemy, że nic z tego nie będzie)? Dodam jeszcze, że „za pokutę” ma zmówić kilka modlitw lub wykonać jakieś praktyki pobożne...

Samo wyliczenie grzechów (często rozumianych jako przekroczenie przepisów) to jeszcze nie sakrament pojednania z Bogiem. Sakrament nie jest zabiegiem magicznym. Nie chcę być w konfesjonale psychoterapeutą, jednak czasem nim jestem i być muszę, choćby po to, by pomóc w zrozumieniu mechanizmów prowadzących do zachowań, które spowiadający się uważa za grzechy. Jak mówić o tak zwanym postanowieniu poprawy? Jestem „psychoterapeutą”, kiedy wciąż od nowa jestem wprowadzany w tajniki życia i dramatów innych ludzi. Nie prowadzę terapii, ale uważnie słucham. Moja postawa, każde słowo, każda reakcja mogą być jak terapia lub... dodatkowa trauma dla mówiącego.

Nie czuję się terapeutą, jednak z zazdrością słucham o tym, że każdy psychoterapeuta przechodzi treningi; że każdy, choćby najbardziej doświadczony, powinien mieć superwizora. Wiem: „W sakramencie pokuty człowiek wyznaje jedynie grzechy popełnione świadomie, w pełnej wolności. Natomiast psychoterapia jest procesem mającym wyjaśnić zachowania rządzone reakcjami nieświadomymi i nie powinna zastępować spowiedzi” (Bernard Marliangeas, *Wina, grzech,*

przebaczenie). Kłopot w tym, że w człowieku, który przychodzi do konfesjonału, czasem to wszystko jest przemieszane.

Tak więc spowiednik, choć jest po to, by doprowadzić do odpuszczenia grzechów i pojednania z Bogiem (i ludźmi), musi coś wiedzieć o psychoterapii, choćby po to, aby w niesieniu pomocy nie zapuszczał się w rejony wymagające takich kompetencji. Musi też wiedzieć, do kogo skierować penitenta. Nie wydaje mi się jednak, by zachęta w rodzaju: „A z tym, drogi synu, to nie do mnie, tylko do psychiatry” była wystarczająca.

Dziś, coraz częściej, spowiedź nie jest rutynowym wyliczeniem grzechów, lecz poważną rozmową wynikającą z niechęci do stereotypowych formułek. Dla tej (uważam, że pożytecznej) formy spowiedzi nieznośnym utrudnieniem są okoliczności zewnętrzne. Przyjęło się, niestety, że spowiadamy w czasie mszy. Wzmocniony głośnikiem organista, natchniony kaznodzieja, rozśpiewany lud Boży utrudniają komunikację, która się dokonuje szeptem. Konfesjonał z niewygodnym często klęcznikiem, pokryta plastikiem kratka oddzielająca rozmówców, niecierpliwe pochrząkiwanie stojących w kolejce – to wszystko nie sprzyja rozmowie. Są nieliczne wyjątki, na przykład w Krakowie całodzienna spowiedź u jezuitów, dominikanów i w kościele Mariackim.

Jako spowiednik cieszę się rozwojem psychoterapii, cieszę się, kiedy wybitny psychoterapeuta profesor Bogdan de Barbaro mówi o komplementarności naszych usług (my nazywamy to „posługą”). Marzę o lepszym dostosowaniu warunków tej naszej posługi do dzisiejszych potrzeb. Bo zapotrzebowanie na dobrych spowiedników wciąż istnieje, a warunki sprzyjające spokojnej wymianie myśli z nimi są coraz bardziej pożądane.

SPOŁECZNA ROLA KSIĘDZA

Sprawa Mszy Świętej odprawionej 6 sierpnia 2015 roku w warszawskim kościele Sióstr Wizytek w intencji Bronisława Komorowskiego i jego rodziny rozrosła się do miary wielkiego wydarzenia, wręcz skandalu. Uznano ją za „dzielenie Polaków”, „jawny bunt wobec pasterzy Kościoła” czy „próbę okazania pogardy dla Episkopatu”.

Gdybym wtedy był w Warszawie, z pewnością bym w tej mszy uczestniczył. Z każdej rzeczy można zrobić skandal. Nie uważam, by w tym, co ksiądz Aleksander Seniuk powiedział, było jakieś *faux pas*. Może mógł to powiedzieć inaczej, ale przekaz wydaje się jasny. Powiedział, w czyim imieniu się wypowiada i za co przeprasza (za nieewangeliczne zachowania „ludzi Kościoła”), nie wymieniając nikogo z nazwiska. Powiedział to, co czuł on, wielu księży i świeckich katolików. No i „odezwały się nożyce”... Ci, którzy rozdierali szaty, dobrze wiedzieli, o co chodzi. Po prostu wielu katolików zabolowało, że krzywdzące osądy i zniewagi były „firmowane” logo Kościoła katolickiego.

W debacie wokół tego wydarzenia nie powinno zabraknąć jednak pytania o rolę społeczną księdza, to jest o zespół oczekiwań kierowanych do nas w związku z naszym (księżowskim) statusem. Rozumienie roli społecznej księdza ma swoją genezę i historię. Sam Kościół także wpływa na ich kształtowanie, promując, różny w różnych epokach, „model” księdza, wpajając go adeptom kapłaństwa i wiernym.

Istotę kapłaństwa ukazują Ewangelie, Listy i Dzieje Apostolskie, jednak sposoby realizacji ewangelicznego ideału noszą znamię kolejnych epok. Za mojej pamięci oczekiwania prezentowane przez instytucję Kościoła wyrażały się w wymaganiach mających chronić *image* księdza. Ewentualne winy księdza należało ukrywać przed wiernymi (zgorszenie!), strój miał czynić z księdza postać „nie z tej ziemi”, dlatego zawsze należało chodzić w sutannie (w Rzymie wymagana była jeszcze fariola i kapelus). Uniform – mówiono nam w seminarium – zaciera różnice indywidualne, a eksponuje nasz urząd. Było tak, że ksiądz nie mógł wozić kobiet na motocyklu (pod groźbą kary kościelnej), uczęszczać do innego kina niż parafialne (pod groźbą kary kościelnej, przed Soborem w Rzymie) czy spowiadać kobiet poza konfesjonałem (z

wyjątkiem chorych).

Obok oczekiwań co do zewnętrznego zachowania rolę społeczną księdza określało (i określa) bezwzględne posłuszeństwo władzy kościelnej. Jednak rozumienie tego posłuszeństwa także uległo ewolucji. Porównywanie Kościoła do korporacji lub partii nie wydaje mi się fortunate. Relacje księdza z Kościołem opierają się (powinny się opierać) na wierze i miłości do Mistycznego Ciała Chrystusa, a kościelny przełożony (jak biskup) nie jest prezesem koncernu, lecz sługą wspólnoty. To prawda, że Kościół, jako instytucja również z tego świata, w swojej historii nie oparł się pokusie kopiowania wzorów instytucji świeckich, lecz nie wyszło mu to na dobre.

Společną rolę księdza wyznaczają oczekiwania nie tylko Kościoła instytucjonalnego, ale i oczekiwania społeczności. „Dobry ksiądz” to ten, który tym oczekiwaniom odpowiada. Zrozumiała chęć sprostania „społecznej roli” może stawiać księdza przed pokusą hipokryzji albo rezygnacji z własnego sądu i z niestereotypowych decyzji.

Jest wreszcie Ewangelia, powołanie kapłańskie i sumienie, które czasem każe księdzu spieszącemu do świątyni wypaść ze swej roli, zatrzymać się, spóźnić lub nawet nie dotrzeć na nabożeństwo, by opatrzyć rany pobitego przez zbójców człowieka.

Zgoda, ksiądz nie powinien lekceważyć zgorszenia, którego może się stać przyczyną. „Jeśli pokarm gorszy brata mego, nie będę jadł mięsa na wieki” – deklaruje święty Paweł (1 Kor 8, 13). Nie może jednak się kierować chęcią zadowolenia wszystkich. Tenże święty Paweł realistycznie poleca: „Jeżeli to jest możliwe, o ile to od was zależy, życie w zgodzie ze wszystkimi ludźmi!” (Rz 12, 8). O ile... Bo czasem to niemożliwe i nie od nas zależy. To też jest społeczna rola księdza.



fot. Maciej Zienkiewicz dla Tygodnika Powszechnego

Najlepszy

ZE ŚWIATÓW

NASZ OPTYMIZM

Debata oksfordzka, która odbyła się 15 grudnia 2014 roku w Pałacu Kultury i Nauki, toczyła się wokół pytania: „Czy świat ma przed sobą wspaniałą przyszłość?”. Jedna ekipa broniła tezy, że przyszłość będzie wspaniała, druga, że wprost przeciwnie. Słuchacze i radiosłuchacze oddawali głosy za jedną z dwóch tez. Prognozę wspaniałej przyszłości poparło 80 procent z nich, 20 procent – stanowisko przeciwne. Czy do optymizmu przekonali oratorzy? Czy może było to po prostu myślenie życzeniowe?

Tak czy inaczej, debata zmusiła do myślenia o przyszłości świata, do refleksji jak znalazł na początek nowego roku. Ku czemu zmierza nasz, „najlepszy ze wszystkich”, świat?

Filozof Jacek Hołówka wskazał na sześć symptomów nadchodzącej katastrofy. A więc: rosnące dysproporcje poziomu życia (nic to, że średnia dobrobytu wzrasta; bogaci nie mają zamiaru dzielić się z ubogimi i dysproporcje stają się coraz większe). Powszechny miraż dostania się do klasy średniej (nikt nie chce być robotnikiem czy farmerem) i rozczarowanie 99 procent marzycieli. Wielkie zużycie źródeł energii. Brak stabilności finansowej w świecie. Eksplozja informatyczna. Groźba wojny.

Ekipa pesymistów wskazywała jeszcze na samobójczą eksploatację odkryć; na choroby, które na siebie ściągamy i z którymi sobie nie radzimy (zwiększyła się liczba nowotworów): „Skończymy na śmietniku jako chorzy ludzie z własnego wyboru” (Ilona Łepkowska); oraz na coraz wyraźniejszy podział ludzi na potrzebnych (20 procent) i niepotrzebnych (80 procent). Obrazu dopełniały perspektywy globalnej ekspansji Chin i tak zwanego Państwa Islamskiego oraz antyhumanistyczna perfidia w wykorzystywaniu nowoczesnej techniki (Janusz Kaniecki).

Byłem z tymi, którzy lansowali tezę o wspaniałej przyszłości świata. Trudno było podważać zjawiska wskazywane przez ekipę pesymistów. Nie można było jednak zgodzić się na redukcję do nich opisu rzeczywistości.

Optymiści wyrażali – za francuskim ekonomistą Jakiem Attalim – przekonanie, że „podobnie jak to się stało po upadku Cesarstwa Rzymskiego, nastąpi odrodzenie – na

gruzach obiecującej przeszłości zepsutej przez zbyt długą serię błędów (...) powstaną nowe cywilizacje, stworzone z pozostałości wykrwawionych narodów i superimperium, ożywione przez nowe wartości. Planetarna demokracja zasiądzie na tronie, ograniczając kompetencje rynku. Będzie starała się wygrać inne, bardziej pilne wojny: przeciwko szaleństwu ludzi, przeciw zmieniającemu się klimatowi, przeciwko śmiertelnym chorobom, wyobcowaniu i ubóstwu” (*Krótką historią przyszłości*, - Prószyński i S-ka 2008).

Rewolucja informatyczna, globalny przepływ informacji i konieczność współdziałania wszystkich mieszkańców Ziemi powoli drażą naszą świadomość. To, co stosunkowo niedawno było jawne, uprawnione i oczywiste, dziś zostało zakwestionowane. Zjawiska takie jak niewolnictwo, rasizm, eksploatacja słabszych (kolonializm), dewastowanie środowiska naturalnego, negowanie wolności przekonań i tym podobne, jeśli nadal istnieją, są z jednej strony wstydliwie kamuflowane, z drugiej – w wymiarze globalnym – potępiane i z większym lub mniejszym powodzeniem zwalczane.

Niezliczone pozytywne siły pracują dziś w kierunku osiągnięcia świata, w którym każdy mógłby żyć. Zawrotne odkrycia naukowe i nieprawdopodobny postęp techniczny będą wspierać rosnącą świadomość coraz większej liczby osób, że świat jest wiosną, że dostatek jest możliwy, że wszyscy mogą żyć dłużej i znacznie lepiej. Możemy racjonalnie przewidywać, że klimat będzie ustabilizowany, woda i energia będą w obfitości, że ubóstwo i otyłość mogą zniknąć, że osiągalne jest niestosowanie przemocy, że dobrobyt dla wszystkich jest celem realistycznym, że demokracja może stać się uniwersalna, że firmy mogą służyć dobru wspólnemu, że możemy nawet przewidzieć ochronę wszystkich różnic i tworzyć inne (według Attalego).

Można rzec: utopia. Jednak urządzenie świata zależy od ludzi, od człowieka. Trudny, lecz nieustanny rozwój człowieczeństwa nie pozwala umrzeć nadziei.

Trudny, lecz nieustanny rozwój człowieczeństwa nie pozwala umrzeć nadziei.

JESTEM CHARLIE

Wypisane na niezliczonych ulotkach, transparentach, banerach i powtarzane przez tysiące ludzi. Słowa: „Jestem Charlie”, „jesteśmy Charlie”. Pół godziny po zamachu na satyryczne pismo „Charlie Hebdo” jako pierwszy złożył tę deklarację (na Twitterze) dyrektor artystyczny i krytyk muzyczny francuskiego magazynu „Stylist” Joachim Roncin. Napisał: „*Je suis Charlie*”. Slogan wyrażał to, co czuli wszyscy.

Masowe deklaracje solidarności i ogromne manifestacje w tym właśnie duchu to coś więcej niż protest przeciw terrorystom i zamachowi. Bo też nie był to jedynie typowy dla terrorystycznych zamachów sygnał: „wszyscy się lękajcie, nikt nie jest bezpieczny”. Zamachowcy, bracia Kouachi i ich towarzysze, nie strzelali – jak zwykli czynić terroryści – do anonimowego tłumu na przykład w hali portu lotniczego, nie podłożyli bomby w restauracji czy w budynku użyteczności publicznej. Oni przyszli zabić dziennikarzy, satyryków, którzy od lat, nie bacząc na pogróżki, kpili z ich przywódców i religii. Wysztydzali zresztą nie tylko Mahometa, ale i Pana Jezusa, Mojżesza czy Buddę, nie mówiąc o politykach i papieżach. Przez pewien czas ulubionym przedmiotem żartów był właśnie Jan Paweł II.

„Karykatura, nawet w złym guście, krytyka, nawet niesprawiedliwa, nie może być postawiona na tej samej płaszczyźnie, co morderstwo. Wolność prasy jest, bez względu na cenę, cechą społeczeństwa dojrzałego. Jeśli ludzie urodzeni w naszym kraju, nasi współobywatele, mogą myśleć, że jedyną słuszną odpowiedzią na kpinę czy zniewagę jest śmierć ich autorów, to stan naszego społeczeństwa stoi pod wielkim znakiem zapytania” – powiedział 10 stycznia arcybiskup Paryża kardynał André Vingt-Trois. W edytoriale katolickiego dziennika „La Croix” jego dyrektor Dominique Quinio niejako rozwija tę myśl, pisząc, że jeśli bezpośrednim celem ataków terrorystów byli karykaturzyści „Charlie Hebdo” i wspólnota żydowska, to w istocie celem dżihadystów „jest koegzystencja, którą chcą zabić. Walczą z poszanowaniem cudzych przekonań, ale także ich nieuszanowaniem, z debatą, z pluralizmem, w sumie z demokracją. Chcą zaprowadzić jedną myśl, sposób życia kontrolowany przez prawo islamskie, bez miejsca dla mniejszości i dla osób

wierzących inaczej, uzurpują prawo zabicia tych, którzy nie myślą jak oni”. Edytorial kończy się wezwaniem: „By oprzeć się terroryzmowi, obywatelom nie wolno rezygnować z promowania życia razem, niekoniecznie i nie zawsze harmonijnie, ale realnie razem. Należy wcielać laickość, która nie powinna być wojną przeciw religiom, i religie, które powinny odgrywać rolę w społeczeństwie, ale bez aspirowania do rządzenia rządzącymi”.

Dla Francuzów – jak powiedział jeden z redaktorów pisma – prawo do pokpiwania ze wszystkiego jest święte. Dodał: „Ostatnie wydarzenia dotkliwie nam przypomniały, że niektórzy za to prawo umierają”. I ubolewał nad dolą „wszystkich ludzi w tym kraju, którzy zanim zażartują, muszą dwa razy pomyśleć”.

Wydarzenia we Francji wywołały szeroką debatę o terroryzmie, imigrantach, islamie, o stopniu naszego własnego zagrożenia. Ważnym rozdziałem tej debaty jest ten o wolności mediów. Także u nas, w kraju, w którym dotkliwie odczuwaliśmy jej brutalne ograniczenie. Wciąż grozi nam myślenie – by zacytować dawnego redaktora „Le Monde” – w takich kategoriach: „Kiedy byliśmy w mniejszości, walczyliśmy o wolność w imię waszych zasad. Kiedy jesteśmy w większości, nie chcemy jej wam przyznać w imię zasad naszych”.

Tak więc „*Je suis Charlie, nous sommes Charlie*” (dziś jestem Charlie, jesteście Charlie). Bo, jak powiedział ktoś w debacie po zamachu na redaktorów „Charlie Hebdo”: „Nie zgadzam się z tym, co mówicie, i zrobię wszystko, żebyście mogli to mówić”.

NASI BRACIA IMIGRANCI

Po lekturze opublikowanej przez „Tygodnik Powszechny” w sierpniu 2015 roku rozmowy z Jarosławem Gowinem podziękowałem Bogu, że nie jestem politykiem. Bo polityk, kierując się „weberowską etyką odpowiedzialności”, poczuwa się do obowiązku sprzeciwu wobec wpuszczania do Polski uchodźców wyznania islamskiego. „Nie jestem od troszczenia się o zbawienie ludzkiej duszy. Jestem od tego, by dbać o interes mojego kraju” – mówi Gowin i dodaje: „Pojawienie się w Polsce znaczącej grupy imigrantów islamskich zwiększa zagrożenie atakiem terrorystycznym”. Trudno nie uznać powagi argumentów polityka i trudno nie wzdragać się przed ich konkluzjami: zamknąć drzwi przed muzułmanami? Czyjaś religię, a nie powiązania z terroryzmem, mamy traktować jako kryterium wpuszczania do Polski?

Być może polityk musi tak rozumować. Zresztą to politycy Unii Europejskiej wzięli w swoje ręce problem kilkumilionowej rzeszy imigrantów, problem polityczny, ekonomiczny, a nade wszystko ludzki, obywateli krajów rozdzieranych wojną, jak Syria (5 milionów emigrantów), ale i z krajów po prostu biednych i bez perspektyw, jak niektóre państwa Afryki. Do Europy ludzie emigrowali, emigrują i emigrować będą. Dla nich to często jedyna nadzieja, a dla nas – powiedzmy to jasno – potrzeba. Demografowie ostrzegają, że bez imigrantów nie sprostamy wyzwaniom przyszłości.

„Rozprowadzenie” dziesiątków tysięcy uciekinierów w taki sposób, by odciążyć kraje z południa UE, które w takiej liczbie przyjmują ich z Afryki i Bliskiego Wschodu, organizowanie życia imigrantów, przygotowywanie ustaw, które ułatwią im funkcjonowanie, to wszystko jest w rękach polityków. Nie sądzę, by dopisano do kwestionariusza referendum pytania o imigrantów i ich status w Polsce. Na podstawie internetowych wpisów można by sądzić, że wynik takiego referendum okazałby się manifestacją naszej ksenofobii. Te wpisy zdumiewają w społeczeństwie, którego emigranci w latach 70. i 80. w wielu krajach byli życzliwie przyjmowani, które się oburza na restrykcje stosowane wobec nas przez Stany Zjednoczone, w którym (jak przeczytałem w „Newsweeeku”) tylko 17 na 100 dorosłych obywateli nie rozważa

emigracji. Może jednak z tą ksenofobią nie jest tak źle. Badania CBOS pokazują, że na pytanie: „czy Polska powinna przyjmować imigrantów?”, trzy czwarte respondentów odpowiedziało twierdząco, a tylko 15 procent negatywnie.

Sądzę, że dziś pytanie „czy?” nie jest aktualne. Imigranci u nas są i ich liczba będzie rosła. Pytanie, nad którym musimy się zastanawiać, brzmi „jak?”. To pytanie dotyczy wszystkiego, co wiąże się z ułatwianiem imigrantom integracji. Czy ludziom z kompletnie innej kultury roczna opieka wystarczy na opanowanie języka i zorganizowanie sobie życia w naszym kraju?

W trudnym okresie uczenia się obecności imigrantów wielką rolę może odegrać Kościół, rozumiany jako wspólnota duchownych i wiernych. Kardynał Antonio Maria Vegliò, przewodniczący Papieskiej Rady do spraw Duszpasterstwa Migrantów i Podróżujących, wypowiedział się z uznaniem o zaangażowaniu Europy („chyba po raz pierwszy”) w sprawę rozwiązania problemu emigrantów. Tymczasem – stwierdził – „mówi się o śmiesznych wręcz liczbach, które w żadnej mierze nie odpowiadają realnej rzeszy uchodźców docierających na nasz kontynent. Zdajemy sobie sprawę, że podjęte decyzje są niewystarczające”. Wspomniał o losie emigrantów, którzy czekają na dotyczące ich losu decyzje państw UE: „gdzie będą mieszkać, z czego będą żyć?”. „Po pierwsze więc szacunek dla tych ludzi – powiedział kardynał – a po drugie konkretna pomoc dla krajów, z których uciekają, i jeszcze coś, o czym nie chcemy pamiętać: ograniczenie sprzedaży broni być może mogłoby zapobiec którejś z 52 wojen toczących się obecnie na świecie”.

Teraz zatem, jak sądzę, można się spodziewać rozwoju naszych kościelnych struktur dla opieki nad imigrantami. Nigdy dosyć na tym polu współpracy państwa i Kościoła. Nigdy dosyć.

NIE DAJ BOŻE ICH ZWYCIĘSTWA

Terrorysty osiągnęli swój cel: wzbudzili strach. Nie tylko w Paryżu, gdzie w listopadzie 2015 roku zginęło ponad sto osób – w całej Europie. Bo im właśnie chodzi o nasz strach: o to, żeby nikt nie czuł się bezpieczny.

Dlatego wybierają miejsca zgromadzeń przypadkowych ludzi: poczekalnie lotnisk, stadiony, teatry, sale koncertowe, pociągi, restauracje i kawiarnie.

Terrorysty odnieśli sukces, bo chodziło im o zahamowanie postępujących w Europie procesów inspirowanych – umiarkowanym, ale jednak – zaufaniem do człowieka. Ich sukces to pojawiające się wątpliwości co do utrzymywania układu z Schengen, zaostrzenie przepisów granicznych, głosy o potrzebie zamknięcia drzwi przed uchodźcami z krajów trawionych nędzą czy wojną. Ich sukces to każde nasze podejrzliwe spojrzenie na kogoś, kto ma nieco inny kolor skóry, kto wyznaje inną religię albo wyrósł w innej niż nasza kulturze.

Czy struktury mające chronić dobro wspólne, szacunek do człowieka i akceptowanie „inności” okażą się tak kruche, że wystarczy jeden krwawy rajd kilku młodych mężczyzn po ulicach Paryża, by wszystko odpadło jak kiepsko nałożony tynk na starą rudę? O czym myśleli tamci młodzi ludzie, nakładając na siebie pasy szahida i decydując się na nieuniknioną śmierć? Jak silna musiała być ich motywacja, że zagłuszyła potężny instynkt samozachowawczy? Zginęło siedmiu, z czego sześciu wysadziło się w powietrze... Mówi się o praniu mózgu ochotników lub przymuszonych do podjęcia czynu kamikadze. Jakim praniu? Może religijnym? Czyżby wizja muzułmańskiego raju mogła mieć aż taką moc przekonywania? Czy szli zabijać jako męczennicy za wiarę? Bohaterowie ginący za wzniosłe ideały? I co myślał ten potencjalny „męczennik”, kiedy z bliska strzelał do nieznanego, niezagrażającego mu w niczym, bezbronno człowieka, leżącego przed nim na podłodze? Byli młodzi, samobójca przed Stade de France mógł mieć kilkanaście lat...

O islamskim terroryzmie, jego przyczynach i filozofii napisano tomy, lecz, jak widać, wiele z tego nie wynikło. François Hollande wysłała na terrorystów samoloty z bombami (dokonały zmasowanego ataku na umocniony bastion tak zwanego

Państwa Islamskiego w syryjskim mieście Rakka). Władimir Putin nawołuje do ogólnego przykręcenia śruby (bo winę za to, co się wydarzyło, ponoszą wolność, tolerancja i lekkomyślność zachodnich społeczeństw) oraz przywrócenia do łask państwa policyjnego. Służby międzynarodowe ścigają ocalałego zamachowca, nasze władze zapewniają, że Polsce nic nie grozi, jeden minister wysuwa sugestię stworzenia milionowej armii z syryjskich uchodźców, aby wyzwoliła swój kraj.

Kto ma rację? O działaniach antyterrorystycznych wiem niewiele, ale wiem, że jedyną odpowiedzią zwykłych ludzi na terroryzm jest trwanie przy naszych wartościach. Rezygnacja z szacunku do człowieka, z zaufania człowiekowi, rezygnacja z otwarcia się na „innego”, zamknięcie granic krajów i serc, budowanie murów i rezygnacja z solidarności ze słabszymi oraz wewnętrzna zgoda na rozbudzanie w sobie nienawiści będą – nie daj Boże – prawdziwym zwycięstwem terrorystów.

BIEDNY KATOLIK PATRZY NA ISLAM

Choć pocałował Koran, Jan Paweł II został ogłoszony błogosławionym, potem świętym. Tymczasem na internetowej stronie Fronda.pl znajduję tekst, którego autor nie może się z tym pogodzić i zachodzi w głowę, co z tym faktem zrobić. Sugestia, że może fotografia jest fotomontażem, odpada, ponieważ obecny przy zdarzeniu patriarcha Kościoła chaldejskiego Raphael Bidawid zaświadczył, że papież jednak Koran pocałował. *À propos* przytoczonych na stronie dywagacji Jimmy'ego Akina (amerykańskiego apologety katolickiego) autor tekstu pisze: „niewiele mogę dodać od siebie (...). Przede wszystkim papież spowiadał się co tydzień. Ale by sakrament był ważny, potrzebne są grzechy. Zatem on sam zdawał sobie sprawę, że jest grzesznikiem”. I dalej: „Człowiek czasem popełnia błędy, nawet taki człowiek, jak JP II. I nie oceniam go tutaj, bo nie wiem, ani co On myślał, ani co tam naprawdę się wydarzyło, ale nawet gdy wiedział, że to Koran, i pocałował go z jakiegoś powodu podanego wyżej, i nawet gdy w oczach Boga było to grzeszne, to znaczy to tylko tyle, że i On, JP II, jak każdy z nas, nie był ideałem i czasem popełniał błędy”. Istota komentarzy Frondy zawiera się w tym zdaniu: „niezależnie od tego, jak dobra była motywacja papieża i jak bardzo błędne działanie, nie ma to nic wspólnego z nauczaniem Kościoła o nieomyślności papieskiej”.

Do czasów Soboru Watykańskiego II islam traktowany był przez Kościół jako wróg. Zmienił to właśnie Sobór. W deklaracji *Nostra aetate* czytamy o szacunku „również dla mahometan”. Akapit poświęcony islamowi kończy się wezwaniem: „Jeżeli więc w ciągu wieków wiele powstawało sporów i wrogości między chrześcijanami i mahometanami, święty Sobór wzywa wszystkich, aby wymazując z pamięci przeszłość, szczerze pracowali nad zrozumieniem wzajemnym i w interesie całej ludzkości wspólnie strzegli i rozwijali sprawiedliwość społeczną, dobra moralne oraz pokój i wolność”. Jan Paweł II kierował się nauką Soboru. Pocałował Koran na znak szacunku dla ludzi, dla których jest on księgą świętą, i dla ich wiary. Komentarzem do tego wydarzenia (miało ono miejsce 14 maja 1999 roku podczas audiencji dla delegacji islamskich duchownych z Iraku) może być jego przemówienie

do tysięcy młodych muzułmanów na stadionie w Casablance w 1985 roku. Podejmuje to, do czego wezwał Sobór. Przemawiając na zaproszenie króla Hassana II, 35. potomka Mahometa i religijnego przywódcy islamu w Maroku, papież mówił: „Dialog pomiędzy chrześcijanami a muzułmanami jest dzisiaj więcej niż kiedykolwiek potrzebny. Wywodzi się on z naszej wierności wobec Boga i zakłada, że będziemy umieli rozpoznawać Boga przez wiarę i świadczyć o Nim słowem i uczynkami w świecie coraz bardziej zsekularyzowanym, a nieraz i ateistycznym (...) Sądzę, że my – chrześcijanie i muzułmanie – powinniśmy z radością uznać te wartości religijne, które są nam wspólne, i dziękować za nie Bogu”.

Trudno tu cytować więcej o tym, co nas łączy, i o tym, co nas różni. Najlepiej przemówienie przeczytać w całości, dzisiaj, kiedy dominuje tendencja do utożsamiania islamu z dżihadystycznym kalifatem – tak zwanym Państwem Islamskim i terroryzmem w ogóle. Kościół upomina się o obronę mordowanych przez islamskich ekstremistów chrześcijan, lecz nie występuje z potępieniem islamu jako religii. I sprzeciwia się dyskryminowaniu wyznawców Mahometa jako takich.

Źle by było, gdyby wrócił przedsoborowy sposób myślenia o islamie. Nauczanie *Nostra aetate*, mimo oczywistych krzywd i zagrożeń, pozostaje w mocy jako samookreślenie się Kościoła. Jeśli dla wielu ludzi trudne do przyjęcia jest to, co powiedziano tam o relacjach z judaizmem, to nic dziwnego, że niechętnie się wraca do tego, co powiedziano tam o islamie. Czasem dzieje się tak na skutek słabej znajomości świata muzułmańskiego, ale często z obawy, że w konfrontacji z siłą stanowiska Kościoła katolickiego nie da się utrzymać. Niestety, często z takim właśnie niedowierzaniem traktujemy Ewangelię.

GESTY POKOJU

Terroryzm niesie ze sobą strach: niech nikt nie czuje się bezpieczny, każdemu grozi śmierć. Terrorysty nie wybierają ofiar. Wybierają miejsce i czas tak, żeby ich akcja dotknęła wszystkich lub możliwie wielu. „To ataki na nas wszystkich” – powiedział po zamachu w Brukseli, w marcu 2016 roku, szef niemieckiego MSW Thomas de Maizière. Niemiecko-egipski politolog, ekspert od dżihadu i jego internetowej propagandy Asiem El Difraoui komentował: „Ekstremiści chcą przede wszystkim polaryzować, ciągle się starają poróżnić nasze społeczeństwo. Próbują podsycić strach. Nie wolno nam dać się poróżnić. Nie wolno nam się na to nabrać”. Strach paraliżuje, ale też budzi uczucia agresji obronnej. Ten strach dosięgnął nas po zamachach na brukselskim lotnisku Zaventem i wybuchach w metrze. Oto widzimy, że się do nas zbliża ogromna fala uchodźców i jednocześnie zalewa nas fala strachu ujawniająca się choćby w internecie. Po zamachu w Brukseli fala nienawiści się spiętrzyła: „nie wpuszczać”, „strzelać do nich”, „budować mury”, „eksmitować”, „odpychać od naszych granic”...

Strach paraliżuje, ale też budzi uczucia agresji obronnej.

W odpowiedzi na to przypomnę drukowany kiedyś w „Tygodniku Powszechnym” reportaż Marcina Żyły o Polakach pomagających uchodźcom w Europie. Pamiętacie SMS, jaki Hania Hakiel dostała po paryskim zamachu od rodziny uchodźców, którą się opiekuje? „Proszę, nie złącz się nas bać. To nie są muzułmanie, ci, co zabijają. To są szaleńcy. Tak się boję, że ludzie nie będą rozumieć tej oczywistej różnicy”.

Papież Franciszek rozumie. Zamach w Brukseli nazwał „gestem wojny, zniszczenia (...) dokonany przez ludzi, którzy nie chcą żyć w pokoju”. Słowa te wypowiedział w Castelnuovo di Porto pod Rzymem. W Wielki Czwartek odwiedził tam ośrodek dla 900 uchodźców starających się o azyl. Do mieszkańców ośrodka, w większości muzułmanów, powiedział: „Wszyscy dokonujemy gestu braterstwa

i wszyscy mówimy: jesteśmy inni, różnimy się, mamy różne religie i kultury, ale jesteśmy braćmi i chcemy żyć w pokoju”. Odprawił Mszę Świętą i umył nogi jedenastu uchodźcom z Syrii, Pakistanu, Mali, Nigerii oraz Włoszce – pracownicy placówki; w tym trzem muzułmanom, hinduiście, trzem chrześcijankom Koptyjkom, pięciorgu katolikom. Papież prosił: „Niech każdy z was, w języku swojej religii, prosi Boga, aby to braterstwo szerzyło się na świat”. Mimo aktów terroru Franciszek nie zmienił stanowiska wobec uchodźców. W internecie pojawiły się takie komentarze jak te: „Z niesmakiem oglądałem to widowisko. Jak myślicie, co o Franciszku myślą teraz muzułmanie?”, „Powinien umyć [nogi] 11 członkom rodzin ofiar, a nie tym Saracenom. Może jeszcze będzie kazał przytulać terrorystów przed wysadzeniem oraz obsypywać ich kwiatami...”.

Nikt o zdrowych zmysłach nie jest przeciw podejmowaniu środków bezpieczeństwa. Wiadomo też, że wśród uchodźców mogą być agenci tak zwanego Państwa Islamskiego czy inni terroryści. Nikt nie lekceważy troski państw o ochronę obywateli. Czym innym jest jednak zaślepienie strachem i agresywna postawa wobec wszystkich wyznawców islamu pochodzących z krajów arabskich.

W Wielki Czwartek Chrystus wyjaśnił: „Jeżeli więc Ja, Pan i Nauczyciel, umyłem wam nogi, to i wyście powinni sobie nawzajem umywać nogi” (J 13, 1–15). Innymi słowy, jeśli jesteście u siebie „panami”, gospodarzami, macie wobec bliźniego w potrzebie być jak ten, który służy (obmywanie nóg było czynnością sługi lub niewolnika). Według Ewangelii spotkanie człowieka w potrzebie to spotkanie samego Chrystusa.

Nie piszę tego do pani premier ani do pana prezydenta. Na nich ciąży obowiązek wynikający z ich urzędów. Piszę do „zwykłych” chrześcijan, którzy nie mają wielkiego wpływu na decyzje rządu, ale ogromny na to, jak społeczeństwo myśli i reaguje dzisiaj, gdy w konfrontacji z zagrożeniem i totalnym lękiem chrześcijańskie miłosierdzie zdaje się nieużyteczne i nieżyciowe. A przecież tymczasem, mimo wszystko, chrześcijanom nie wolno swoich wewnętrznych postaw i wyborów podporządkować prorokom strachu i nienawiści.



fot. Jan Graczyński/East News

FRANCISZEK

FRANCISZEK – NADZIEJE I STRACH

Kto żyw, pisze do papieża Franciszka. Poczta codziennie dostarcza do Watykanu kilka worków tej korespondencji. Cóż, Franciszek poza czytaniem listów ma na głowie jeszcze kilka innych spraw. Musiał więc przyjąć metodę poprzedników – na listy odpisują sekretarze. Niektóre jednak docierają do rąk własnych papieża. Czy do nich będzie należał list pani profesor Magdaleny Środy w sprawie *gender*, o którego wysłaniu informowały media? Ciekawe, kto i wedle jakiego klucza dokonuje wyboru szczęśliwców...

Są tacy, którzy wolą listy otwarte, w prasie albo w inny sposób udostępnione szerszej publiczności. Ich autorom mniej zależy na tym, by papież list przeczytał, niż na tym, żeby list przeczytali inni. „Listy otwarte” są w gruncie rzeczy pewnym gatunkiem publicystyki.

Ostatnio tych listów otwartych przybywa. 1 listopada 2014 roku taki list ogłosił Kelly Bowring, autor rozprawy na temat „świętej doktryny” w nauczaniu Kościoła *To Hold and Teach the Catholic Faith* (By zachować katolicką wiarę i jej nauczać). W swoich tekstach, zastrzegając, że pozostaje „posłusznym Kościołowi katolickim teologiem”, wysuwa hipotezę, że – być może – papież Franciszek jest fałszywym prorokiem, na co dowody znajduje w Apokalipsie i 12 prywatnych objawieniach z różnych epok, między innymi w rzekomo utajnionym fragmencie objawień z Fatimy, w objawieniach z La Salette i innych. W otwartym liście pyta papieża, czy odrzuca on jakieś prawdy wiary, czy zamierza je zmienić. Bowiem – pisze – „członkowie hierarchii Kościoła mówią, że nie zamierzają zmieniać doktryny Kościoła, jednocześnie z pozornym miłosierdziem rozpoczynają wprowadzanie pastoralnych zezwoleń, w rzeczywistości zdecydowanie błędnych”, uważając doktrynę Kościoła za przestarzałą. „Prawda w sprawach doktryny nie może zostać przystosowana do wierzących albo do epoki, ale to wierzący i epoka muszą zostać poproszeni, by przystosowali się do prawdy w sprawach doktryny”. Bowring ostrzega więc papieża: „Niektórzy spostrzegają, że Twoje podejście jest szukaniem adaptacji i kompromisu w doktrynie wobec obecnych trendów w świeckim myśleniu”.

I jeszcze: „bez znaczenia, jakie inne humanitarne zaangażowanie wspierasz albo jakie powszechne konkursy wygrywasz, jeśli prowadzisz wiernych na bezdroża, będziesz nikim więcej jak fałszywym papieżem”. Retorycznie pyta: „Dlaczego niektórzy z nas są coraz bardziej przekonani, że diabelska, celowo zamyślana mglista dezorientacja w doktrynie Kościoła przygotowywana jest pod Twoim przywództwem?”. Konkluduje: „Kościół nie pójdzie za Tobą, ani wierzący się na to nie zgodzą. Ponieważ taka apostazja unieważniłaby Twój pontyfikat”.

Można rzec, że nic nowego. Na przykład autor sprzedawanej w naszych katolickich księgarniach książki *Czwarta tajemnica fatimska?* Antonio Socci niedwuznacznie sugeruje, iż rzekomo przepowiedzianym w Fatimie Antychrystem był Jan XXIII, a Sobór Watykański II – owocem działań Antychrysta. Wystarczy zresztą przejrzeć świadectwa z czasów Soboru, by się przekonać, w jaką panikę wprowadził on wielu obrońców tradycji (przez małe „t”). Trudności w przyjęciu soborowej odnowy nauki Kościoła doprowadziły biskupa Marcela Lefebvre’a do schizmy.

Że tak bywało, mała to pociecha. Podważanie zaufania do Kościoła i papieża bywa zaraźliwe. Dlatego namawiam: poznawajcie myśl papieża Franciszka, jego dokumenty i homilie, nie poprzestając na medialnym przekazie, który rządzi się własnymi prawami.

Dlatego namawiam: poznawajcie myśl papieża Franciszka, jego dokumenty i homilie, nie poprzestając na medialnym przekazie, który rządzi się własnymi prawami.

Bo Franciszek wie, na czym polega jego misja. Na zakończenie synodu zapewnił, że jako papież, „odkładając na bok wszelkie osobiste osądy”, pozostaje „gwarantem posłuszeństwa i zgodności Kościoła z wolą Boga, Ewangelią Chrystusa i Tradycją Kościoła”. Ale też wie, że Kościół musi nieustannie się odnawiać, że niektóre

zwyczaje, także te zakorzenione w historii Kościoła, nie służą dziś przekazowi Ewangelii, że nawet normy i przykazania kościelne mogą wymagać rewizji (por. *Evangelii gaudium*, 43). I wzywa: „Trzeba to wszystko przeżywać ze spokojem, pokojem wewnętrznym, także dlatego, że synod przebiega z Piotrem i pod kierunkiem Piotra”.

PAPIEŻ Z BOŻEJ OPATRZNOŚCI

Arcybiskup Manili kardynał Luis Antonio Tagle nie uważa Franciszka za rewolucjonistę. Jego zdaniem papież „robi to, co jest najstarszą tradycją chrześcijańską...”. W tym, myślę, tkwi sekret popularności i siły oddziaływania biskupa Rzymu. Styl jego podróżowania – podobnie jak Jana Pawła II – wyraża miłość do ludzi, których odwiedza. Liczne sceny z podróży do Sri Lanki i na Filipiny odbytej w styczniu 2015 roku przypominają podróże papieża Polaka. Choć Jan Paweł II nie był pierwszym papieżem, który pielgrzymował (był nim Paweł VI), to za jego pontyfikatu podróże stały się czymś oczywistym.

Franciszek, tak jak Jan Paweł II, wyraźnie lubi pielgrzymki, potrzebuje ich, a w ich trakcie czuje się świetnie. W Sri Lance i na Filipinach odczytywał swoje przemówienia po angielsku, lecz – jak sam wyznał – jego angielski jest słaby, więc od czasu do czasu prosił zgromadzonych o zgodę na mówienie po hiszpańsku. Wtedy odchodził od napisanego tekstu, improwizował, a stojący obok tłumacz przekładał jego słowa na angielski. Kontakt ze słuchaczami był znakomity.

Papież przemawia do Kościołów lokalnych, lecz nawet jeśli się nie mieszka w Manili, warto tych przemówień posłuchać. Bo Franciszek głosi Ewangelię z ewangeliczną mądrością i prostotą. Jest autentyczny, kiedy w Tacloban, mieście, które w 2013 roku znalazło się w epicentrum tajfunu (zginęło ponad 6 tysięcy ludzi, a setki tysięcy straciły wszystko), mówi, że nie znajduje słów, by wyrazić współczucie. Od kiedy oglądał w telewizji tę tragedię, wiedział, że musi tu być: „Tego dnia zapadła decyzja o tej podróży. Mówię: jestem z wami. Powiecie: trochę późno. To prawda, ale jestem. Mogę tylko stać w milczeniu i być blisko was, towarzyszyć wam w milczeniu. Płacę z wami i nie znajduję słów. Nie wiem, co wam powiedzieć, ale Pan nasz wie, co powiedzieć”. Dalej papież ukazuje Ukrzyżowanego. To On jest z cierpiącymi, On nie zawodzi.

Papież potrafi uczyć się mądrości od ludzi prostych i najbiedniejszych.

Kardynał Tagle wyznał, że dla niego najbardziej wzruszającym momentem pierwszego dnia wizyty Franciszka było improwizowane spotkanie z dziećmi ulicy. Zachwyciło go, że papież potrafi uczyć się mądrości od ludzi prostych i najbiedniejszych. Albo takie wydarzenie: papież bardzo się spóźnił na spotkanie z biskupami Sri Lanki w Kolombo i biskupów nie zastał. Natychmiast postanowił, że czas potrzebny na ich powtórne zebranie poświęci na odwiedziny buddyjskiej świątyni Mahabodhi („Zatelefonowałem i ruszyliśmy w drogę”). W rozmowie z dziennikarzami komentował: „Wczoraj w Madhu [sanktuarium maryjnym] widziałem coś niewyobrażalnego: byli tam katolicy, którzy nawet nie stanowili większości! Bo byli tam również buddyści, muzułmanie, hinduiści. Oni wszyscy idą tam się modlić; idą i powiadają, że otrzymują łaski. Jest w ludzkiej – a lud nigdy się nie myli – zmysł ludu, to coś, co ich jednoczy. Jeśli oni są w tak naturalny sposób zjednoczeni w tym pójściu tam na modlitwę, to dlaczego ja nie miałbym iść do świątyni buddyjskiej ich tam pozdrowić? To wczorajsze świadectwo z Madhu jest bardzo ważne. Pomaga nam zrozumieć sens międzyreligijności, którą się żyje w Sri Lance: oni się wzajemnie szanują”. Przypomnijmy, że trwający 30 lat krwawy konflikt między Syngalezami wyznającymi buddyzm a wyznawcami hinduizmu Tamilami pozostawił w społeczeństwie głębokie podziały. Duchowieństwu Filipin Franciszek powiedział, że powołaniem Kościoła jest rozeznanie i zwalczanie przyczyn społecznej niesprawiedliwości...

Piszę o papieżu dla tych, którzy boją się braku autorytetów i przewodników. Zamiast ubolewać, powinniśmy dziękować Opatrzności za Franciszka. To, co mówi i co robi, nie wytrąca nas z równowagi, nie zaskakuje. Oddychamy z ulgą, bo papież i Kościół w jego praktyce i nauczaniu odpowiadają temu, za czym tęsknimy i w co wierzymy.

KTO JEST PRZECIWIW *LAUDATO SI'*

Miarą sukcesu ekologicznej encykliki *Laudato si'*, opublikowanej w czerwcu 2015 roku, są nie tyle pochwały, ile głosy sprzeciwu. Bo papież Franciszek ostro upomina wszystkich: rządy, polityków, organizacje międzynarodowe, koncerny i inne potęgi przemysłowe, społeczeństwa, które uległy mentalności konsumistycznej i stylowi „użyj i wyrzuć”. Wiedział, co robi, ogłaszając tę encyklikę pięć miesięcy przed szczytem klimatycznym w Paryżu. W tym obszernym tekście, pełnym nieprzypadkowych, jak sądzę, powtórzeń, motyw „ekologii integralnej”, czyli takiej, która obejmuje również ochronę człowieka, przewija się nieustannie. Źródłem nieszczęść i zagrożeń jest człowiek: chęć szybkiego zysku stawiana nad dobrem wspólnym, brak dalekowzrocznego widzenia konsekwencji podejmowanych działań, blokowanie lub kontestowanie przez potęgi gospodarcze skutecznych inicjatyw na rzecz środowiska i zastępowanie ich, w najlepszym przypadku, działaniami pozornymi. Przykład? O konferencji Narodów Zjednoczonych w sprawie zrównoważonego rozwoju w Rio de Janeiro (2012) papież pisze, że „wydała równie obszerną, jak nieskuteczną deklarację końcową”. Negocjacje międzynarodowe nie przynoszą rezultatów „z powodu stanowiska krajów, które wyżej stawiają własne interesy narodowe niż globalne dobro wspólne”. Tego rodzaju uzasadnionych oskarżeń jest w encyklice mnóstwo. Co więcej, papież, zwracając się do milionów ludzi, wzywa do „śmiałej rewolucji kulturowej”. Mówi konkretnie: „Zmiana stylu życia może spowodować wywieranie zdrowej presji na tych, którzy sprawują władzę polityczną, gospodarczą i społeczną. Dzieje się tak, gdy ruchom konsumenckim udaje się sprawić, by nie nabywano niektórych produktów, przez co skutecznie wpływają na zmianę funkcjonowania przedsiębiorstw, (...) kiedy nawyki społeczeństwa pomniejszają zyski przedsiębiorstw, to czują się one zmuszone do zmiany sposobów produkcji”. Chciałoby się rzec, że papież wręcz prowokuje do sprzeciwu, uderza – a raczej wali – pięścią w stół, i nożyce (oskarżani) nie mogą milczeć.

Rzeczywiście nożyce szybko się odezwały. Ekolodzy krzyknęli wielkim głosem: *Habemus papam ecologicum!*, lecz do entuzjastycznego komentarza natychmiast

dołączyli swoje zastrzeżenia. Do tego, co pisze papież o aborcji („Ponieważ wszystko jest ze sobą powiązane, nie da się pogodzić obrony przyrody z usprawiedliwianiem aborcji. Niewykonalny wydaje się proces edukacyjny na rzecz przyjęcia osób słabych, przebywających wokół nas, które są czasami uciążliwe lub kłopotliwe, jeśli nie otacza się opieką ludzkiego embrionu”) oraz do stanowiska Franciszka wobec demografii („Wzrost demograficzny można w pełni pogodzić z integralnym i solidarnym rozwojem. Obwinianie wzrostu demograficznego, a nie skrajnego i selektywnego konsumpcjonizmu, jest sposobem na uniknięcie stawienia czoła problemom”). U nas podniosły się lamenty, że encyklika jest antypolska, bo według papieża „technologia oparta na spalaniu silnie zanieczyszczających paliw kopalnych, zwłaszcza węgla, ale także ropy naftowej, a w mniejszym stopniu gazu, powinna być stopniowo zastąpiona”. Może nie zauważono tego, co napisał o „sprzedaży pozwoleń na zanieczyszczenie”, to dopiero byśmy usłyszeli. Należy się spodziewać jeszcze reakcji na (ostrożne) stanowisko papieża wobec GMO i na to, że przyjmuje jako pewnik wpływ człowieka na proces ocieplania planety. Z pewnością krytycy zgłoszą także zastrzeżenia do religijnego wątku encykliki. Papież wprawdzie tłumaczy, że „zasady etyczne można przedstawić w sposób czysto abstrakcyjny, oderwany od jakiegokolwiek kontekstu, a fakt, że pojawiają się one w języku religijnym, nie odbiera im żadnej wartości w debacie publicznej. Zasady etyczne, jakie rozum jest w stanie dostrzec, zawsze mogą powracać w różnych aspektach i być wyrażone w różnych językach, w tym w języku religijnym” – ale czy to wrogów religii zadowoli?

Laudato si' porównuje się do ogłoszonej w 1891 roku przez Leona XII encykliki *Rerum novarum*. Oburzano się wtedy, że Kościół, odwieczny obrońca społecznego *status quo*, opowiada się za zmianą kapitalistycznego systemu gospodarczego. Podobne zarzuty już są kierowane przeciw Franciszkowi. Republikański kandydat w najbliższych wyborach prezydenckich w USA Jeb Bush (katolik) powiedział: „Szanuję papieża, jest nadzwyczajnym przywódcą, lecz te problemy muszą być rozwiązywane w zakresie polityki (...) Ja nie idę na mszę po to, żeby słuchać o ekonomii czy polityce”. Po ogłoszeniu *Rerum novarum* mówiono podobnie: niech Kościół troszczy się o dusze, a politykę zostawi w spokoju.

DWIE LOGIKI

W styczniu 2015 roku hiszpański dziennik „Hoy” poinformował, że Franciszek przyjął transseksualnego Hiszpana, Diego Nerię Lejárragę, który złożył mu wizytę wraz z narzeczoną. Natychmiast pojawiły się komentarze, że papież zmienił dotychczasową naukę Kościoła i uprawomocnił w Kościele transseksualizm.

Przypomnijmy: Kongregacja Nauki Wiary na pytanie niemieckiej konferencji biskupów: „Czy możliwe jest dopuszczenie do kanonicznego zawarcia małżeństwa osoby, która poddała się klinicznemu i chirurgicznemu leczeniu, co pociągnęło za sobą zmianę typu genitalnego w taki sposób, że odtąd osoba ta posiada cechy płci żeńskiej?”, odpowiedziała (28 maja 1991) negatywnie. Uzasadniając, że „chodzi o osobę, która z biologicznego punktu widzenia należy do jednej płci, a psychicznie czuje się przynależna do innej i po odpowiednim zabiegu medycznym wykazuje jedynie cechy fenotypowe tej drugiej płci”, a więc dopuszczenie do zawarcia związku małżeńskiego „znaczyłoby, iż poślubiłaby osobę biologicznie przynależną do tej samej płci”. Przekonanie, że operacja nie powoduje zmiany identyfikacji ontologicznej płci ani zmiany genetycznej, chromosomatycznej struktury człowieka, podzielają naukowcy. Siostra profesor dr hab. Barbara Chyrowicz w książce *Bioetyka. Anatomia sporu* (Znak, 2015) pisze: „Nie twierdzę, że brak akceptacji własnej płci nie jest dla konkretnej osoby poważnym problemem, a nawet osobistym dramatem, twierdzę, że operacja go ostatecznie nie rozwiąże, ponieważ nie jesteśmy w stanie całkowicie zmienić biologicznej płci. Osoby transseksualne (...) zyskują rodzaj zewnętrznego potwierdzenia swojego wewnętrznego przeświadczenia o własnej płci, określanego też mianem tożsamości płciowej”. Ponieważ zmiana dotyczy nie natury gatunku, lecz zmiany wyglądu konkretnego człowieka, to – pisze profesor Chyrowicz – „związane z nią moralne kontrowersje – jeśli ktoś w ogóle uznaje, że takowe istnieją – wynikają z faktu, że operacje zmiany płci prowadzą do poważnego okaleczenia (trwałego ubezplodnienia) zdrowego organizmu. (...) Kontrowersje te znikną, jeśli przyjmimy, że cielesność jest całkowicie podległa świadomości”.

Wróćmy jednak do Franciszka i Diega, czterdziestoosmioletniego

transseksualisty. W liście do papieża (napisał go za radą swego biskupa) pytał, dlaczego Kościół go odrzuca, choć jest praktykującym katolikiem. Dlaczego nie pozwala mu przyjmować Komunii Świętej? Dlaczego nie może się czuć członkiem wspólnoty i dlaczego pasterz tej wspólnoty nazwał go „córką diabła”? Franciszek po dwóch rozmowach telefonicznych zaprosił Diega i jego narzeczoną do siebie.

Papież z pewnością nie zagłębiał się w wyniki badań mózgu transseksualistów ani w mechanizmy prowadzące do poddania się radykalnej interwencji chirurgicznej. Komentarz do tego wydarzenia znajdujemy w wygłoszonej miesiąc później (15 lutego) homilii podczas Mszy Świętej z nowymi kardynałami. Franciszek komentował opis uzdrowienia trędowatego: „Wyobraźcie sobie – mówił – jak wiele cierpienia i wstydu musiał doświadczać trędowaty: fizycznie, społecznie, psychologicznie i duchowo! Jest on nie tylko ofiarą choroby, ale ma także poczucie winy, że jest ukarany za swoje grzechy!... Był oddalony, odrzucony na margines wspólnoty obywatelskiej i religijnej. Był jakby żywym trupem. (...) Budzi strach, obrzydzenie i pogardę, i z tego powodu zostaje opuszczony przez swoją rodzinę, unikają go inni ludzie, jest zepchnięty na margines społeczeństwa, wręcz samo społeczeństwo go wydała”. A Jezus, nie bacząc na uprzedzenia, „chciał dotknąć trędowatego”. Bo „Jezus nie boi się skandalu tego rodzaju! Nie myśli On o osobach ciasnych, które wręcz się gorszą z powodu uzdrowienia, które się gorszą w obliczu wszelkiej otwartości, jakiegokolwiek kroku, który nie mieści się w ich schematach myślowych (...). Istnieją dwie logiki myślenia i wiary: strach przed utratą zbawionych i pragnienie ratowania upadłych. Zdarza się, niekiedy także i dziś, że stajemy na skrzyżowaniu tych dwóch logik – logiki uczonych w Prawie: usunąć zagrożenie, oddalając osobę zarażoną, [i logiki Boga], który w swoim miłosierdziu obejmuje i przyjmuje, włączając i przemieniając zło w dobro”.

REFORMY, INNEJ DROGI NIE MA

Gdzie ten papież zmierza, dokąd prowadzi Kościół – niepokoją się czasem nasi dobrzy katolicy. Czy zamierza anulować głoszone dotąd przez Kościół wymagania etyczne? Czy popiera „kościelne rozwody”? Ależ nie. Żeby zrozumieć, o co chodzi, warto zgłębiać programową adhortację *Evangelii gaudium* z listopada 2013 roku. Czytamy tam między innymi, że są takie zwyczaje kościelne, niektóre bardzo zakorzenione w historii, kiedyś piękne, które dziś już nie służą właściwemu przekazowi Ewangelii. „Nie bójmy się dokonać ich rewizji”, napisał Franciszek, dodając jeszcze, że „istnieją normy lub przykazania kościelne, które mogły być bardzo skuteczne w innych epokach, ale które nie mają już tej samej siły wychowawczej jako drogi życia”.

Ogłoszone w 2015 roku zmiany w prawie małżeńskim Kodeksu prawa kanonicznego idą w tym kierunku. Bynajmniej nie chodzi papieżowi o to, żeby było łatwo i przyjemnie: on doskonale wie, że chrześcijaństwo jest drogą, na której idąc za Jezusem ku zmartwychwstaniu, trzeba wziąć swój krzyż i Jezusa naśladować. Franciszek nie kwestionuje więc ewangelicznych wartości, nie anuluje wymagań Ewangelii. Jego reforma nie podważa nierozzerwalności małżeństwa, lecz jest korektą kościelnych procedur, kształtujących się przez stulecia i określonych w dotychczasowej postaci w XVI wieku. Papież chce, by także one wyrażały ducha Ewangelii.

W procedurach obowiązujących do tej pory kładziono nacisk na dociekanie prawdziwości przedstawianych przez strony przyczyn nieważności zawartego małżeństwa. Na wszelki wypadek proces był prowadzony w dwóch instancjach, trwał długo i – co zdaje się sugerować decyzja Franciszka o całkowitej lub prawie całkowitej bezpłatności – był kosztowny. Nowa procedura, opracowana z inicjatywy papieża przez wybitnych prawników, wychodzi z założenia, że – jak powiedział w rozmowie z PAP biskup Tadeusz Pieronek – „jeśli ktoś chce uregulować swoje sprawy małżeńskie wobec swojego sumienia i Boga, to będzie mówił prawdę (...). A jeżeli kłamie, to będzie ponosił odpowiedzialność przed własnym sumieniem

i przed Bogiem”.

Przywykliśmy do tego, że w wielu sprawach Kościół działa na podobieństwo państw i innych instytucji świeckich, co pewnie w niektórych dziedzinach jest konieczne i zrozumiałe, lecz zaczyna uwierać, kiedy sięga w sferę sumienia i tajemnic wiary. Kiedy akt wiary, którym jest przyjęcie sakramentu (więc i zawarcie sakramentalnego małżeństwa), staje się także (a dla niektórych: wyłącznie) tradycyjnym obrządkiem, żadne stanowione prawa tu nie pomogą.

Papież stara się usunąć z kościelnej przestrzeni przymus, osądzanie innego i strach. W masowym odbiorze bywa to odczytywane jako permissywizm, może w wyniku przyzwyczajenia do innego stylu. Kiedy udziela wszystkim spowiednikom na czas Roku Miłosierdzia zastrzeżonej biskupowi władzy rozgrzeszania z grzechu aborcji, w prasie codziennej czytamy: „papież zezwala na rozgrzeszanie aborcji”, jakby ją bagatelizował i jakby każdego skutecznego dla człowieka rozgrzeszenia nie musiały poprzedzać żal za grzechy i postanowienie poprawy, a po otrzymaniu rozgrzeszenia nie było potrzebne zadośćuczynienie za popełnione zło.

Papież stara się usunąć z kościelnej przestrzeni przymus, osądzanie innego i strach.

Okazuje się, że język ewangelicznego miłosierdzia bywa dla niektórych osób trudny do pojęcia. Że łatwiej im zrozumieć nakazy i zakazy aniżeli odwoływanie się do Ewangelii, sumienia i miłosierdzia. Tylko że dziś dla Kościoła innej drogi nie ma.

CZTERY ZASADY FRANCISZKA

Co powie Polakom papież w lipcu 2016 roku? Pochwali? Zgani? Czy coś zmieni? Co? W jaki sposób? Czy doceni?

Przyjeżdża do Kościoła, który gości Światowych Dni Młodzieży zdumiał pełnymi świątyniami i wielką liczbą młodych księży. Być może nie wszystko w Polsce musi go zachwycać, ale przecież nie zna nas tak dobrze jak Jan Paweł II. Inna sprawa, że Jan Paweł II, choć Polak i święty, czasem się mylił w ocenie naszej sytuacji.

Wróćmy do Franciszka. Co powie, co powiedział, będziemy wiedzieli za kilka dni. Wolno chyba mieć nadzieję, że nawet ze spotkania z biskupami dotrą do nas, prostych wiernych, wiarygodne wiadomości. Na razie, zamiast zajmować się domysłami, możemy lepiej poznać instrumenty, którymi Jorge Mario Bergoglio od dawna posługuje się przy ocenie rzeczywistości i zarządzaniu Kościołem. Są to „cztery zasady”, które przedstawił w adhortacji *Evangelii gaudium* (nr 222–237) i do których odwołuje się także w encyklikach *Lumen fidei* (nr 57) i *Laudato si* (nr 178) oraz w adhortacji *Amoris laetitia* (nr 3 i 261). Nawet jeśli owe zasady czasem bywają oceniane krytycznie, dla nas ważne jest, jak on je rozumie, ponieważ to w ich świetle będzie nas oceniał. Oto one.

Czas przewyższa przestrzeń. Ta zasada – wyjaśnia papież – „pozwala pracować na dłuższą metę, bez obsesji na punkcie natychmiastowych rezultatów. Pomaga w cierpliwym znoszeniu trudnych i niesprzyjających sytuacji albo zmian w planach, jakie narzuca dynamizm rzeczywistości. (...) Przyznanie prymatu przestrzeni prowadzi do szaleństwa, by wszystko rozwiązać natychmiast, by spróbować zagarnąć wszystkie przestrzenie władzy i autoafirmacji. (...) Przyznanie prymatu czasowi oznacza zajęcie się bardziej rozpoczęciem procesów niż posiadaniem przestrzeni. (...) Chodzi o uprzywilejowywanie działań rodzących w społeczeństwie nowe dynamizmy i angażujących nowe osoby, które je będą rozwijać, aż wydadzą owoc w postaci ważnych wydarzeń historycznych (...). Kryterium to jest również bardzo stosowne dla ewangelizacji, która wymaga, by brać pod uwagę horyzont, zastosować procesy możliwe i podjąć długą drogę”.

Jedność przeważa nad konfliktem. „Konfliktu nie można ignorować lub ukrywać. Trzeba go zaakceptować. Ale jeśli pozostajemy w jego pułapce, tracimy perspektywę, zacieśniają się horyzonty, a rzeczywistość staje się fragmentaryczna. Gdy zatrzymujemy się na konflikcie, tracimy poczucie głębokiej jedności rzeczywistości. (...). Skuteczny sposób zmierzenia się z konfliktem (...) polega na przyjęciu konfliktu, rozwiązaniu go i przemienieniu w ogniwo nowego procesu. »Błogosławieni, którzy wprowadzają pokój« (Mt 5, 9). (...) W ten sposób staje się możliwe rozwijanie komunii pośród różnic; mogą jej sprzyjać tylko te szlachetne osoby, które mają odwagę wznieść się ponad powierzchnię konfliktu i dostrzegają najgłębszą godność innych. [To doprowadzi] do wyłonienia się »pojednanej różnorodności«”.

Rzeczywistość jest ważniejsza od idei. „Rzeczywistość po prostu jest, ideę się wypracowuje. Trzeba doprowadzić do stałego dialogu pomiędzy nimi, unikając oddzielenia idei od rzeczywistości. Niebezpiecznie żyć w królestwie samego tylko słowa, obrazu, sofizmu. (...) Pociąga to za sobą unikanie różnych form ukrywania rzeczywistości: angelicznych puryzmów, dyktatury relatywizmów, pustej retoryki, projektów bardziej formalnych niż realnych, fundamentalizmów antyhistorycznych, intelektualizmów pozbawionych mądrości. (...) Kryterium to związane jest z wcieleniem Słowa i wprowadzeniem go w życie (...) Słowa już wcielonego, które zawsze stara się wcielić w konkret naszego życia”.

Całość przewyższa część. „Należy zwrócić uwagę na wymiar globalny, aby nie ulec pokusie wąskiego, lokalnego spojrzenia. Nie można też tracić z pola widzenia tego, co lokalne: w ten sposób stąpamy twardo po ziemi. Oba te połączone wymiary zapobiegają popadaniu w jedną z dwóch skrajności. Pierwsza – gdy obywatele żyją w abstrakcyjnym uniwersalizmie globalizacji, niczym pasażerowie zadekowani w wagonie restauracyjnym, z otwartymi ustami, klaszcząc, podziwiają fajerwerki świata należącego do innych. Druga – gdy stają się folklorystycznym muzeum lokalnych pustelników, skazanych na powtarzanie wciąż tego samego, niezdolnych do reagowania na to, co odrębne, oraz do podziwiania piękna, jakie Bóg roztacza poza ich granicami”.

Czas przewyższa przestrzeń. Jedność przeważa nad konfliktem. Rzeczywistość

jest ważniejsza od idei. Całość przewyższa część. To nam powie, to nam mówi. Z tym kluczem w ręku należy docierać do myśli papieża, a także do odpowiedzi na pytanie, jak nas postrzega. To ostatnie nie jest zresztą najważniejsze. Istotniejsze, czy zamiast inicjować procesy, nie tracimy czasu i energii na poddanie naszej kontroli maksimum przestrzeni, czy zaplątani we wzajemne zwalczanie umiemy jeszcze „pięknie się różnić”, czy nie popadamy w doktrynerstwo i fundamentalizm, w którym nie szabat jest dla człowieka, lecz człowiek dla szabatu, czy w naszej megalomanii katolicko-narodowej nie trwamy na podziwianiu fajerwerków „świata należącego do innych” lub nie stajemy się „folklorystycznym muzeum lokalnych pustelników”.

Czas przewyższa przestrzeń. Jedność przeważa nad konfliktem. Rzeczywistość jest ważniejsza od idei. Całość przewyższa część.

Wiem, to uproszczona i ogólnikowa refleksja: spotkanie z nietypowym, niewygodnym papieżem Franciszkiem zmusza do konfrontacji wyznawanych i głoszonych idei z rzeczywistością (patrz „zasada trzecia”).

CO ZOSTANIE?

To pytanie stawia każdy, kto choć w części przeżył Światowe Dni Młodzieży w Krakowie. Jak wiadomo, nie ma zbiorowych nawróceń – a jeśli są, to pozorne. Można jednak mówić o przestrzeni nawróceniu sprzyjającej. Taką przestrzenią były te dni, o czym świadczyć mogą liczne i poważne spowiedzi. Nie tylko ośmiu penitentów, których wyspowiadał Franciszek. Nie tylko te w parku z konfesjonałami. Ale też te odbywane w nietypowych warunkach: na przykład na ulicy, przy barierkach sektorów, w łomocie potężnych głośników przed mszą w Brzegach. Wiem, o czym mówię, to nie są informacje z drugiej ręki.

Jak wiadomo, nie ma zbiorowych nawróceń – a jeśli są, to pozorne.

Co zostało, pokaże przyszłość. Papież, mówiąc o przyszłości w wymiarze szerszym – Kościoła i społeczeństwa – zachęcał młodzież do „rewolucji kulturalnej”, dziękował młodym za to, że nas, starych „kanapowiczów”, bojących się ryzyka jakiegokolwiek zmiany, uczą marzeń i zmuszają do ruszenia się z bezpiecznej, jak nam się wydaje, kanapy. Ktoś stwierdził, że nauczanie Franciszka to utopia. Tak już chyba papieże mają. Po pierwszej wizycie Jana Pawła II w Polsce także mówiono, że głosi on utopię. A jednak, o dziwo, Duch zstąpił i odnowił oblicze tej ziemi.

Zostaną obrazy. Franciszek, jak jego poprzednik święty Jan Paweł II, jest świadom siły gestu. Odwiedziny w szpitalu u kardynała Franciszka Macharskiego, w szpitalu dziecięcym, milczenie w Auschwitz, Jasna Góra... obiad z przedstawicielami młodzieży (nie szkodzi, że kiedy przyszło im opowiedzieć o treści rozmowy, byli kompletnie bezradni!). Także obrazy towarzyszące drodze krzyżowej i mnóstwo innych.

A może najbardziej niedziela i obraz papieża na Kampusie Miłosierdzia w Brzegach. Tego żadna telewizja nie pokaże. Bo kto tam był, kto dzielił trud drogi i ciężar żaru lejącego się z nieba, kto usiłował zobaczyć, dokąd sięga to zgromadzenie

Ludu Bożego, i nie był w stanie (chyba że z przelatującego od czasu do czasu helikoptera), kto wraz z tym nieprzeliczonym tłumem słuchał papieża Franciszka – nie zapomni tego nigdy. Nie zapomni widoku i zdumienia, że przybyło tu, nieraz kosztem wyrzeczeń, z Polski i wszystkich stron świata, ponad dwa miliony ludzi. Nie na koncert (choć muzyczna oprawa była znakomita), nie na międzynarodowe igrzyska, nie na imprezę. Ale żeby posłuchać starego księdza z Rzymu, który mówi im o Panu Jezusie.

Stary ksiądz, następca Rybaka znad Jeziora Galilejskiego, mówił z prostotą tamtego, sprzed ponad dwóch tysięcy lat, Piotra. Ksiądz prymas, referując na konferencji prasowej spotkanie biskupów z papieżem, powiedział: „Mówił do nas jak do dzieci”.

Jakkolwiek to zabrzmiało, jest to doskonała charakterystyka stylu Franciszka. Nie znaczy to jednak, że traktuje słuchaczy jak infantylnych idiotów, lecz że przywraca sens najprostszym zasadom. „Przepraszam, dziękuję, proszę” – to tytuł książeczki dla dzieci o tym, że należy się pojednać przed pójściem spać – tego uczono nas od maleńkości. O tym, że nie wolno kapitulować ze strachu przed ryzykiem, zamykać się w egoistycznym świecie własnej wygody – słyszymy na lekcjach religii od dzieciństwa. On po mistrzowsku przywrócił życiową siłę wartościom, które często jesteśmy skłonni traktować jak bajeczki dla grzecznych dzieci.

Gdyby spytać o słowo klucz tego nauczania, okazałoby się, że nie jest nim ani „miłosierdzie”, ani „odwaga” czy „ryzyko”, lecz słowo-imię, które często bezmyślnie powtarzamy i którego nadużywamy. Słowem kluczem jego nauczania jest Jezus.

Tak trzeba odczytywać wszystko, co Franciszek mówił o imigrantach i o małżeństwie, o cierpieniu i samotności, o historii Polski i kapłaństwie. Wszystko, co mówił, było prostym wyznaniem wiary w miłosiernego Boga, w Chrystusowe orędzie miłości, „która daje życie, aby inni mieli życie”, i życiu przywraca sens. Świadectwem wiary była charakterystyka zawodności filozofii życiowej „niebo tu i natychmiast” i konfrontowanie z wiarą cierpienia i trudów życia. Mówił do wątpiących nie z góry, ale z pozycji człowieka, który sam zwątpienia doświadczył. Papieża, który wie, czym są takie pytania, jak to o cierpienie dzieci, na które trzeba odpowiedzieć: „nie wiem”. Z prostotą mówił o tym, jak sobie z tymi pytaniami radzi.

Księżom, darzącym – wiedział o tym z własnego doświadczenia – sympatią świętego Tomasza Apostoła, który zwątpił, powiedział, że cała rzecz w tym, żeby z tym zwątpieniem iść – jak Tomasz – do Jezusa.

Nie wiem oczywiście, czy w czasie ŚDM zdarzyły się cuda, lecz korci mnie, by uznać za cud to, co się stało z pogodą. Wybór Brzegów na wielkie zgromadzenie niósł ze sobą ryzyko. Obawiano się, że po silnych deszczach miejsce to zmieni się w morze błota. Widząc w niedzielę o świcie tysiące młodych ludzi śpiących na Campus Misericordiae, wyobraziłem sobie, jak by to wyglądało w razie nocnej ulewy. Zwykle odnosiłem się sceptycznie do modlitwy o pogodę (Bóg nie jest regulatorem pogody!), ale przecież nikt mi nie powie, że kardynał Dziwisz wiedział, iż ulewa na Brzegach rozpocznie się dopiero godzinę po zakończeniu ŚDM.

Nie wiem oczywiście, czy w czasie ŚDM zdarzyły się cuda, lecz korci mnie, by uznać za cud to, co się stało z pogodą.

Czego mi zabrakło w tych pięknych dniach? Zabrakło mi moich znajomych, krakowskich bezdomnych. Daremnie ich szukałem na Plantach, gdzie po posiłku na Reformackiej drzemią na ławkach w pobliżu placu Szczepańskiego. Szukałem ich przy dworcu, przy Starym Kleparzu... zniknęli. Będę ich musiał spytać, gdzie wtedy byli. Szkoda, że papież Franciszek nie odwiedził, chociaż na pięć minut, na przykład ośrodka Dzieła Pomocy św. Ojca Pio przy ul. Smoleńsk (z Franciszkańskiej pięć minut piechotą). Mógłby to zrobić w tym czasie, w którym spowiadał pięciu wybranych grzeszników. Nawet jeśli ta spowiedź była inicjatywą papieża, nie wydaje mi się pomysłem najszcześniejszym. Spowiedź u każdego księdza, nawet niezbyt mądrego czy wręcz grzesznego, ma tę samą sakramentalną wartość, co spowiedź u papieża. Ten sakrament – w moim odczuciu – nie lubi ostentacji.

Nie przeszkadzały mi za to ociekające banalnością przemówienia naszych VIP-ów kierowane do papieża. Bo pomogły zobaczyć kontrast między naszym sposobem „pobożnego przemawiania” a sposobem mówienia Franciszka, który konkretnością

i prostotą trafia do serc i te serca podbija.

PS Docierają do mnie pytania, czy wspólna fotografia Tomasza Terlikowskiego ze mną, która w ostatnich dniach obiegała portale społecznościowe, to fotomontaż. Odpowiadam – jest autentyczna. Niektórzy internauci ostrzegają mnie przed naiwnością i namawiają, bym nie wierzył w wygłoszone przy okazji tego spotkania przeprosiny pana Tomasza za wszystkie te przypadki, kiedy mnie „łomotał”. Autorom gratuluję zrozumienia papieża Franciszka. Te (na szczęście nieliczne!) głosy niepokoją – czyżby z jego nauczania pozostało w nas tak niewiele?



fot. Marek Michalak/East News

Polityka historyczna

DLA

zaawansowanych

NIE ODBIERAJCIE MU TEGO ODZNACZENIA

Zaczęło się od artykułu Jana Tomasza Grossa, opublikowanego w „Die Welt” we wrześniu 2015 roku, o stosunku Polaków do uchodźców. Napisał, że Polacy w czasie wojny zabili więcej Żydów niż Niemców. Więcej?! – krzyknęliśmy urażeni – ależ skąd, zabili mniej Żydów, więcej Niemców. Mniejsza, że Gross nie napisał tego dla „Die Welt”, ale dla „Project Syndicate”, a „Die Welt” artykuł jedynie przedrukował. Mniejsza, że uzasadnienie tego twierdzenia w obszernym odnośniku nie jest, zdaniem innych historyków, wystarczające. Mniejsza, bo przerażający jest sam ten spór o liczby.

Bo czy jeżeli Polacy zabili mniej Żydów niż Niemców, to wszystko jest w porządku? Jak się ma obrona wobec agresora, okupanta, wykonawcy obłądnego planu eksterminacji narodu, do zabicia czy oddania na zabicie człowieka bezbronny, osaczonego, zaszczutego, albo do zabicia uratowanego z zagłady rozbitka? Zabolalo nas nie to, że Gross powiedział (słusznie czy niesłusznie) o liczbach, lecz że znów przypomniał o polskich winach czasu wojny i po wojnie. Jak każdy człowiek musi nieść swoją, nie zawsze świetlaną i piękną historię, tak musi nieść ją każde społeczeństwo. Uznanie własnych win (Kościoła) Jan Paweł II nazwał „oczyszczeniem pamięci”. Książki Jana Tomasza Grossa w operacji oczyszczania pamięci nam pomogły. Uderzały w naszą złotą legendę brutalnie, bywało, że niesprawiedliwie. Ale pomogły.

Tymczasem „spór o liczby” przeszedł w spór o odebranie (lub nieodebranie) profesorowi Grossowi przyznanego mu w roku 1996 Krzyża Kawalerskiego Orderu Zasługi RP – prezydent Andrzej Duda skierował w tej sprawie urzędowe zapytanie do MSZ. Krzyż przyznano Grossowi za „wybitne zasługi w nauce”, a mianowicie – co przypomina grupa naukowców w liście otwartym do prezydenta – jako wyraz uznania dla prowadzonych przez niego „badań o Polsce i Europie Środkowej – między innymi prac o Armii Polskiej na Wschodzie, o sowietyzacji Kresów Wschodnich, o polskich dzieciach zsyłanych na Sybir, o Polsce pod dwiema okupacjami – które publikowane były w prestiżowych wydawnictwach amerykańskich jako opracowania pionierskie”.

Nadane odznaczenie – czytamy w liście – było też „formą uznania i podziękowania za jego wieloletnią działalność opozycyjną, począwszy od wydarzeń Marca '68, kiedy spędził pięć miesięcy w areszcie śledczym, poprzez zbieranie funduszy w roku 1976 na organizowaną przez KOR akcję pomocy robotnikom Radomia i Ursusa”.

Jeśli „spór o liczby” miał w sobie coś z absurdu, to pomysł odebrania profesorowi Uniwersytetu Princeton polskiego odznaczenia jest ponury. Ponury dlatego, że – znów cytując z listu – „oznaczałoby to zakwestionowanie znaczenia jego wieloletnich badań”, za które został odznaczony. Ponury także dlatego, że byłoby to represją za poglądy. W cywilizowanym świecie z poglądami się polemizuje. Jeśli się uzna, że obraz rzeczywistości historycznej ukazany przez autora jest fałszywy, pisze się książkę, która siłą argumentów ten obraz skoryguje. Indeksy książek zakazanych, „zapisy” cenzury, pozbawianie obywatelstwa i inne tego rodzaju sankcje wobec historyków należą do smutnej przeszłości.

Próbuję sobie wyobrazić, co czuje dziś autor *Sąsiadów*. Został przekonany? Bije się w piersi? Postanawia już nigdy o sprawach żydowsko-polskich nie pisać? A jego studenci? A czytelnicy w świecie? Czy pomysł odebrania odznaczenia nie będzie odczytany jako represja użyta w braku argumentów? Jeśli tak, to obrońcy wizerunku Polski sprawią, że nasz kraj będzie postrzegany jako państwo, w którym sam prezydent ściga niepokornych historyków. Przed taką interpretacją nie uchroni odwołanie się do art. 36 ust. 1 polskiej ustawy o orderach i odznaczeniach, na który się powołał wnioskujący o odebranie odznaczenia Grossowi prezes Reduty Dobrego Imienia – Polskiej Ligi Przeciw Zniesławieniu.

Dyskutujcie z Grossem, ale na litość Boską, nie odbierajcie mu odznaczenia.

CO SIĘ Z NAMI POROBIŁO?

O „Bolku” z szafy Kiszczaka napisano tyle, że w tej chwili trudno dodać coś nowego. Lecha Wałęsę już osądzono. Zasugerowano, że w latach 70. był szantażowany kwitami i to do tego stopnia, że wszystko, co naiwnie braliśmy za obalenie komunizmu – za wolność, samorządność, zmianę ustroju i wejście Polski do grona suwerennych państw europejskich – było iluzją, gdyż naprawdę była to operacja prowadzona przez uwłaszczonych komunistów, genialnie sterujących wydarzeniami. Z drugiej strony w obronie Wałęsy jedni odrzucili wszelkie insynuacje współpracy, inni zaś – nawet dopuszczając ewentualną prawdziwość oskarżeń – uznali, że zerwanie współpracy z SB oraz to, czego dokonał on potem jako przewodniczący Solidarności, anuluje te zarzuty. Przypomniano też, że dawny ustrój obalono bez przelewu krwi dzięki kompromisom, które zawarto przy Okrągłym Stole, a które potem respektowali Wałęsa i rząd Mazowieckiego, wiedząc, że druga strona ma za sobą stacjonujące jeszcze w Polsce wojska radzieckie, wciąż istniejący aparat bezpieczeństwa i tak dalej.

To wszystko powiedziano i napisano w niezliczonych debatach. Rozumiem ich temperaturę, gdyż dotyczą zbiorowej pamięci o wyjątkowych w naszej historii wydarzeniach, z których jesteśmy dumni. Niestety, w tej gorącej dyskusji coraz częściej do głosu dochodzi nienawiść. Wałęsa przypomina zaszczutego odyńca broniącego się przed rozwścieczoną sforą. I znowu, jak w wielu naszych sporach, w miejsce „pięknego różnienia się”, przeciwstawiania argumentów, wkrada się zaciekle wola unicestwienia przeciwnika.

Niestety, w tej gorącej dyskusji coraz częściej do głosu dochodzi nienawiść.

Co się z nami porobiło? Co się stało z naszą pamięcią, ze wzruszeniem, z jakim słuchaliśmy, że „Solidarność – to znaczy: jeden i drugi, a skoro brzemie, to brzemie niesione razem, we wspólnocie. A więc nigdy: jeden przeciw drugiemu. Jedni –

przeciw drugim. I nigdy »brzemień« dźwigane przez człowieka samotnie. Bez pomocy drugich. Nie może być walka silniejsza nad solidarność...” (Jan Paweł II w Gdańsku 12 czerwca 1987).

Jak na ironię, wszystko to się dzieje w Roku Miłosierdzia. Franciszek napisał o miłosierdziu, że polega ono „przede wszystkim na tym, by nie sądzić i by nie potępiać. Jeśli się nie chce zostać osądzonym przez Boga, nie powinno się stawać sędzią swego brata. Ludzie bowiem z ich osądem zatrzymują się zwykle na tym, co zewnętrzne, podczas gdy Bóg patrzy na to, co w środku. (...) Nie sądzić i nie potępiać znaczy również (...) umieć dostrzec dobro, które jest w każdej osobie (...). Ale i to nie jest jeszcze wystarczające do wyrażenia miłosierdzia. Jezus wzywa również do przebaczenia”.

Pytam: co się z nami stało, że już nie jesteśmy solidarni? Że wciąż zachowujemy się tak, jakby Roku Miłosierdzia nie było?

Pytam: co się z nami stało, że już nie jesteśmy solidarni? Że wciąż zachowujemy się tak, jakby Roku Miłosierdzia nie było?

CZY CHCEMY DALEJ WALCZYĆ ZE SOBĄ, CZY CHCEMY POJEDNANIA?

Temat wołyńskiej rzezi, zbrodni, tragedii czy ludobójstwa co roku, zwłaszcza w lipcową rocznicę, powraca. Użyłem tych różnych słów, bo sposób określenia tamtych wydarzeń jest między innymi przedmiotem sporu. Określenie nie zmienia stanu prawnego, ma znaczenie moralne i polityczne, bowiem wydarzenia miały miejsce przed uchwaleniem w 1948 roku konwencji ONZ o zapobieganiu i karaniu ludobójstwa. *Lex retro non agit*. W „Tygodniku Powszechnym” o tamtych wydarzeniach, o późniejszych sporach i debacie wokół nich, a także o kontekście sytuacji aktualnej, pisał w lipcu 2016 roku Wojciech Pięciak. Jak w dialogu historycznym Polska ma postępować wobec Ukrainy? Nachalność w rozliczeniach krzywd nie doprowadzi do pojednania, raczej wprost przeciwnie.

Polsko-ukraińskie relacje to nie sprawa wydawanych przez władze obu państw deklaracji, lecz dogłębne przeoranie świadomości. Nie można relatywizować tego, co się stało, ale też nie można się godzić na trwanie we wzajemnej nienawiści. Zmiana świadomości społecznej jest procesem długim. Ogromną rolę grają tu emocje. Z własnych doświadczeń (relacje z Niemcami, Żydami) wiemy, że wymaga to cierpliwej pracy i czasu, i – jak pisze Pięciak – „pewności swego miejsca na ziemi”. Także odporności na manipulacje polityczne, takie jak choćby historyków szkoły sowieckiej, dla których każda niezależna od Sowietów partyzantka Europy Środkowej (zarówno AK, jak UPA) to faszyci, kolaboranci, bandyci.

W zmierzający do pojednania proces oczyszczania pamięci angażują się Kościoły Polski i Ukrainy. W przyszłości będziemy mogli ocenić rolę tego zaangażowania. Przypomnijmy: 26 czerwca 2001 roku Jan Paweł II mówił we Lwowie o „wewnętrznej potrzebie uznania różnych przejawów niewierności ewangelicznym zasadom, jakich nierzadko dopuszczali się chrześcijanie pochodzenia zarówno polskiego, jak i ukraińskiego, zamieszkujący te ziemie”, i apelował: „Czas już oderwać się od bolesnej przeszłości!”.

Wtedy też kardynał Lubomyr Huzar, zwierzchnik Kościoła katolickiego obrządku

bizantyjsko-ukraińskiego, wyznawał, że „w ubiegłowiecznej historii naszego Kościoła (...) niektórzy synowie i córki Ukraińskiego Kościoła greckokatolickiego wyrządzali zło – niestety świadomie i dobrowolnie – swoim bliźnim z własnego narodu i z innych narodów”. I dalej: „Aby nie ciążyła na nas straszliwa przeszłość i nie zatrzymała naszego życia, chętnie przebaczymy tym, którzy w jakikolwiek sposób skrzywdzili nas”. Wzywał: „Odpowiedzmy sobie na pytanie, czy chcemy dalej walczyć ze sobą, czy szukać porozumienia, w tym ustalenia faktów z naszej dramatycznej historii, i pojednania między Polakami i Ukraińcami”.

W deklaracji z 26 czerwca 2013 roku zwierzchnicy Kościołów rzymskokatolickiego Polski (arcybiskup Józef Michalik) i greckokatolickiego Ukrainy (arcybiskup Światosław Szewczuk) wezwali oba narody do „otwarcia umysłów i serc na wzajemne przebaczenie i pojednanie”.

Powiedział mi kiedyś biskup Jan Pietraszko, któremu arcybiskup Adam Sapieha zlecił pieczę nad przekazywanymi mu świadectwami ofiar zbrodni wołyńskiej, że o pojednaniu będzie można mówić wtedy, kiedy wymrą świadkowie okrucieństwa tamtych zbrodni. Nie dlatego, że aby przebaczyć, trzeba zapomnieć, ale dlatego, że wspomnienie przeżytego koszmaru może się okazać silniejsze od ewangelicznego wezwania do przebaczenia i do miłości nieprzyjaciół, nie mówiąc już o tym, że może się okazać silniejsze od racji ściśle politycznych. Bo także w strategii politycznej trzeba brać pod uwagę emocje. Jeśli nasze dążenie do pojednania ma sięgnąć ludzkich serc i przynieść owoce, musi być oparte na prawdzie, musi być uparte i cierpliwe, ale nade wszystko świadome aktualnej sytuacji Ukrainy.

POLITYKA HISTORYCZNA DLA DELFINÓW

W 1981 roku pracujący w Bibliotece Watykańskiej historyk powiedział mi, że papież zlecił mu i jego współpracownikom zbadanie historycznych podstaw klasycznych zarzutów stawianych Kościołowi, jak te dotyczące działalności inkwizycji, wypraw krzyżowych, traktowania w Kościele kobiet i tym podobnych. Wspomniał też, że byli w Watykanie tacy, którzy zniechęcali go do tej pracy, twierdząc, że nie warto, nawet nie należy rozgrzebywać przykrych spraw z przeszłości. Dziś wiadomo, że Jan Paweł II już wtedy, z dwudziestoletnim wyprzedzeniem, przygotowywał historyczne „oczyszczenie pamięci” Kościoła.

Znakiem owego oczyszczenia była uroczysta liturgia pokutna 12 marca 2000 roku pod przewodnictwem papieża w bazylice Świętego Piotra z wyznaniem popełnianych przez ludzi Kościoła win i przeproszeniem Boga za to, że niekiedy w imię wiary i moralności posługiwali się metodami nieewangelicznymi, za grzechy, które „rozerwały jedność Ciała Chrystusa i zraniły braterską miłość”, za winy popełnione w stosunku do Izraela, za słowa i czyny, które „dyktowała pycha, nienawiść i żądza panowania nad innymi”, za niechęć do wyznawców innych religii i do słabszych grup społecznych, jak imigranci i Cyganie, za grzechy godzące w godność kobiety, za ranienie ludzkiej godności i deptanie praw człowieka, za bierne przyzwalanie na zło, pokładanie ufności w bogactwie i pogardzanie „maluczkimi”. To publiczne uznanie win ludzi Kościoła było „polityką historyczną” Jana Pawła II, której, wbrew sugestiom części otoczenia, twardo się trzymał. Jubileuszowy akt pokuty wskazał, że nie wszystko w przeszłości Kościoła można – jak to się działo – idealizować i nie wszystkiego trzeba do upadłego bronić. Uznanie przez Kościół, że w jego historii obok kart chwalebnych były i mniej chwalebne, czy wręcz haniebne, nie zaszkodziło mu, lecz przydało wiarygodności.

Odczytanie przeszłości objaśnia sens teraźniejszości i kształtuje postawy ludzi dzisiaj. Jakaś polityka historyczna zawsze w każdej społeczności jest obecna. Czasem przybiera postać prymitywnej propagandy i manipulacji, czasem jest próbą zmierzenia się ze sprawą tak trudną, jak dla Niemców nazistowska przeszłość czy dla

nas prawda o Jedwabnem.

Odczytanie przeszłości objaśnia sens teraźniejszości i kształtuje postawy ludzi dzisiaj.

Orwellowska wizja manipulowania przeszłością na zawsze pozostanie ostrzeżeniem dla tych, którzy mają władzę. Przypomnijmy, że w książce *Rok 1984* opisane jest Ministerstwo Prawdy zajmujące się fałszowaniem informacji o przeszłości. Czuwa ono nad tym, żeby nieustannie okłamywać obywateli w celu ukrycia wszelkich kłamstw czy pomyłek Partii i Wielkiego Brata. W jego gestii leży oczywiście produkcja literatury, filmów i rozrywki. Orwellowska satyra doprowadzająca sytuację do absurdu to ostrzeżenie przed niebezpieczeństwem manipulowania historią. Polityka historyczna, która obywatelom daje wgląd we wcześniej pomijane czy fałszywie przedstawiane obszary historii (jak u nas w latach PRL-u), jest nie do przecenienia. Gorzej, jeśli temu będzie towarzyszyć eliminowanie ze społecznej pamięci lub deformowanie w imię ideologii innych rozdziałów historii.

W uprawianiu historii najnowszej, jak sądzę, należy pamiętać o nieuniknionej konfrontacji z aktorami i ze świadkami historycznych wydarzeń, nie mówiąc o zachowanych dokumentach. Poprawną politycznie „wersję oficjalną” można uporczywie – a nawet do czasu z sukcesem – saczyć do głów ludziom nie najlepiej znającym przebieg wydarzeń, lecz historia zmanipulowana *ad usum Delphini* (łac. „na użytek Delfina” – tak określano wydania klasyków łacińskich specjalnie cenzurowane dla syna Ludwika XIV) zawsze prędzej niż później zostanie skompromitowana. A z nią razem – manipulatorzy.

DWIE ROCZNICE

Kiedy go poznałem, był młody, dochodził dwudziestki. Był nad wiek poważny, jak to dwudziestolatkowie, i nieco romantyczny: kochał poezję, miał poczucie misji oraz świadomość swojej roli. Zresztą ważną rolę rzeczywiście odgrywał.

Wszystkim sprawiał kłopoty: prymasowi i Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej. Ta ostatnia zresztą uważała, że wywiera zły wpływ na Karola, z którym też miała kłopoty, więc usiłowała (partia, przy pomocy służb specjalnych) bez sukcesu ten zły wpływ redukować.

Kiedy go poznałem, był bardzo poszukiwany i mile widziany. To dziwne, bo nie był ani bogaty, ani ładny, ani zgrabny, ale uwodził. Czasem bawił, często nudził i zawsze kogoś irytował – jednych, bo nieznośnie katolicki, innych, bo modernistyczny, goszystowski i liberalny, a do tego nie wykropkowuje brzydkich słów, jak na przykład „dupa”. Teraz, gdy dożył siedemdziesiątki, mógłby dojrzeć i się ustatkować. Nic z tego, wciąż jest nieprzewidywalny.

Mijające w marcu 2015 roku 70 lat życia „Tygodnika Powszechnego”, bo o nim tu mowa, można oglądać z różnych stron i pod różnym kątem widzenia, ale zawsze będzie to coś z najnowszej historii. Choćby „TP” jako pismo katolickie... Być takowym, nie będąc organem (nawet w szerszym tego słowa znaczeniu) biskupiej kurii, nie jest łatwo. Przecież wezwania, by nam odebrać prawo do przymiotnika „katolickie” w tytule, podnosiły się już kilka razy. Na przykład wtedy, gdy „Tygodnik” zainicjował debatę o tym, czy naukę religii przywracać do szkół, albo z powodu wydrukowania artykułu profesor Środy, albo gdy opisaliśmy historię arcybiskupa Paetza, albo gdy „Nergala – satanistę” woleliśmy nazwać „jasełkowym” niż potępić.

Ale jest też inna strona medalu. Jubilacie, wciąż pamiętaj, że w swej siedemdziesięcioletniej historii otrzymałeś w darze dwadzieścia (1958–1978) osobliwych lat, które potem – do roku 2005 – miały także niezwykle dalszy ciąg. To był czas przyjaźni „Tygodnika” z młodym wtedy biskupem Karolem Wojtyłą – wcześniej zresztą, jako szeregowy ksiądz, autorem wielu tekstów na łamach pisma.

W 10. rocznicę śmierci tego Biskupa i 70. rocznicę narodzin „Tygodnika” wspominam tę więź tak, jak ją oglądałem. Biskup, arcybiskup i kardynał Wojtyła w „Tygodniku” czuł się u siebie. Wielokrotnie przychodził do redakcji, lubił tu przyprowadzać gości z zagranicy, zwykle dość wybitnych, jakby chciał nas im pokazać, żeby gość nawiązał kontakt z nami, a my z nim. Co miesiąc zapraszał nas – redakcję – do siebie, słuchał i rozmawiał z nami o sprawach ważnych. Drukował u nas, naszego Marka Skwarnickiego wybrał sobie na doradcę od poezji, w księdzu Andrzeju Bardeckim miał zaufanego przyjaciela, a u Jerzego Turowicza w trudnych sprawach szukał mądrej rady. Mówił nam (czasem nawet pisał), co mu się w „Tygodniku” nie podoba i czego od pisma oczekuje. A myśmy się z nim spierali, mówiąc, co myślimy o polskim Kościele i o nim. Opublikowana przez nas w 2006 roku Jego korespondencja z Turowiczem przybliżyła klimat tamtych relacji i sporów.

„Tygodnik” zawsze niepokoił ludzi nienawykłych do publicznego podejmowania trudnych kwestii. Takim właśnie Wojtyła tłumaczył: „musimy się ostatecznie kierować sądem własnym, zarówno gdy chodzi o przyznanie, jak i odmawianie »TP« kredytu katolickości. (...) Zdajemy sobie sprawę z tego, że »TP« (...) nosi w sobie jakiś pierwiastek ryzyka. Ogólne jednak *principium* etyczne przyjmuje możliwość narażania się na niebezpieczeństwo moralne pod pewnymi warunkami. Otóż w imię tego *principium* chcemy brać odpowiedzialność za katolickość »TP« tak długo, jak długo nie ma dostatecznych podstaw do stwierdzenia, że niebezpieczeństwo zamieniło się w faktyczne zło, a niebezpieczeństwo błędu w faktyczny błąd. I bardzo prosimy Ducha Światłości, aby to nie nastąpiło”.

Mam nadzieję, że tam, gdzie jest teraz, nasz Protektor i Przyjaciel (Święty!) nadal Ducha Światłości o to prosi.



fot. Alessandra Tarantino/AP Photo, APTOPIX

Nadzieja

W RZYMIE

PIĘĆ POKUS SYNODALNYCH

Synod biskupów zakończony w październiku 2014 roku beatyfikacją papieża, który powołał do życia tę instytucję – Pawła VI – różnił się od poprzednich nie tylko tym, że był pierwszym etapem prac, które zostaną podjęte za rok. Różnił się też niespotykaną dotąd liczbą uczestników świeckich, swobodą wypowiedzi oraz ogromnym zainteresowaniem mediów. Omawiano problemy rodziny, ale w publicznym odbiorze miała to być próba sił między „konserwatystami” a „liberałami”, którzy chcą, by Kościół głoszone zasady lepiej dostosował do panujących dziś obyczajów (na przykład uznając za godziwe związki niesakramentalne oraz małżeństwa homoseksualne, dopuszczając do komunii świętej rozwiedzionych i powtórnie zaślubionych cywilnie). Z medialnego przekazu zdawało się wynikać, że papież jest raczej po stronie tych ostatnich.

Stanowisko synodu (który ma głos doradczy; decydujący głos należy do papieża) ma się klarować następnej sesji. Media donosiły o ostrym sporze, wręcz sugerowały rysujące się widmo schizmy, kiedy ogłoszono końcową relację z obecnej sesji czy raczej jej projekt, który potem został poddany ocenie ojców synodalnych i paragraf po paragrafie głosowany. Po dyskusji w grupach językowych ojcowie synodu głosowali: na 62 paragrafy pierwotnego tekstu 59 zyskało wymagane 2/3 głosów. Trzy (dotyczące komunii dla rozwiedzionych i powtórnie poślubionych oraz związków homoseksualnych) otrzymały większość, jednak nie 2/3 głosów.

Papieskie przemówienie końcowe (przyjęte przez uczestników trwającą 5 minut owacją na stojąco) przywróciło sprawom właściwe proporcje. Papieża rozbieżność opinii nie zmartwiła, wręcz przeciwnie: cieszył się, że nie panował marazm jednomyślności. Nie przerażały go opinie wychodzące poza dotychczasową praktykę Kościoła. Mówił, że synod to jest droga, a na drodze bywamy kuszeni.

Wymienił te pokusy: pierwsza to pokusa wrogiego usztywnienia, usiłowanie zamknięcia się w tym, co napisane (litera), niedopuszczanie, by nas Bóg zaskoczył, Bóg niespodzianek (duch), pozostawanie w obrębie pewności tego, co znamy, a nie wychodzenie ku temu, czego jeszcze powinniśmy się nauczyć i co powinniśmy

osiągnąć. To, od czasów Jezusa, pokusa gorliwców, skrupulatnych i zatroskanych, zwanych dzisiaj tradycjonalistami. Także intelektualistów. Kolejna pokusa: destruktywnej pocziwości, która w imię oszukańczego miłosierdzia bandażuje rany, zamiast je leczyć, która zajmuje się objawami, a nie przyczynami, i nie sięga do korzeni. To pokusa pocziwców, lękliwych, a także tak zwanych liberalnych progresistów. I jeszcze pokusa przemienienia kamieni w chleb, by przerwać długi, ciężki i bolesny post, a także pokusa, by przemienić chleb w kamienie i rzucić nimi w grzeszników, w słabych i chorych; by przemienić go w nieznośne jarzmo. Kolejna to pokusa zejścia z krzyża, aby zadowolić ludzi, by nie pozostać na nim dla wypełnienia woli Ojca; by kłaniać się temu, co światowe, zamiast to oczyszczać i podporządkować się Duchowi Świętemu. I wreszcie pokusa, by pominąć depozyt wiary, uważając siebie nie za jego strażnika, ale właściciela. Albo, z drugiej strony, pokusa lekceważenia rzeczywistości za pomocą rozmywającego wszystko języka, tak by mówiąc wiele, niczego nie powiedzieć. Nazywano to bizantyzmem.

Głos papieża był spokojny. Pokusy go nie przerażają, nawet – jak powiedział – wręcz go ucieszyły, bo zmuszają do myślenia. Uspokajał tych, którzy różnice zdań na synodzie traktowali jak wojnę domową. Kościół, zapewniał, jest „jeden, święty, katolicki i apostołski, złożony z grzeszników potrzebujących Jego miłosierdzia. Taki jest Kościół, prawdziwa oblubienica Chrystusa, która stara się być wierna swemu Oblubieńcowi i Jego nauce. Kościół, który się nie boi jeść i pić z prostytutkami oraz publikanami”. Mówił też o roli papieża, trochę jakby nie mówił o sobie, ale o swoim urzędzie. Jakby chciał powiedzieć: to nie ja Bergoglio, ale papież czuwa i będzie czuwał nad wiernością.

**Taki jest Kościół, prawdziwa oblubienica Chrystusa,
która stara się być wierna swemu Oblubieńcowi
i Jego nauce.**

To piękne przemówienie warte jest uważnej lektury. Tłumaczy sens obranego przezeń sposobu działania synodu, sens kolegialności i wreszcie sens istnienia

Kościół.

BURZA PRZED SYNODEM

Filipiński kardynał Luis Antonio G. Tagle, znawca II Soboru Watykańskiego, twierdzi, że znowu powiało jego duchem. Istotnie: trudno nie zauważyć pewnych analogii, choć istnieją również różnice. Synod biskupów to nie sobór – ma charakter doradczy, na soborze zaś kolegium biskupów wykonuje swą władzę w całym Kościele. Nie znaczy to, że synod nie ma wpływu na rządy Kościołem. Jego dokumenty, podpisane przez papieża, są wyrazem kolegialności w Kościele, a szybkość realizacji przez Franciszka postulatów o uproszczeniu procedur orzekania nieważności małżeństwa okazała się dla niektórych wręcz zaskakująca. Narzekano na przykład na brak wcześniejszej debaty i konsultacji, choć papieska decyzja była właśnie owocem kolegialnej refleksji synodalnej.

Jak mówiono o Soborze, tak można powiedzieć i o zgromadzeniu synodalnym z października 2015, że już istnieją dwa synody: jeden – wytwór medialnej wyobraźni, drugi – realny. Jest jednak głębsze podobieństwo: Sobór dotykał spraw uznanych za paradygmat Kościoła, a obecny synod podejmuje jeden z paradygmatów – istotną dla Kościoła kwestię sposobu rozumienia rodziny i małżeństwa. Dla patrzących z daleka rzecz się sprowadza do kwestii dopuszczania osób rozwiedzionych i powtórnie poślubionych (cywilnie) do komunii świętej, a pośrednio – do nierozzerwalności małżeństwa. Drugim wyeksponowanym przez media tematem jest określenie stanowiska Kościoła wobec związków partnerskich, w tym homoseksualnych. Mniejsze medialne zainteresowanie zdają się budzić tematy antykoncepcji, *in vitro* i *gender*, które także zostaną podjęte na synodzie.

Sobór Watykański II poprzedziły dziesięciolecia pracy wielkich teologów i dramatycznej niekiedy debaty teologicznej. Dziś taka debata również się toczy, o czym świadczy wydrukowany przez „Tygodnik Powszechny” wywiad z kardynałem Christophem Schönbornem. Polaryzacja stanowisk nie jest wymysłem dziennikarzy. Podział na obrońców dotychczasowego sposobu rozumienia doktryny i dotychczasowej praktyki duszpasterskiej Kościoła oraz na zwolenników zmian jest oczywisty. Materia sporów rozciąga się od kwestii „między rygoryzmem

i miłosierdziem” (artykuł teologa emeryta Domu Papieskiego kardynała Georges’a Cottiera w „La Civiltà Cattolica”) po kwestie egzegetyczne (książka teologa i patrologa, profesora Papieskiego Instytutu Biblijnego, kameduły Guida Innocenza Gargano, który dowodzi, że Jezus nie zniósł danego ze względu na „twardość serc” Mojżeszowego prawa do rozwodu).

Watykaniści skrzętnie odnotowują głosy kardynałów i biskupów – zwolenników utrzymania dotychczasowych zasad duszpasterskich i doktrynalnych w kwestii sakramentu małżeństwa – oraz ich książki. Wstęp do jednej z nich (*Bóg albo nic*), prefekta Kongregacji do spraw Kultu Bożego kardynała Roberta Saraha, napisał sekretarz Benedykta XVI arcybiskup Georg Gänswein, a sam papież emeryt skierował do autora list z gratulacjami.

Niektórzy komentatorzy, na przykład Sandro Magister, uważają, że Franciszek przez nominacje na kluczowe funkcje synodalne i kompozycję listy zaproszonych przez siebie uczestników synodu (nominacje i pominięcia, na przykład niezaproszenie kardynała Ennio Antonellego, przez pięć lat przewodniczącego Papieskiej Rady do spraw Rodziny) stara się wspierać skrzydło zwolenników zmian w duchu kardynała Waltera Kaspera. Jest w tym sporo racji: papież nie ukrywa przekonania, że w wielu sprawach Kościoła wymaga odnowy, szuka więc sprzymierzeńców. Jednak na synodzie będą poważnie reprezentowani także zwolennicy *status quo*.

Można na to patrzeć jak na walkę PiS-u z PO, ale w ten sposób niczego się nie zrozumie. Bo w tym sporze wszystkim chodzi nie o władzę, tylko o prawdę Ewangelii, a ostatnie słowo – wierzę w to głęboko – i tak będzie miał Duch Święty.

KOŚCIÓŁ TO NIE MUZEUM

Kiedy świat zdaje się dygotać z niepokoju, kiedy analitycy sytuacji międzynarodowej przebąkują o możliwości III wojny światowej, a miliony imigrantów i uchodźców stawiają Europę przed nieznanym dotychczas wyzwaniem, kiedy media codziennie donoszą o zamachach na Bogu ducha winnych ludzi – w Rzymie synod biskupów obraduje nad powołaniem i misją rodziny w Kościele i świecie współczesnym. Pasterze wspólnoty liczącej 1,254 miliarda wiernych rozsianych po całym globie, jakby oderwani od tego, co się dzieje wokół, zgłębiają naukę Ewangelii o małżeństwie i rodzinie, konfrontując z nią znaki czasu, którymi – jak powiedział jeden z nich – niekoniecznie są krążące dziś w powietrzu problemy. Świat od synodu oczekuje przynajmniej sensacji. Lecz oni...?

Jeden z trzech przewodniczących delegatów synodu, kardynał André Vingt-Trois, mówi: „Jeżeli przyjechaliście do Rzymu z ideą spektakularnych zmian doktrynalnych, wyjedziecie rozczarowani”. Sekretarz specjalny synodu arcybiskup Bruno Forte uzupełnia, że „synod nie po to się zgromadził, by niczego nie powiedzieć”, i że zamierza szukać sposobów „zbliżenia Kościoła do mężczyzn i kobiet naszego czasu”. „Jesteśmy tu po to – wyjaśnia – aby pozostając wierni nauce Kościoła, być pasterzami, którzy towarzyszą wiernym”.

I choć na synodzie często się mówi o „nowych wyzwaniach”, o „aktualnych problemach rodziny” i tym podobnych, to wrażenie dystansu wobec aktualnych wydarzeń na świecie pozostaje: oto 270 przedstawicieli przybyłych z całego świata do Rzymu debatuje o... drodze do zbawienia ludzi żyjących w rodzinach. Bo przecież ostatecznie o to w tych wszystkich synodalnych debatach i sporach chodzi.

Niektórzy się irytują: dlaczego ci, którzy nie zakładają rodzin, debatują o rodzinie? Odpowiadam im: spokojnie, poczytajcie relacje z pracy grup językowych, a zrozumiecie, że oni rozmawiają o tym, jak Kościół może pomóc rodzinie, a nie, jak czasem bywało, utrudniać jej i tak trudne życie. Są ludźmi wierzącymi w Boga, w Ewangelię Jezusa Chrystusa i tam szukają wskazań, nawet wtedy, kiedy się spierają co do proponowanych odpowiedzi. Kościół, przy wszystkich swych ludzkich

mankamentach, jest instytucją opartą na wierze i stąd jego zdolność do naprawiania własnych błędów, samooczyszczenia i reform, niekiedy zaskakujących.

Niektórzy się irytują: dlaczego ci, którzy nie zakładają rodzin, debatują o rodzinie?

Kto patrzy na synod jak na mecz piłki nożnej, a nie w optyce wiary, nie rozumie Kościoła i nic dziwnego, jeśli będzie go podejrzewał o skryte knowania, zmierzające do utrzymania i poszerzenia swej władzy. Niestety, zdarzało się, że ludzie Kościoła dawali do takich podejrzeń podstawy. Ale to ludzie Kościoła – nie Kościół, nie papież, nie synod.

Wielkość mojego Kościoła widzę między innymi w tym, że w rozdygotanym, często przerażającym świecie żyje swoim rytmem, że chce i potrafi skupić swe najlepsze siły po to, by zajmować się sprawami pozornie tak oderwanymi od życia jak wieczne zbawienie, dobro, prawda, szczęście i relacja człowieka z Bogiem. Zajmuje się tym nie po to, żeby korygować innych, ale siebie. Krytycznie rewiduje własne nauczanie, własną praktykę duszpasterską, własną przeszłość. Relacje z dyskusji w synodalnych grupach językowych pokazują, że ich uczestnicy nie są – jak niektórzy chętnie sugerują – gronem sklerotyków, oderwanych od rzeczywistości fanatyków czy też cynicznych graczy. Może to się komuś wydać dziwne, ale z tej lektury niedwuznacznie wynika, że im chodzi o to, by rzeczywiście dobrze służyć ludziom.

Wielkość mojego Kościoła widzę między innymi w tym, że w rozdygotanym, często przerażającym świecie żyje swoim rytmem.

Na niedawnym zjeździe Klubów „Tygodnika” obecny tam teolog wyraził wątpliwość, czy ten synod i związany z nim wysiłek w ogóle na coś się przydadzą. Otóż Kościołowi przyda się na pewno, przynajmniej jako wielka lekcja myślenia

o świecie i ludziach, wśród których żyje. Tak, żyje – bowiem „Kościół to nie muzeum”, jak zauważył papież Franciszek, otwierając prace synodu.

TERAZ CZAS NA PAPIEŻA

Synod biskupów zapisze się w annałach kościelnych jako synod ostrych kontrowersji. Choć trzeba pamiętać (pisałem już o tym), że nie można patrzeć na synodalną debatę jak na mecz piłkarski: spierającym się stronom chodzi o to samo, o dobro Kościoła, który wierny nauce Chrystusa ma prowadzić człowieka do zbawienia. Chrystus powiedział Apostołom, że teraz jeszcze nie są w stanie wszystkiego zrozumieć i Duch Święty w przyszłości będzie ich oświecał. Historia dogmatów i w ogóle kościelnego nauczania pokazuje ten proces: z jednej strony coraz lepszego rozumienia Ewangelii, z drugiej – obrastania nauki Kościoła całkiem ludzkimi koncepcjami rodem z kolejnych epok. Franciszek w *Evangelii gaudium* zauważa za Tomaszem i Augustynem, że „przykazania dane ludowi Bożemu przez Chrystusa i przez apostołów »są bardzo nieliczne«” i że „w przykazaniach dodanych później przez Kościół należy przestrzegać umiaru, »aby życie wiernych nie stało się zbyt uciążliwe« oraz aby nie przemienić naszej religii w niewolę, skoro »miłosierdzie Boże chciało ją mieć wolną«”.

24 października 2015 roku dorobek synodu w postaci obszernej *Relatio finalis* jego uczestnicy przekazali papieżowi. Przypomnijmy, że synod, ze swej definicji, jest ciałem doradczym i że ostatnie słowo należy do następcy Piotra. Franciszek doskonale wie, na czym polega jego misja. W przemówieniu (z 17 października), w którym mówił o synodalności Kościoła, przypomniał jednak, że misją papieża jest wypowiadać się „nie w oparciu o własne przekonania, ale jako najwyższy świadek wiary całego Kościoła, gwarant posłuszeństwa i poddania Kościoła woli Boga, Ewangelii Chrystusa i Tradycji Kościoła”. Synod pokazał istniejące w Kościele nurty myślenia, zaś od następcy Piotra zależy, jaki to będzie miało wpływ na życie Kościoła. Teraz czas na papieża.

Zadanie nie jest łatwe, o czym świadczy choćby to, że głosowana paragraf po paragrafie *Relacja końcowa* bynajmniej nie została przyjęta jednomyślnie. Paragrafy dotyczące rozwiedzionych i żyjących w nowych związkach wyraźnie nie satysfakcjonowały części ojców synodalnych, chociaż nie jest w nich użyte słowo

„komunia”, lecz ostrożnie mówi się o włączaniu w życie Kościoła tych osób i o rozróżnianiu poszczególnych sytuacji.

Trudno w tej chwili nie myśleć z troską o Franciszku, który często idzie pod prąd, wywołując wrogie reakcje ludzi poczuwających się do obrony prawdziwej wiary i Kościoła. Przykład możemy znaleźć i u nas. Właśnie się ukazała poświęcona Franciszkowi książka, której autor Antonio Socci – jak pisze – „posłuchał wołania sumienia” i dał wyraz swojemu (twierdzi, że także „mnóstwa ludzi”) zakłopotaniu i zgorszeniu. Autor dowodzi, że Benedykt XVI nigdy nie przestał być głową Kościoła, że Franciszek nie został – z dość zawile przedstawionych racji proceduralnych – ważnie wybrany, że w jego działalności spełniają się najbardziej ponure wizje losów Kościoła przepowiedziane przez Leona XIII, Katarzynę Emmerich, Valtortę, Matkę Bożą w Fatimie (utajniony przez Watykan fragment objawień), innych mistyków, pisarzy, myślicieli. Socci zresztą przeszedł niewątpliwą ewolucję. W wydanej u nas w 2012 roku książce *Czwarta tajemnica fatimska* dawał do zrozumienia, że Antychryst, który ma się wedrzeć do Kościoła (lub jego wysłannik), to Jan XXIII, zaś Sobór Watykański II to owoc działalności Antychrysta. W nowej książce Jan XXIII jest pozytywnym punktem odniesienia, podobnie jak Sobór. Bo okazuje się, że teraz Antychryst działa przez Franciszka.

**Trudno w tej chwili nie myśleć z troską o Franciszku,
który często idzie pod prąd.**

Nie wiem, jak Socci odebrał to, co papież powiedział 17 października, nie wiem, czy go uspokoiło przemówienie na zakończenie synodu (24 października) i wspaniała homilia u Świętego Piotra 25 października. Obawiam się, że nie.

JAK DOBRY ESEJ O RODZINIE

Posynodalną adhortację papieża Franciszka *Amoris laetitia* z marca 2016 roku czyta się jak napisany przez doświadczonego księdza esej o życiu rodzinnym. Esey z przykładami, nawet ze scenkami z życia, także ze wskazaniem duszpasterskimi wynikającymi z doświadczenia.

Ale jest to także dokument Magisterium. Dokument specyficzny: „Biorąc pod uwagę niezliczoną różnorodność poszczególnych sytuacji (...) można zrozumieć, że nie należy oczekiwać od synodu ani też od tej adhortacji nowych norm ogólnych typu kanonicznego, które można by stosować do wszystkich przypadków. Możliwa jest tylko nowa zachęta do odpowiedzialnego rozeznania osobistego i duszpasterskiego indywidualnych przypadków, które powinno uznać, że ponieważ stopień odpowiedzialności nie jest równy w każdym przypadku, to konsekwencje lub skutki danej normy niekoniecznie muszą być takie same”.

Nie jest to dokument łatwy. Papież zachęca do „zglobiania jego kolejnych części”. Jako prosty ksiądz, który wciąż ma do czynienia z dramatycznymi problemami ludzi wierzących, czuję, że te problemy są doskonale autorowi znane. Papież nie teoretyzuje, zna życie i wie, o czym mówi. Częste w tekście odwołania do synodu dowodzą, że i uczestniczący w nim biskupi nie byli oderwani od rzeczywistości. Język tej adhortacji odbiega od języka wcześniejszych takich dokumentów. Przyznaję, że nie całkiem z tym językiem daję sobie radę. Nie wiem na przykład, czy w delikatnej sprawie osób rozwiedzionych i żyjących w nowych, niesakramentalnych związkach moje „towarzyszenie” im na drodze rozeznania, „zgodnie z nauczaniem Kościoła i wytycznymi biskupa” (co takie wytyczne mogą zawierać?), ma prowadzić do udzielenia pełnej „integracji” z Kościołem, czyli do sakramentalnego rozgrzeszenia.

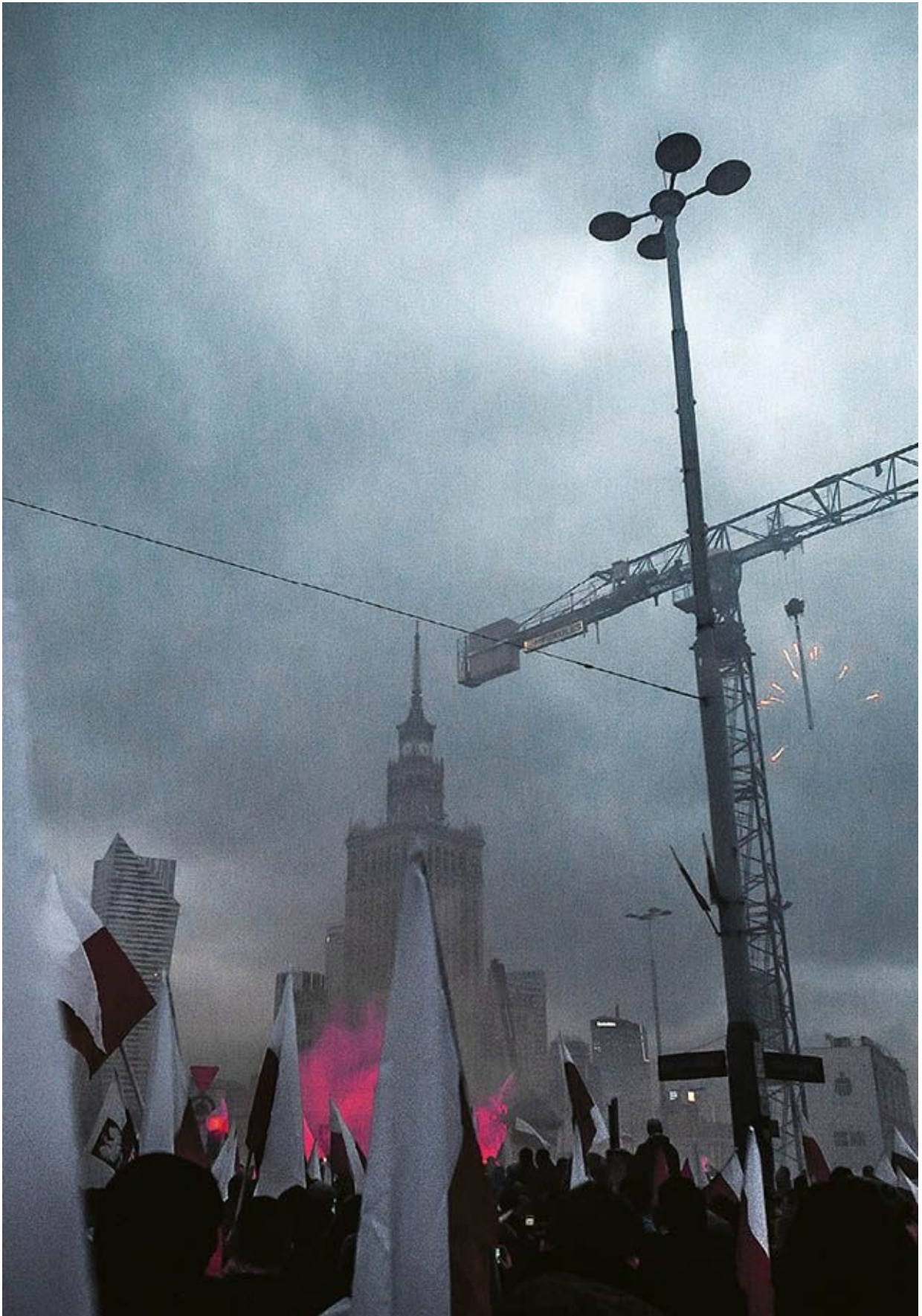
Zainteresowanie synodami i posynodalną adhortacją skupiło się właśnie na kwestii dopuszczenia do komunii świętej osób rozwiedzionych żyjących w nowych związkach. Pytano wprost, czy Kościół katolicki będzie teraz dopuszczał rozwody i rozgrzeszał konkubinaty. Tego w papieskim dokumencie nie ma. A odpowiedź

Franciszka na pytanie o dostęp tych osób do komunii nie jest tak jednoznaczna jak u Jana Pawła II (często w adhortacji cytowanego).

Odpowiedź Jana Pawła II była jednoznacznie negatywna. Franciszek mówi o różnym stopniu odpowiedzialności za rozpad małżeństwa i w konsekwencji o zróżnicowaniu stopnia winy – czytaj: grzechu. Można więc sądzić – co nie jest wprost powiedziane! – że osąd własnego sumienia oraz ocena spowiednika mogą być podstawą do rozgrzeszenia i otwarciem drogi do Eucharystii. Rozdział VIII, mimo wszystkich zawartych w nim zastrzeżeń i wyjaśnień, czytany przez zwykłego księdza wymaga bardziej precyzyjnego i autorytatywnego komentarza bez niedomówień.

Wobec niedawnych sporów wokół ewentualnej zmiany ustawy o aborcji szukałem inspiracji w tekście adhortacji. Tymczasem papież, który rozwodzi się na przykład nad budowaniem zgody w rodzinie, nad przygotowaniem do małżeństwa – tej problematyce poświęca niecałe dwa akapity. „Jeśli rodzina jest sanktuarium życia – pisze – to straszliwą sprzeczność stanowi jej przekształcanie się w miejsce, gdzie życie jest odrzucone i niszczone. Wartość życia ludzkiego jest tak wielka, tak niezbywalne jest prawo do życia niewinnego dziecka rozwijającego się w łonie swojej matki, że w żaden sposób nie można przedstawiać możliwości podejmowania decyzji w odniesieniu do tego życia, jakby chodziło o prawo do własnego ciała” (93). W innym miejscu (166) znajduje się piękny fragment o przyjęciu życia: „Rodzina jest nie tylko środowiskiem zrodzenia, ale także przyjęcia życia jako daru, który pochodzi od Boga. Każde nowe życie pozwala nam odkryć najbardziej bezinteresowny wymiar miłości, nieustannie nas zadziwiający”. Wskazuje na piękno bycia „kochanymi najpierw”: „Dzieci są kochane, zanim przyjdą na świat. Odzwierciedla to prymat miłości Boga, który zawsze podejmuje inicjatywę, ponieważ dzieci są kochane, zanim zrobią cokolwiek, by na to zasłużyć”.

Także problem antykoncepcji w dokumencie został ledwie śladowo poruszony. Czytelnik przyzwyczajony do pojawiania się tych problemów w dokumentach kościelnych musi zauważyć tę zmianę akcentów. I pytać, co to oznacza.



fot. Karol Makurat/REPORTER

Polska

ZMIANA

CZY WSZYSTKO I WSZYSTKICH TRZEBA ZMIENIĆ

Kluczowym słowem kampanii wyborczej z 2015 roku zdaje się słowo „zmiany”. W moim długim życiu przeżyłem trzy zmiany politycznego systemu, w tym tylko o jednej mogę powiedzieć, że była na lepsze (nie chodzi o mniej lub więcej znaczące przesunięcia personalne, jak z Gomułki na Gierka, ani o jakieś korekty systemu, ale o zmiany „wszystkiego”).

Pierwsza przeżyta przeze mnie taka zmiana nastąpiła w roku 1939. Świat, który się wydawał pewny i bezpieczny, przestał istnieć. Czas „przed wojną” i czas okupacji oddzieliła przepaść.

Druga zmiana to Polska Ludowa, której narodzinom czy instalowaniu towarzyszyłem od początku: hasła sprawiedliwości, równości i rozkwitu, które, jak wiadomo, przyciągnęły ludzi całkiem porządnych, hasłami pozostały, a rzeczywistość okazała się ponurą, chwilami straszną egzystencją. Aż do kolejnej zmiany w roku 1989.

Ta zmiana, wreszcie na lepsze, okazała się trudna. Rozpoczęło się budowanie normalnego, demokratycznego, niepodległego państwa ze społeczeństwem, które przez pół wieku żyło w państwie nienormalnym. Nad nami unosił się duch *homo sovieticus*. Na państwo, pewnie mimo woli, patrzyliśmy wedle starych przyzwyczajzeń, jak na „onych”. Mówiliśmy wtedy, na początku przemian, że prawdziwa zmiana wymaga – jak u Żydów w drodze z „domu niewoli” do Ziemi Obiecanej – czterdziestu lat, czyli wymiany pokoleń, by się odmienić i unieść „nieszczęsny dar wolności”. Upłynęło 26 lat i dzisiaj, gdyby prezydenta wybierali ludzie w wieku 18–29 lat, zostałby nim Paweł Kukiz, który – jak trafnie powiedział dr hab. Rafał Chwedoruk – „po prostu krzyczał: »Precz ze wszystkimi«”. W rozmowie z „Newsweekiem” Chwedoruk tak to skomentował: „Ci młodzi ludzie przez ostatnie ćwierć wieku, czyli w przypadku wielu z nich od urodzenia, byli wychowywani w duchu pogardy dla instytucji publicznych. Ich zdaniem państwo, poza policją i wojskiem, jest niepotrzebne. Dlatego Kukiz to inny wariant Janusza Korwin-Mikkego, trochę bardziej dostosowany do realiów popkultury”.

Bez doświadczeń poprzedniego pokolenia, ze słabą formacją historyczną, ci młodzi ludzie głosowali na Kukiza tak, jak w wyborach do Parlamentu Europejskiego na Korwina-Mikkego, a w przeszłości na Palikota. Wszyscy ci kandydaci czarowali tym jednym słowem: „zmiana wszystkiego”. Bo przecież chyba nie byli i nie są zapamiętaliśmy zwolennikami JOW (Jednomandatowych Okręgów Wyborczych), systemu zresztą o dość wątpliwej w odniesieniu do ich oczekiwań skuteczności.

Klasa polityczna, wiadomo, nie budzi najlepszych uczuć. Nie wszystkie reformy wprowadzane przez kolejne ekipy przyniosły pozytywne rezultaty, a niekiedy wprost przeciwnie, nie dziwi więc oczekiwanie „zmiany wszystkich”, wyrażone w głosach młodego elektoratu. Pomijając zakres konstytucyjnych możliwości prezydenta oraz ograniczone środki, jakimi dysponuje nasze państwo – frustrację młodych można zrozumieć.

Pozytywnie należy też ocenić to, że bój toczy się przy urnach wyborczych, a nie na ulicach. Jeśli dzisiaj młody elektorat ulega czarowi utopijnych obietnic nie do spełnienia albo urokowi nowej na politycznym forum uśmiechniętej twarzy, to za lat kilka ten sam elektorat już nie będzie młody. Można mieć nadzieję, że zachowa pasję ulepszania kraju, a na własnej skórze się nauczy, że same zmiany, zwłaszcza „zmiany wszystkich i wszystkiego”, niekoniecznie zawsze są zmianami na lepsze. Czasem wprost przeciwnie. W nie tak odległej przyszłości oni, dzisiejsi wyborcy Kukiza, nie tylko będą wyborcami – będą rządzić Polską. Wtedy przyjdą nowi młodzi z krzykiem, że wszystko i wszystkich trzeba zmienić.

NIE MAM DOBRYCH PROGNOZ DLA KOD-U

Nazwa nawiązuje do szlachetnych tradycji KOR-owskich: „Komitet Obrony Demokracji” – KOD. Powstał jako reakcja na pierwszy tydzień rządów PiS-u. „Demokracja w Polsce jest zagrożona – czytamy w programowym manifestie. – Działania władzy, jej lekceważenie prawa oraz demokratycznego obyczaju zmuszają nas do wyrażenia stanowczego sprzeciwu. Nie chcemy Polski totalitarnej, zamkniętej dla myślących inaczej, niż każe władza, nie chcemy Polski pełnej frustracji i żądy rewanżu. Chcemy, żeby w Polsce było miejsce dla wszystkich Polaków, równych wobec prawa, z ich przekonaniami, opiniami, etyką i estetyką. Nie godzimy się na zawłaszczanie państwa, dzielenie Polaków na lepszych i gorszych, pogardę dla »innego«. Nie ma też naszej zgody na poglądy godzące w zasady demokracji i prawa człowieka”.

Nie ma zgody? Hm... zależy czyjej, bo obawiam się, że dość powszechna zgoda jest. Nie chcę uwłaczać „przeciętnemu” wyborcy czy obywatelowi, lecz przypuszczam, że na przykład w sporach o mianowanie sędziów Trybunału Konstytucyjnego uwagę wyborcy / obywatela nade wszystko przyciągnął upór każdej ze stron, by mieć w Trybunale „swoich” ludzi. Czyli punkt widzenia (sędziego TK!) na zgodność ustaw z konstytucją nie jest problemem zgodności z konstytucją, ale przysłowiowego „punktu siedzenia” sędziego. Bo dlaczego nie był możliwy kompromis?

Albo idea równości wobec prawa wszystkich Polaków „z ich przekonaniami, opiniami, etyką i estetyką”... Podejrzewam, że nie dla wszystkich jest ona szczególnie porywająca. Większość naszych rodaków raczej dobrze przyjęła reakcję ministra Glińskiego na informację wrocławskiego teatru, że na scenie będzie pokazywany „na żywo” akt seksualny w wykonaniu aktorów porno. Autonomia sztuki autonomią, ale – myśleli usatysfakcjonowani – mamy dość tego szargania świętości i propagowania rozwiązłości. Czemu nie reagujemy – mówili – tak jak reagują wyznawcy islamu albo Żydzi? Ucieszyli się więc, że minister zareagował prewencyjnie. A że komuś to się kojarzy z cenzurą prewencyjną? Trudno. Zresztą

dobra katolicka cenzura by się przydała...

Kolejna rzecz: jesteśmy narodem chrześcijańskim i gościnnym, jednak wątpię, aby nasz chrześcijański naród – a przynajmniej jego znaczna część – ubolewał z powodu zmiany stanowiska Polski w sprawie przyjmowania / nieprzyjmowania uchodźców. Że przyjęły ich inne kraje Europy? Tym gorzej dla nich. My ich nie chcemy, pozarządzają nas swoimi chorobami, kościoły przerobią na meczety i ostatecznie nas wymordują...

Prawo łaski zaaplikowane przez prezydenta w trakcie procesu też wzbudziło dobre uczucia. Proces (kto dziś pamięta i rozumie, o co w nim chodzi?) był manipulacją polityczną, której dobry prezydent kres położył. Kogo obchodzą jakieś jurydyczne subtelności? Niewinnego człowieka oczyścił i wyzwolił.

Nie, nie mam dla KOD-u dobrych prognoz na najbliższą przyszłość. Wątpię, aby takie wartości jak praworządność, bezstronność w sądach czy lojalność wobec Europy były u nas w cenie. „Prawo jest ważną rzeczą, ale prawo to nie świętość. (...) nad prawem jest dobro narodu! Jeśli prawo to dobro zaburza, to nie wolno nam uważać go za coś, czego nie możemy naruszyć i zmienić. To mówię – prawo ma służyć nam! Prawo, które nie służy narodowi, to jest bezprawie!” – te słowa posła Kornela Morawieckiego w Sejmie oklaskali na stojąco posłowie Zjednoczonej Prawicy, ale podejrzewam, że znaczna część narodu – nie zastanawiając się, co znaczy „prawo ma służyć nam” i kto decyduje o „dobru narodu” – także oklaskiwałaby je na stojąco.

Nie wiem, czy KOD przekona do swoich tez społeczeństwo. Jeśli jednak jego rozeznanie jest słuszne, to nie on będzie przekonywał społeczeństwo, ale społeczeństwo przekona się samo. KOD-owi życzę: trwajcie, róbcie swoje. Rządzącym: nie lekceważcie KOD-u, choć wydaje się wam taki mały.

ZDZIWIENIE

Dziwicie się sondażom, które wskazują, że tak zwany zwykły człowiek, Polak, katolik woli PiS od liberałów, lewicowców, nowoczesnych? Dziwicie się, że zwykły człowiek nie był zachwycony oświadczeniem premiera tamtego rządu, że nie będzie klękał przed biskupami (czy naprawdę biskupi tego oczekiwali?), że nie był zachwycony perspektywą legalizacji jedнопłciowych małżeństw, nauczaniem *gender* (cokolwiek przez to słowo rozumieć) w przedszkolach? Czy na pewno „zwykły człowiek” był za refundowaniem przez NFZ zapłodnień *in vitro*, przeciw którym występują jego biskupi?

„Zwykły człowiek” nadal nie rozumie operacji dokonanej na OFE i czuje się oszukany. Nie rozumie, czemu nie wyjaśniono mu kilku głośnych afer, na przykład afery hazardowej. Nie zastanawiał się nad znaczeniem Trybunału Konstytucyjnego, ale kiedy teraz słyszy, że TK jest ważny i bezstronny, to się dziwi przedterminowemu i – jak się okazało – niezgodnemu z prawem wyborowi na zapas „swoich” sędziów tuż przed końcem poprzedniej kadencji.

Słyszając z jednej i drugiej strony zapewnienia, że w sporze o TK obu stronom chodzi o obronę konstytucji, niekoniecznie będzie przeciw poczynaniom PiS-u. Do lepszej gospodarki, lepszych dróg i poprawy jakości życia „zwykły człowiek” szybko przywykł i traktował to jako stan naturalny. Zagrożeń nie widzi, bo bardziej przemawia mu do wyobraźni 500 plus realnie wypłacane niż spekulacje ekspertów, jak to w przyszłości się odbije na finansach państwa. Margaret Thatcher ostrzegła: „Państwo niczego nie daje, bo niczego nie ma. Jeśli rząd twierdzi, że daje komuś, znaczy, że zabiera tobie. Rząd nie ma własnych pieniędzy”. Ale nasz rząd nie zamierza zabierać nam, lecz sklepom wielkopowierzchniowym, oszustom podatkowym oraz opłacanym nad miarę dygnitarzom. Rodzinom daje pieniądze na dzieci. Tym, co mają płacę minimalną – około 8,4 procenta pracujących – obiecuje podniesienie wynagrodzeń. Dla nich to po prostu „lepsza zmiana”. Tym, że z podniesieniem płacy minimalnej wzrośnie koszt pracy (ubezpieczenia, podatki i tak dalej), co źle wpłynie na zatrudnienie, nikt się teraz nie przejmuje.

A Kościół? Episkopat w zasadzie zachowuje dystans. Są wyjątki, sam słyszałem, jak arcybiskup Andrzej Dzięga nazwał wynik ostatnich wyborów cudem. Inna sprawa, że dla wielu obliczem naszego Kościoła jest ojciec Tadeusz Rydzyk i Radio Maryja. Czy można się dziwić wiernym słuchaczom toruńskiej rozgłośni, że po zapewnieniu Jarosława Kaczyńskiego po wyborach: „Ojczyce Dyrektorze, bez ciebie nie byłoby tego zwycięstwa”, nie mają wątpliwości, która strona barykady jest słuszna? Obecność – niemal *in corpore* – Episkopatu na konsekracji kościoła ojca Rydzyka w Toruniu tylko tę pewność umocniła.

Jeśli mówimy o zdziwieniu, trudno nie dopuścić myśli, że jest ono także udziałem tych po drugiej stronie. Przecież nie wszyscy tam wierzą, że pochody KOD-u to manifestacje frustratów „oderwanych od stołków” i pozbawionych przywilejów oraz otumanionych przez nich przygłupów. Przecież nie wszyscy tam wierzą, że uniwersyteckie wydziały prawa, prawnicze organizacje, wybitni polscy i zagraniczni prawnicy zawiązali w sprawie TK antypisowski polityczny spisek. Czy nie ma tam zdziwienia permanentnym psuciem dobrych stosunków z Unią Europejską i państwami, na których nam powinno zależeć? Czy nikogo nie dziwią tam przynajmniej niektóre krytyki pod adresem rządu i parlamentu, które trudno tłumaczyć zaślepieniem walczących o władzę?

Jednych dziwi łatwość, z jaką ludzie są gotowi zaufać wszystkim deklaracjom władzy, innych bezinteresowny sprzeciw idących przeciw prądowi. Platon uznał zdziwienie za początek mądrości. Inni uważają je za początek kłopotów. Dobre zdziwienie prowadzi do mądrości, czyli pytań, i do starannej analizy tego, co zadziwia. Dziwmy się i – zamiast inwektyw oraz argumentów „a za waszych rządów...” – zajmujmy się konkretnymi zdziwieniami. Tego się trzymamy w naszym piśmie, zmierzając od zdziwienia do mądrości, co daj Boże.

**Jednych dziwi łatwość, z jaką ludzie są gotowi zaufać
wszystkim deklaracjom władzy, innych
bezinteresowny sprzeciw idących przeciw prądowi.**

WIERZĘ W KOŚCIÓŁ PONADPARTYJNY

W czasach PRL-u, w sporach władz PRL z Solidarnością, Kościół był wzywany do pełnienia roli mediatora, co nie budziło poważniejszych wątpliwości. W toczącym się wiosną 2016 roku sporze o Trybunał Konstytucyjny, który w gruncie rzeczy jest sporem o ustrój Rzeczypospolitej, nikomu nawet na myśl nie przyszło proшение Kościoła o arbitraż. Prawda: strona rządowa raczej nie poszukuje arbitrażu, a jeśli nawet o taki poprosiła Komisję Wenecką, to wiadomo, jaki był ciąg dalszy. Niemniej jednak zastanawia zmiana miejsca Kościoła (Episkopatu) na mapie autorytetów.

Niemniej jednak zastanawia zmiana miejsca Kościoła (Episkopatu) na mapie autorytetów.

Od czasu do czasu, tu i ówdzie pojawia się pytanie, dlaczego w tym trudnym dla kraju momencie Episkopat milczy. W listach pasterskich na Wielki Post 2016 – a więc w okresie narastającego napięcia wokół TK – biskupi skupili się na tematyce religijnej, o co oczywiście trudno mieć do nich pretensję. Czyżby zostało wysłuchane powracające w różnych kontekstach wołanie, by Kościół nie ingerował w życie polityczne? Nie sądzę. Episkopat wielokrotnie stwierdzał, że się poczuwa do obowiązku zabierania głosu w sprawach publicznych, by ukazywać je, oceniać i komentować w perspektywie Ewangelii.

Tak więc nic dziwnego, że szary katolik, słysząc z jednej strony od poważnych i kompetentnych ludzi argumenty za tezą, że PiS dokonuje zamachu na demokratyczny ład, wolność, sprawiedliwość i tak dalej, odczytując opinię wezwanej na arbitra poważnej instytucji międzynarodowej, a z drugiej słysząc, że wprost przeciwnie, że to Trybunał i jego obrońcy naruszają praworządność, czuje się w tym sporze zagubiony. Czy to dziwne, że nie wie, co myśleć, kiedy po parogodzinym oglądaniu posiedzenia Trybunału i wysłuchaniu prowadzonej tam śmiertelnie poważnej debaty dowiaduje się od przedstawiciela swojej legalnej władzy, że to nie była rozprawa, lecz spotkanie sędziów przy kawie zagryzanej ciasteczkami? Czy

można się dziwić, że w tym zamęcie i wobec milczenia biskupów zaczyna wątpić w siłę katolickiej nauki społecznej? Bo wygląda na to, że w zderzeniu z konkretnym dylematem ta nauka nie ma nic do powiedzenia.

Nie dziwię się więc oczekiwaniom na głos pasterzy Kościoła nawołujący do opamiętania. Tymczasem, poruszając się na oślep pośród zawilosci prawnych (nie wszyscy w końcu jesteśmy biegłymi konstytucjonalistami), stajemy się coraz bardziej podzieleni, raczej pod wpływem naszych emocji i sugestywnego działania mediów z obu stron barykady niż na podstawie znajomości rzeczy.

Nie dziwię się też, iż milczenie Episkopatu tłumaczy się tym, że w swej większości Episkopat jest propisowski i że po rządach liberalnej PO, z którą miał wciąż kłopoty, tocząc spory a to o Fundusz Kościelny, a to o *in vitro*, *gender* i tym podobne, trudno mu stawać przeciw partii, której prezes publicznie oświadcza, że „fundamentem polskości jest Kościół i jego nauka” oraz że „nie może być Polski bez Kościoła”; przeciw partii, której rząd przyznaje „kościelnej instytucji” (czytaj: instytucji ojca Rydzyka) wielkie pieniądze, ogłaszając ją (tę „kościelną instytucję”) ważnym sojusznikiem. Niestety, tak to się jawi oczom szarego polskiego katolika.

Wiem, że nie zawsze jest czas odpowiedni do publicznego zabierania głosu przez biskupów. Wiem, że niekiedy doświadczenie Kościoła przemawia przeciw spektakularnym, publicznym wystąpieniom, lecz za wyborem drogi dyskretnej mediacji. Może teraz taką drogę wybrał nasz dostojny Episkopat. Bo z pewnością na to, co się dzieje, nie patrzy obojętnie.

Tak, przyznaję: czekam na głos Episkopatu w sprawie dokonujących się w Polsce ustrojowych przemian. Wierzę w Kościół ponadpartyjny, który, jak już nieraz pokazał, potrafi iść przeciw prądowi. Mam nadzieję, że będzie to głos na tyle silny i klarowny, iż wpłynie na bieg wydarzeń, i modłę się, żeby się rozległ w porę i powstrzymał pogłębiający się z dnia na dzień podział naszej wspólnoty wierzących i w ogóle naszego społeczeństwa. Zanim dojdzie do zmian nieodwracalnych i skutków, które dziś przekraczają naszą wyobraźnię.

BRODACZKA KĘPKOWA

Czy wszystko jest na sprzedaż? Czy wszystko da się przeliczyć na hektary, metry bieżące i ostatecznie na złotówki? Koniec końców chyba właśnie o to toczy się spór wokół wycinki w Puszczy Białowieskiej.

Czy wszystko da się przeliczyć na hektary, metry bieżące i ostatecznie na złotówki?

Sięgam do internetowego archiwum „Tygodnika Powszechnego” i pod artykułem Michała Olszewskiego – krótko po powołaniu rządu Beaty Szydło rozważaliśmy wtedy, co dla polskiej przyrody będzie oznaczać nominacja Jana Szyszki na ministra środowiska – znajduję w komentarzach (!) ciekawą dyskusję, która dobrze ten spór streszcza. Na twierdzenie o tym, jakoby interwencja człowieka była niezbędna do istnienia i przetrwania Puszczy, przedstawiciel strony ekologicznej odpowiada: „Puszcza rośnie w tym miejscu od ponad 10 tysięcy lat, to dalece dawniej, niż jacykolwiek leśnicy wycięli pierwsze drzewo”. Zdaniem zaś zwolennika wycinki i interwencji człowieka w funkcjonowanie Puszczy: „Ów konflikt »biernej ekologii« z ekologiczną gospodarką leśną można sprowadzić do konfrontacji irracjonalizmu z racjonalnością. (...) Czy racjonalna gospodarka leśna powinna wycofać się z obszaru Puszczy, by dać satysfakcję pewnej grupie pasywnych ekologów?”.

Ekolog tłumaczy, że „rezerwat ścisły [w Puszczy] reprezentuje bioróżnorodność, w szczególności grzybów, porostów i bezkręgowców, nieosiągalną w jakimkolwiek lesie gospodarczym. I o ochronę tej różnorodności przyrodnikom chodzi”. Zwolennik interwencji ironicznie pyta: „Cóż z tego, że taka brodaczka kępkowa czy wątrobowiec wielokształtny umocnią swoje siedlisko, skoro tysiące ludzi związanych z gospodarką surowcami leśnymi stracą podstawę swej egzystencji?”.

Ekolog: „Obumieranie świerków w wyniku »gradacji« kornika jest naturalnym procesem, który na tym malutkim skrawku lasu przyrodnicy chcą obserwować, żeby zrozumieć, jak działa przyroda. Leśnicy twierdzą, że oni wiedzą lepiej, jak przyroda

działać powinna”. Druga strona: „Przykład gradacji kornika drukarza, eliminującego z drzewostanu świerk pospolity, pokazuje, że bez ingerencji człowieka środowisko lasu zostanie zubożone o dość istotny jego element. (...) Gradacje owadów dotyczą nie tylko gatunków domieszkowych, jak świerk (10 procent składu gatunkowego polskich lasów), ale przede wszystkim sosny – a to już ponad 70 procent. Czy można pozwolić na (...) [ich] eliminację na okres co najmniej kilku pokoleń (około 400 lat trwa naturalne odnowienie lasu do stanu zbiorowiska klimaksowego), by dać zadośćuczynienie ekopostulatowi o »nietykalności lasów«?”.

Spór trwa, a w Puszczy Białowieskiej warczą piły. Wszystkim (oczywiście i wyłącznie) chodzi o ratowanie Puszczy. Strony wzajemnie zarzucają sobie ignorancję, która dla przyszłości Puszczy ma mieć fatalne skutki.

Wysłuchując się w argumenty obu stron sporu, laik staje bezradny. Czy to rzeczywiście spór irracjonalizmu z racjonalnością? Komu naprawdę chodzi o dobro Puszczy? A jeśli obu stronom, to czyje racje wyjdą Puszczy na dobre? Jako laik nie wiem, czy rzeczywiście potrzeba 400 lat, żeby bez ingerencji ludzi Puszcza wylizła się z ran zadanych przez kornika drukarza. Czy kornik drukarz zagraża istnieniu Puszczy? Czy może jego atak to powtarzający się w historii epizod, który nie wymaga nadzwyczajnych interwencji? Czy ostatecznie pokonają go, czyli zjedzą – jak do tej pory bywało – jego naturalni konsumenci? Jak na te i inne pytania ma odpowiedzieć sobie ktoś bez sporej kompetencji?

Jednak w tle widzę dającą do myślenia okoliczność: ekolodzy (trudno odmawiać im kompetencji) bronią Puszczy Białowieskiej bezinteresownie. Tymczasem Ministerstwo i Lasy Państwowe, choć twierdzą, że chodzi im o dobro Puszczy (oraz Polski, Polaków, o historyczną pamięć, godność narodu i tak dalej), to jednak z wycinania Puszczy mają profity. Sami twierdzą, że niewielkie, ale zyski mają.

Wiadomo, że rządzący zawsze swoje poczynania zwykli uzasadniać „dobrem narodu” (no bo czym mają uzasadniać: pieniędzmi, nienawiścią do opozycji, żądzą władzy?). Ponieważ wiem, jak to „dobro narodu” często wyglądało, ja, ignorant nie będący dendrologiem, deklaruję moje zaufanie do „irracjonalnych” (?), bezinteresownych ekologów, którym na sercu leży nawet los brodaczkki kępkowej.

OBY NAS NIE POŻARLI

Nie sędzę, by dokonywana latem 2017 roku reforma sądownictwa wstrząsnęła opinią publiczną. Prasowe tytuły i teksty takie jak ten: „Unia zaskoczona przez PiS. Przekroczono czerwoną linię. Pospieszne głosowanie w Sejmie w sprawie reformy sądownictwa to punkt zwrotny dla Polski. PiS na dobre odwraca się od zasady niezależności wymiaru sprawiedliwości” – nie robią większego wrażenia. W odczuciu przeciętnego obywatela bowiem żadna „czerwona linia” nie została przekroczona. Przeciętny obywatel czuje się bezpiecznie i nadal jest gotów głosować na PiS. Przecież – myśli sobie – żyjemy w wolnym kraju. KOD może manifestować (jeśli są ograniczenia, to natury logistycznej). Nie ma cenzury, z telewizji narodowej można się przełączyć na... cokolwiek innego. W kioskach i salonach prasowych leżą pisma od prawa do lewa – pełen wachlarz. Można dowolnie wyjeżdżać za granicę i prowadzić interesy w innych państwach. Towary w sklepach są, samochód można kupić bez przydzielonego przez władze talonu. Państwo się troszczy o mieszkania dla młodych rodzin, przez 500 plus ratuje ojczyznę przed wyludnieniem. Drogi są coraz lepsze, także pociągi, linie lotnicze. Państwo walczy z korupcją i z przestępczością. Ulice są bezpieczne, monitorowane. Nie ma imigrantów. Szara strefa podatkowa się kurczy, pieniędzy (państwu) przybywa. Powstałiśmy z kolan i nie drżymy przed Unią Europejską. Umacnia się tożsamość narodowa, dzieci w szkole nareszcie się dowiadują o żołnierzach wyklętych, o katastrofie smoleńskiej, o tym, kto naprawdę był kim w czasach Solidarności, oraz poznają prawdę o knowaniach uczestników Okrągłego Stołu. Nie ma jeszcze wszystkiego, ale Polskę dopiero teraz podnosimy z ruin. Obywatel katolik doceni, że władza, w przeciwieństwie do dawnych liberałów, szanuje Kościół katolicki i wspiera radiostację, z której rozbrzmiewa jedyny głos katolicki w naszym domu.

A Trybunał Konstytucyjny? A podporządkowanie władzy sądowniczej politykom partii rządzącej? A dzielenie Polaków na różne, antagonizowane wobec siebie „sorty”?... Dla przeciętnego obywatela to sprawy dalekie, niemal abstrakcyjne. Prawdopodobnie do niedawna wielu nawet nie wiedziało, jakie funkcje spełniają

Trybunał Konstytucyjny, Krajowa Rada Sądownictwa czy Sąd Najwyższy. I dalej nie wie, co jest o tym w konstytucji. O co w ogóle chodzi z tymi nienaruszalnymi zasadami, niepodlegającymi decyzjom zwykłej większości. Nie podlegają, więc są niedemokratyczne?

Rzecz w tym, by związanie poczynań władzy publicznej ze sprawiedliwością nie zależało od każdorazowego posiadacza władzy. Bo przecież sprawujący ją nie są wolni od wszelkiego rodzaju namiętności i bywa, że zamiast dbać o dobro wspólne, zabiegają po prostu o władzę dla niej samej. A często będąc stroną w konfliktach społecznych, wykorzystują swoją uprzywilejowaną pozycję.

Tak więc władze publiczne nie tylko chronią zasady sprawiedliwości, ale również im zagrażają. Stąd też nieustanne poszukiwanie skutecznej strategii sprawiedliwości politycznej. Taką strategią jest monteskiuszowska zasada trójpodziału władzy, którą przyjmuje Deklaracja praw człowieka i obywatela, konstytucje większości nowoczesnych państw, także nasza Konstytucja. Stanowi ona, że „Ustrój Rzeczypospolitej Polskiej opiera się na podziale i równowadze władzy ustawodawczej, władzy wykonawczej i władzy sędowniczej”. On ma chronić przed zagarnięciem (oczywiście w imię skuteczności „jedynej prawdy” i „dla dobra obywateli”) władzy niepodzielnej i absolutnej.

Jak mówi John Locke, uznanie absolutnego suwerena oznacza, „że ludzie są tak głupi, iż dążąc do uniknięcia szkód wyrządzanych im przez tchórze czy lisy, będą zadowoleni i będą się czuć bezpiecznie, kiedy pożrą ich lwy”.

Żeby to choć lwy były.

DLATEGO TO ŚPIEWAMY

„Wolność kocham i rozumiem! Wolności oddać nie umiem!” – tak śpiewali w wakacje 2017 roku Polacy manifestujący w Warszawie przed Pałacem Prezydenckim, Sejmem i Senatem oraz w różnych innych miastach Polski.

O wolności napisano mnóstwo. Pisali o niej Arystoteles i Platon, święty Augustyn i święty Tomasz, Hobbes, Sartre, Jan Paweł II i wielu innych. Ale obok pism jest jeszcze bogactwo ludzkich doświadczeń. To do nich się odwołuje wyśpiewywana dzisiaj deklaracja: „kocham, rozumiem... oddać nie umiem”. To doświadczenie uczy, że z wolnością jest jak z powietrzem, chlebem czy dachem nad głową. Kiedy ich nie brakuje, są tak oczywiste, że pozostają poza zasięgiem uwagi. Te „oczywiste” dobra odkrywamy wtedy, kiedy zaczyna ich brakować: „Ile cię trzeba cenić, ten tylko się dowie / Kto cię stracił”.

Niemiecka okupacja była tak straszna, że przyniesione przez Armię Czerwoną wyzwolenie dla mnie, wtedy jedenastolatka, było wielkim doświadczeniem wolności. Potem, choć chcieliśmy w PRL-u żyć normalnie, nastąpił ciąg zderzeń z murem, którym był otoczony ten nasz, niby normalny, świat. Takie było moje pierwsze osobiste doświadczenie barier: tajniak, który w nowo otwartym warszawskim „cedecie”, podsłuchawszy, jak ja, uczeń gimnazjum, mówię do brata coś złośliwego o władzy ludowej, wciąga mnie do windy, zatrzymuje ją między piętrami, pokazuje tajniacką legitymację i ponieważ – mówi – ustrój mi się nie podoba, grozi aresztowaniem (tak!) i represjami wobec rodziny.

Przyszły następne doświadczenia: znajomi wsadzani do więzienia za AK, represje za poglądy, za przyznawanie się do wiary, uwięzienie prymasa Wyszyńskiego, odebranie mojemu zakonowi domu i przymusowe wywiezienie nas, a wszystko po to, żeby stworzyć tam reżimową uczelnię teologiczną, z zamiarem produkowania proreżimowych księży patriotów. Odmowa zameldowania, czyli urzędowej zgody na moje zamieszkanie w Krakowie. Po nocy okupacji obudziliśmy się odcięci od reszty świata. Zagraniczne radiostacje zagłuszano, nie było dostępu do zagranicznej prasy, otrzymanie paszportu, czyli zezwolenia na wyjazd za granicę, było łaską (miałem

kilka odmów). Raz jej zaznałem, lecz gdy wracałem, na granicznej stacji wyprowadzono mnie z pociągu na rewizję, skonfiskowano mnóstwo książek. O wolności słowa przypominał Urząd Kontroli Prasy, Publikacji i Widowisk, czyli cenzura. Każdy tekst, nawet drukowany na powielaczu, był kontrolowany, często masakrowany lub zatrzymywany w całości. Tak, rzeczywiście istniało orwellowskie Ministerstwo Prawdy. Wszędzie czyhały podsłuchy, donosy, inwigilacja (dyskretna lub „ostentacyjna”) tajniaków, którzy przez tygodnie mnie nie odstępowali, kiedy poruszałem się moim fiatem 126 p. I pod byle pretekstem przesłuchania. Do tego policyjne restrykcje wobec Kościoła i pracy duszpasterskiej.

Żyliśmy jak w złym domu dziecka, w którym dyrekcja (państwo, partia) mówi: bądźcie posłuszni, zaufajcie nam, bo my najlepiej wiemy, czego wam potrzeba. To my jesteśmy od myślenia. Wszystko zależało od jedynej słusznej partii, wspieranej przez tajne służby. A my, o zgrozo, nauczyliśmy się w tym żyć. Nie, nie porównuję tu dzisiejszej Polski z PRL. Chodzi mi tylko o moją prywatną lekcję wolności. Każdy z broniących dzisiaj demokracji ma swoją.

Ksiądz Józef Tischner pisał *Nieszczęsny dar wolności* już w czasach, kiedy wolność trzeba było zagospodarowywać, budować instytucje zabezpieczające jej prawa stanowiące w służbie wspólnych interesów. Naprawiać je, ale nie niszczyć.

Dlatego jesteśmy uczuleni na naruszanie instytucji gwarantujących wolność. Przeraza nas myśl, że w ciągu kilku nocy można zniweczyć to, co budowano latami. Dlatego śpiewamy to, co śpiewamy. Po oświadczeniu prezydenta Andrzeja Dudy, który zawetował projekty ustaw o KRS i Sądzie Najwyższym, mogę tylko powtórzyć: trzeba śpiewać o wolności.

ŚMIERĆ PIOTRA SZCZĘSNEGO JEST KRZYKIEM

„A ja wolność kocham ponad wszystko. Dlatego postanowiłem dokonać samospalenia i mam nadzieję, że moja śmierć wstrząśnie sumieniami wielu osób, że społeczeństwo się obudzi i że nie będziecie czekać, aż wszystko zrobią za was politycy – bo nic nie zrobią!” – napisał w pozostawionym dla nas liście Piotr Szczęsny, Szary Człowiek, który w czwartek 19 października w Warszawie pod Pałacem Kultury dokonał samospalenia, a potem – 29 października 2017 roku – zmarł w szpitalu.

Wciąż myślę o Piotrze Szczęsnym. Co może popchnąć człowieka do takiego kroku? Jaka rozpacz? Jakie poczucie bezsilności? Żona pana Piotra, na którą wiadomość o tym, co się stało, spadła jak grom z jasnego nieba, mówi: „Nie mógł wytrzymać tych kolejnych posunięć władzy, kłamstw wypowiedzianych przez polityków. On już tego nie mógł znieść. Rozmawialiśmy o tym, co tracimy jako kraj, że to może być bezpowrotne, nie wiadomo, kiedy coś się uda odbudować”.

Śmierć Piotra Szczęsnego jest krzykiem skierowanym do tych, którzy decydując o losie ojczyzny, śledzą statystyki, wykresy PKB, rozmaite średnie na głowę mieszkańca, trendy i procenty w sondażach; jest dramatycznym wołaniem do nich, żeby wiedzieli, że za tymi makroinformacjami stoi żywy człowiek, wielu żywych ludzi. Niech pamiętają – krzyczy śmierć Piotra Szczęsnego – że całkiem poza partiami i polityką istnieje człowiek, istnieją ludzie, którzy cierpią, bo kochają ojczyznę, są ludzie, dla których los ojczyzny jest równie ważny, a nawet ważniejszy niż ich własny, że w Polsce są jeszcze ludzie, którzy ojczyznę kochają. Nie wszyscy jednakowo. Jedni w trudnych chwilach zaszywają się w mysiej dziurze, by przeczekać, drudzy protestują na ulicach, inni po prostu uciekają z kraju (mówią: „póki można”). Są wreszcie i tacy, którzy twierdzą, że aby coś zmienić, trzeba być blisko rządzących. Ale wciąż są jeszcze tacy Polacy jak Piotr Szczęsny. Oni lepiej niż inni widzą zagrożenia i zniszczenia, które Piotr Szczęsny opisał i piętnastokrotnie w swym liście oprotestował. Był przekonany, że u nas nikt i nic procesu destrukcji nie powstrzyma, jeżeli coś nie „wstrząśnie sumieniami wielu osób”. Jakże rozdzierający musiał być ból, jak ogromne poczucie bezradności, jeśli Piotr Szczęsny, by

wstrząsnąć sumieniami wielu, w pełni świadom, co wybiera, wybrał, jak Jan Palach w Pradze w 1969 roku i Ryszard Siwiec w Polsce w 1968 – samospalenie. Palach napisał: „Mój czyn ma sens, ale nikt nie powinien go naśladować. Studenci powinni zachować życie, aby spełnić jego cele, by żywi mogli wesprzeć walkę”.

Jarosław Mikołajewski w wierszu *Do człowieka który podpalił się pod pałacem kultury w czwartek 19 października 2017* napisał: „chcę dodać że formę pańskiego / sprzeciwu / uważam za najbardziej ze wszystkich szlachetną / spalić się / tak to czytamy / znaczy spalić w sobie / co jeszcze nie zostało spalone w sprzeciwie”.

Dawno minęły czasy, w których Kościół jednoznacznie potępiał każde odebranie sobie życia. Rozwój wiedzy o człowieku sprawił, że do tragedii samobójstwa Kościół podchodzi dziś z wielką ostrożnością. *Katechizm Kościoła katolickiego* uczy, że „nie do nas należy osąd człowieka, zostaje on w rękach Boga. Nie można mówić, że ktoś, kto odebrał sobie życie, został potępiony. Nie powinno się tracić nadziei dotyczącej wiecznego zbawienia osób, które odebrały sobie życie. Bóg, w sobie wiadomy sposób, może dać im możliwość zbawiennego żalu. Kościół modli się za ludzi, którzy odebrali sobie życie” (KKK 2283).

„Chcę dodać, że formę pańskiego sprzeciwu uważam za najbardziej ze wszystkich szlachetną...”.

JA SIĘ NIE ZAPISZĘ

JA SIĘ NIE ZAPISZĘ

Nowy prowincjał ksiądz Tomasz Nowaczek w lipcu 2017 roku udzielił mi pozwolenia na ponowne występowanie w mediach. Dziękowałem wówczas ojcu prowincjałowi. Dziękowałem także wszystkim, którzy z tej okazji wyrazili radość w mailach, SMS-ach, na Twitterze oraz na inne sposoby. Wielką wdzięcznością ogarniałem tych wszystkich, którzy od listopada 2011 roku życzliwie i wiernie mi towarzyszą.

Ostatnie sześć lat było dla mnie czasem niezliczonych spotkań z czytelnikami w różnych miejscach Polski. Organizatorom oraz licznym uczestnikom tych spotkań wciąż jestem wdzięczny za bezcenne godziny wieczornych rozmów na tematy ważne, często zresztą dotyczące problemów wiary. Szczególnie cenna była (i jest) obecność na tych spotkaniach miejscowych duszpasterzy. Dziękuję za nią i w przyszłości zapraszam. Dziękuję wreszcie tym, którzy wtedy, przed sześcioma laty, korzystając z okazji, znęcali się nade mną w mediach. Jak mówi stara dziennikarska zasada: „Nawet z wyzwiskiem, byle z nazwiskiem”.

Zakaz opierał się na przepisach kościelnych, więc ani go nie kwestionowałem, ani nie zabiegałem o jego cofnięcie. Instrukcja Kongregacji Nauki Wiary oraz Normy Konferencji Episkopatu Polski ustalają, że w uzasadnionych przypadkach wyższy przełożony może zakonnikowi swojego instytutu zakonnego zabronić wypowiedzania się w mediach (Normy, 21 oraz Instrukcja, 2d). Wiedziałem, że prawodawca nie stworzył katalogu „uzasadnionych przypadków”, pozostawiając pole dla roztropnego rozeznania (moich) przełożonych. Prawo kościelne podkreśla przecież, że zakaz wypowiedzania się w mediach jako kara za naruszenie dyscypliny kościelnej powinien być stosowany jako ostatni, po wyczerpaniu wszystkich innych możliwych środków zaradczych (por. kan. 1341 KPK).

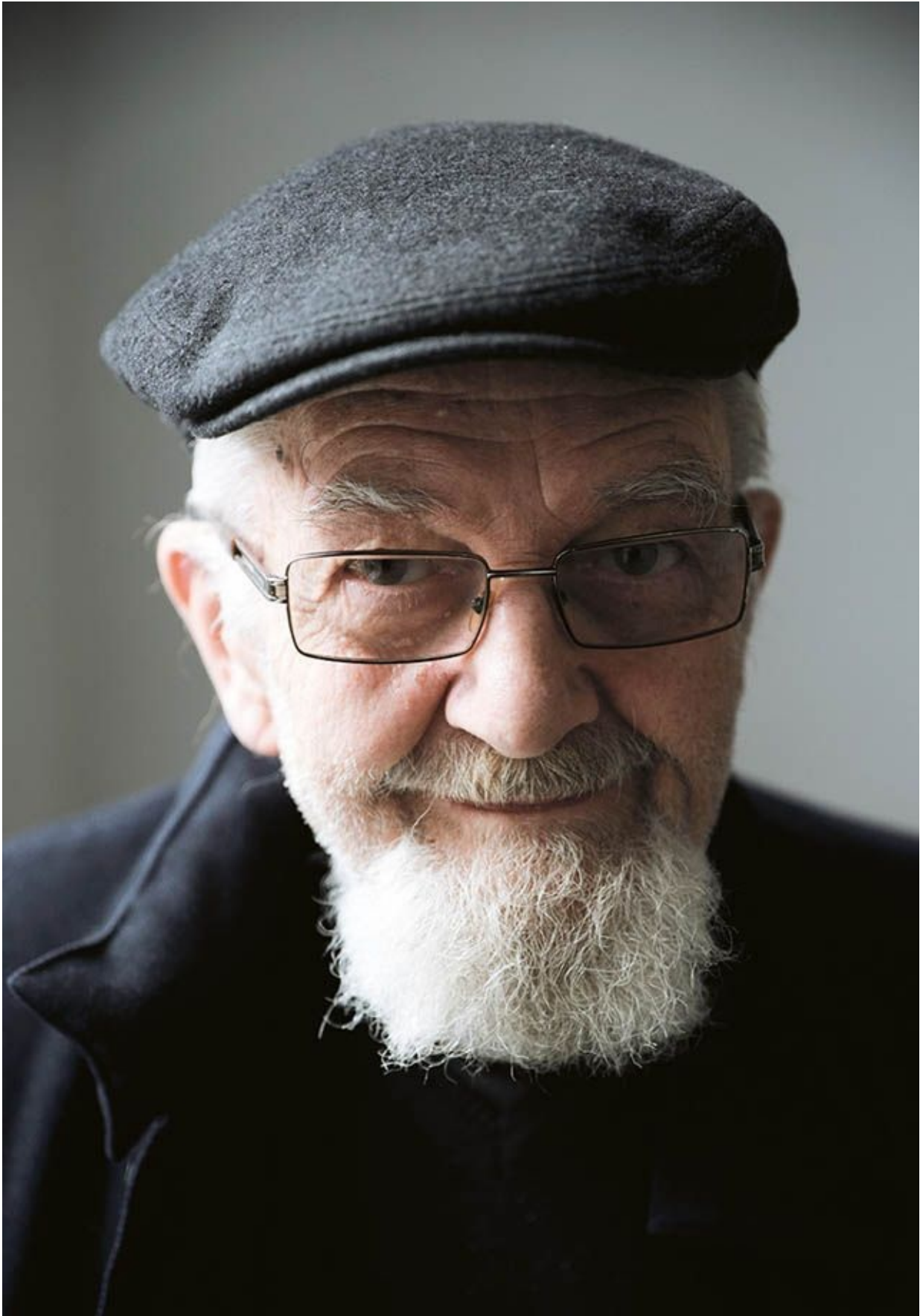
Nowy ojciec prowincjał prosił mnie, by z jego decyzji nie robić „medialnego wydarzenia”. Rozumiem to, przecież nie tylko zakon, ale żadna instytucja nie lubi medialnego szumu wokół jej spraw wewnętrznych. Tak się jednak niestety nie stało, i obawiam się, że stać się nie mogło.

Nie prosiłem o zmianę decyzji, a sześć lat temu przyjąłem ją z nastawieniem: „A może on ma rację?”. Jako że mogłem nadal publikować w moim „Tygodniku Powszechnym”, głos nie został mi całkowicie odebrany. Zapewniam też, że wbrew insynuacjom niektórych komentatorów wydarzeń z 2011 roku nie czułem ani nie czuję przemożnego „parcia na szkło”.

Słuszne jest dominujące w wyżej wspomnianych kościelnych przepisach przekonanie, że występujący w mediach duchowny – chcąc nie chcąc – reprezentuje Kościół. To go zobowiązuje do zachowania postawy ewangelicznej, a więc na przykład do tego, by nikogo nie osądzać ani nie potępiać, by nie występować jako „rzecznik” jakiegokolwiek partii politycznej, by nie pogłębiać podziałów i antagonizmów między ludźmi, lecz szukać tego, co buduje zgodę i co ludzi łączy.

Nie można jednak odmówić występującemu w mediach duchownemu prawa do oceny konkretnych wydarzeń, wypowiedzi i działań. Duchowny, który wobec dziejącego się zła będzie przed kamerami udawał, że nic się nie stało, kompromituje Kościół, który reprezentuje, budzi zgorszenie i popełnia grzech zaniedbania.

Wystąpienie publiczne, w którym są podejmowane realne problemy, niesie ze sobą ryzyko wrogich reakcji ze strony myślących bądź czujących inaczej. Zabierając głos, trudno kierować się zasadą, „żeby się tylko komuś nie narazić”. Nie ma też sensu uciekanie w ważnych kwestiach w pobożne banały. W takich sytuacjach wykręcanie się od odpowiedzi rozczarowuje słuchaczy, kompromituje Kościół i nie budzi szacunku dla stanu duchownego. Jacek Kuroń mawiał: „Jeśli chcesz się wszystkim podobać, to się zapisz do orkiestry dętej”.



fot. Maciej Zienkiewicz dla Tygodnika Powszechnego

INDEKS EDYTORIALI

POLSKA, KRAJ MISYJNY

- Kościół w wolnej Polsce (TP23, 2014)
- Immisja treściami (TP34, 2014)
- Więcej niż procedury (TP37, 2014)
- Polska, kraj misyjny? (TP39, 2014)
- Kłopoty z polską teologią narodu (TP35, 2016)
- Intronizacja (TP47, 2016)

CIEŻARY DRUGICH NOŚCIE

- Cieżary drugich noście (TP14, 2014)
- Spokojnie, to tylko konwencja (TP20, 2014)
- Dzieci śmieci (TP28, 2015)
- Co zrobić z Rokiem Miłosierdzia? (TP51/52, 2015)
- Nasze świąteczne ucztowanie (TP50, 2016)

CZY BÓG WYBACZY

- Zderzenie mentalności i motywacji (TP35, 2014)
- Confessiones* biskupa Jareckiego (TP17, 2015)
- Dlaczego o tym piszecie? (TP19, 2015)
- Pytania i milczenie (TP37, 2015)
- Krytyka i blask Kościoła (TP5, 2016)

NA PEŁNEJ PETARDZIE

- Bez Jana XXIII (TP17, 2014)
- Zawsze był (TP18, 2015)

Witaj w klubie osiemdziesięciolatków! (TP11, 2016)

Książd na pełnej petardzie (TP15, 2016)

Święta Matka (TP36, 2016)

Błogosławiony z Kazachstanu (TP38, 2016)

Wajda (TP42, 2016)

Nasze Aleppo (TP7, 2017)

Misja księdza Jerzego (TP38, 2017)

KOŚCIÓŁ NIE JEST ŁODZIĄ PODWODNĄ

Dziwne kontynuacje (TP18, 2014)

Prześladowani (TP32, 2014)

Pacem in terris (TP40, 2014)

Kiedy w Ewangelii pojawiają się kobiety (TP24, 2015)

Judasz i judasze (TP32, 2015)

Z życia Kościoła (TP6, 2017)

Dżdżownico, siostró nasza (TP24, 2017)

Biskup, czyli nomad (TP39, 2017)

CHROŃMY MĘDRCÓW

Szczerść bez granic (TP27, 2014)

Mamy kompleksy (TP38, 2014)

Intelektualiści, autorytety i przywódcy (TP31, 2015)

Wielkanoc, trudne święta (TP13, 2016)

Na Dzień Matki (TP22, 2016)

Tylko wieczór (TP45, 2016)

Odwrócili się ku czczej gadaninie (TP28, 2017)

KSIĄDZ SZUKA ZROZUMIENIA

Vademecum o przekazywaniu dzieciom wiary (TP19, 2014)

Niewiara szuka zrozumienia (TP47, 2014)

O kazaniach nie wszystko (TP25, 2015)
Nie jestem psychoterapeutą, ale... (TP35, 2015)
Społeczna rola księdza (Seniuka) (TP34, 2015)

NAJLEPSZY ZE ŚWIATÓW

Nasz optymizm 2015 (TP1, 2015)
Jestem Charlie (TP3, 2015)
Nasi bracia imigranci (TP33, 2015)
Nie daj Boże ich zwycięstwa (TP47, 2015)
Biedny katolik patrzy na islam (TP50, 2015)
Gesty pokoju (TP14, 2016)

FRANCISZEK

Papież Franciszek – nadzieje i strach (TP48, 2014)
Papież z Bożej Opatrzności (TP4, 2015)
Kto jest przeciw *Laudato si* ' (TP26, 2015)
Dwie logiki (TP29, 2015)
Franciszkowe reformy – innej drogi nie ma (TP38, 2015)
Cztery zasady Franciszka (TP31, 2016)
Co zostanie? (TP32, 2016)

POLITYKA HISTORYCZNA DLA ZAAWANSOWANYCH

Nie odbierajcie mu tego odznaczenia (TP8, 2016)
Co się z nami porobiło? (TP10, 2016)
Czy chcemy dalej walczyć ze sobą, czy chcemy pojednania? (TP29, 2016)
Polityka historyczna dla delfinów (TP40, 2016)
Dwie rocznice (TP13, 2015)

NADZIEJA W RZYMIE

Pięć pokus synodalnych (TP43, 2014)

Burza przed synodem (TP39, 2015)
Kościół to nie muzeum (TP42, 2015)
Teraz czas na papieża (TP44, 2015)
Jak dobry esej o rodzinie (TP16, 2016)

POLSKA ZMIANA

Czy wszystko i wszystkich trzeba zmienić (TP21, 2015)
Nie mam dobrych prognoz dla KOD-u (TP49, 2015)
Zdziwienie (TP26, 2016)
Wierzę w Kościół ponadpartyjny (TP12, 2016)
Brodaczka kępkowa (TP27, 2017)
Oby nas nie pożarli (TP30, 2017)
Dlatego to śpiewamy (TP31, 2017)
Śmierć Piotra Szczęsnego jest krzykiem (TP46, 2017)

JA SIĘ NIE ZAPISZĘ

Ja się nie zapiszę (TP32, 2017)

OTWIERAMY ARCHIWA

ZAWSZE AKTUALNE, ZAWSZE UNIKALNE

Zapraszamy do archiwum „Tygodnika Powszechnego” – jedyne rosnącego tygodnika w Polsce. Sięgnij do niemal 40 tysięcy tekstów opublikowanych od 2003 roku.

CZYTAJ felietony, eseje, reportaże, wiersze, wywiady, publicystykę, opinie najwybitniejszych Autorów, takich jak: ks. Józef Tischner, Marek Bieńczyk, ks. Adam Boniecki, s. Małgorzata Chmielewska, Leszek Kołakowski, Stanisław Lem, Ewa Szumańska, ks. Jacek Prusak, Wojciech Nowicki, ks. Jan Kaczkowski, ks. Michał Heller, Władysław Bartoszewski, Maciej Zaremba-Bielawski, Hanna Krall, Grzegorz Turnau, kard. Karol Wojtyła, Filip Springer, Jerzy Pilch, ks. Jan Twardowski, Sławomir Mrożek, Stefan Chwin, Marek Zając i wielu innych
– **WSZYSTKO W JEDNYM MIEJSCU.**

ZOBECZIE: ANDRZEJ ŚWIELIK
PODGLĄD STRONY WWW MOŻE SIĘ RÓŻNIC OD AKTUALNEJ



Kliknij na www.TygodnikPowszechny.pl
i czytaj za darmo 6 tekstów miesięcznie
lub wykup dostęp i ciesz się nieograniczoną lekturą





E-book dostępny na
woblink.com

Spis treści

[Karta tytułowa](#)

[Wstęp](#)

[Polska, kraj misyjny](#)

[Ciężary drugich noście](#)

[Czy Bóg wybaczy?](#)

[Na pełnej petardzie](#)

[Kościół nie jest łodzią podwodną](#)

[Chrońmy mędrców](#)

[Ksiądz szuka zrozumienia](#)

[Najlepszy ze światów](#)

[Franciszek](#)

[Polityka historyczna dla zaawansowanych](#)

[Nadzieja w Rzymie](#)

[Polska zmiana](#)

[Ja się nie zapiszę](#)

[Indeks edytoriałi](#)

[Karta redakcyjna](#)

Projekt okładki
Michał Pawłowski
www.kreskaikropka.pl

Zdjęcie na okładce
Mateusz Skwarczek

Redakcja
Michał Okoński

Opieka redakcyjna i wybór zdjęć
Damian Warszawski

Korekta
Katarzyna Mach
Katarzyna Węglarczyk

Copyright © by Tygodnik Powszechny
© Copyright for this edition by SIW Znak sp. z o.o., 2018

ISBN 978-83-240-5389-6

Edytoriale ks. Adama co tydzień na TygodnikPowszechny.pl



znak

Książki z dobrej strony: www.znak.com.pl

Spółeczny Instytut Wydawniczy Znak, 30-105 Kraków, ul. Kościuszki 37

Dział sprzedaży: tel. [12 61 99 569](tel:126199569), e-mail: czytelnicy@znak.com.pl

Plik opracował i przygotował Woblink

